



MYSTERNY ZIEMIANI



SEJF UKRYTY
W ŚCIANIE

Krystyn Ziemski

**SEJF
UKRYTY
W ŚCIANIE**



**WYDAWNICTWO
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ**

Okładkę projektował

WITOLD CHMIELEWSKI

Redaktor

WANDA STEFANOWSKA

Redaktor techniczny

DANUTA WADOWCZYK

Korektor

BARBARA WASILEWSKA

Piai tysięcy osiemset dziewięćdziesiąta pląta

publikacja Wydawnictwa MON

Printed in Poland

Wydawnictwo

Ministerstwa Obrony Narodowej

Warszawa 1977 r.

Wydanie I

Nakład 120 000+350 egz.

Objętość 7,83 ark, wyd., 6,5 ark, druk.

Papier druk, sat. VII kl. 65 g z roli 63 cm

z Fabryki Papieru w Głuchołazach.

Oddano do składania 3.VIII.1976 r.

Druk ukończono w styczniu 1977 r.

Wojskowe Zakłady Graficzne

w Warszawie.

Zam, nr 726

z dn. 19.X. 1976 r

Cena zł 15.–

J-120

Rozdział I

Przez okrągłe niewielkie okienko do wnętrza samolotu wlewa się gęsta mleczna biel. RzUCA poblask na twarze pasażerów wyostrozając ich rysy.

Niemal wszyscy śpią. Start zapowiedziany był na szóstą rano, więc zrywali się z łózek w pośpiechu, na połY tylko rozbudzeni, ubierali się spieszenie, patrząc nieprzytomnymi jeszcze oczyma na czerniejącą za oknami noc i podążali na lotnisko przygodnymi środkami lokomocji lub zamówionymi wcześniej taksówkami. Napięcie towarzyszące ich krokom wygasało w chwili, gdy zagłębiali się w miękkie fotele. Wracała senność.

Inżynier Lech Stawiński wyciągnął się wygodnie na swoim miejscu. Przymknął oczy. Sen jednak nie nadchodzi. Pod czaszką kłębi się nawał obrazów, natłok wrażeń i myśli. Wszystko ze sobą splątane chaotycznie i bezsensownie. Ten chaos obezwładnia. Mięśnie zwiotczały, ciało unosi jakaś fala, której niepodobna się oprzeć. A jednocześnie coś świdruje w mózgu, jakaś

myśl próbuje się przedrzeć z dna na powierzchnię, jest dokuczliwa, klująca jak zadra. Im bardziej Stawiński chce się od niej uwolnić, tym natrętniej przypomina o swoim istnieniu.

Stopniowo oszołomienie mija, wraca świadomość, pamięć, a z nią poczucie dojmującej klęski. Tak chciałem jechać... I co mi to dało?

Zaproszenie na sympozjum odbywające się w Berlinie Zachodnim, które przysłano do Instytutu Radioelektroniki na jego nazwisko, potraktował jako wyróżnienie, jako dowód, że liczy się nie tylko na krajowym, ale i na międzynarodowym forum.

Kilkudniowy wyjazd zapowiadał się atrakcyjnie. W programie przewidziano zwiedzanie bawarskich ośrodków naukowych połączone z prezentacją ostatnio wdrożonych urządzeń. Zainteresował go ten program. Cieszył się na myśl o spotkaniach towarzyskich ze specami z innych krajów, podobnie jak on zaproszonymi na to sympozjum, wiele sobie obiecywał po tematyce referatów. Zamarkowane w tytułach problemy mogły kryć rewelacje naukowe. Liczył na to, że pozna nowości, dotyczące metody badań. Ba, nawet planował, że zabierze na ten temat głos w dyskusji.

– Mamy się czym pochwalić nawet w tym gronie – tłumaczył dyrektorowi Instytutu, który usłyszawszy o planach wyjazdowych głównego specjalisty nie wykazał cienia entuzjazmu. Był wręcz wściekły.

– Czyś ty zwariował? Chcesz jechać w tej sytuacji?! – W głosie ostre nutki.

Stawiński rozumiał opory dyrektora. Dokumentacja nowego, stanowiącego rewelację w tej dziedzinie,

radiolokatora, została wreszcie zatwierdzona. Rozpoczął się drugi, decydujący etap, etap budowy prototypu. Przyszli odbiorcy urządzenia – resorty łączności, komunikacji i dowództwo lotnictwa – naciskali. Chodziło o maksymalne tempo. Jeszcze w tym roku, po zakończeniu prób, ERA-13 miała wejść do produkcji seryjnej. Plan był napięty – liczyła się każda godzina. I w takiej chwili on, autor wynalazku, jego główny projektant, chce wyjechać za granicę! Cóż za pomysł!

– Pojedziesz innym razem. Załatwię ci w przyszłym roku służbowy wyjazd do Stanów – tłumaczył mu dyrektor Mleczko. – Teraz jesteś potrzebny tu, na miejscu. To przecież najtrudniejszy okres.

Ale on się uparł.

– Nic się nie stanie, jeśli mnie kilka dni nie będzie – parował argumenty. – Zanim nasi rozpoczną pracę, wrócę. Wstępnej fazy produkcji przypilnuje Laskowski. A tam będą specjaliści wielkiej klasy. Ich doświadczenia przydadzą się i nam w dalszych badaniach.

– Laskowski to nie to samo co ty – burczał dyrektor. – A jeśli zawał, kto będzie odpowiadał?

– Czepiasz się Laskowskiego. To świetny fachowiec – rzucił zirytowany tym, jego zdaniem, bezsensownym zarzutem. – Nie widzę powodów do niepokoju. Uważasz, że cały instytut na mnie się tylko opiera? Nie doceniasz ludzi – dodał demagogicznie, wiedząc, że trafia w dyrektorską piętę achillesową.

Wygrał tę batalię. Postawił na swoim. Wyjechał.

Liczył, że przy okazji trochę odetchnie. Ostatni okres był bardzo męczący, a jednocześnie, z jego punktu widzenia, bezpłodny. Ciągłe konferencje, oczekiwanie na ostateczne decyzje, dodatkowe konsultacje – słowem przelewanie z pustego w próżne. Czuł się wypompowany. Chciał się odświeżyć, podyskutować z innymi naukowcami, zwiedzić to i owo.

Z tych planów wyszły nici.

Wprawdzie referaty przygotowane na sympozjum były interesujące, dyskusja ciekawa, ale żadnych rewelacji. Spotkał wielu znajomych, ale nie tych, po których sobie najwięcej obiecywał. Pewną satysfakcję dały mu konfrontacje prezentowanych wyników i metod badań. Nie jesteśmy w tyle – ocenił poziom prac Instytutu – nawet w stosunku do Francuzów, którzy w dziedzinie elektroniki wysforowali się przed Amerykanów.

Po skończonym sympozjum część zaproszonych gości rozjechała się, a dla niego i kilku innych gospodarze, zgodnie z zapowiedzią, przygotowali ciąg dalszy w postaci zwiedzania elektronicznych ośrodków naukowych i prezentacji wdrożonych już wynalazków.

Właściwie odechciało mu się tego dalszego ciągu imprezy. Chciał jak najszybciej wrócić do kraju. Coraz częściej myślał, co też się dzieje z ERA-13. Ale wycofać się nie mógł. Jeździł więc wraz z kolegami z innych krajów, zwiedzał ośrodki naukowe, podejmował dyskusje na zawodowe tematy, które często zbaczały z zakresu ścisłego naukowego toru. Wśród bawarskich naukowców niektórzy reprezentowali poglądy

polityczne ziomkostw. W rozmowach z nimi, pozornie apolitycznych, dźwięczały nuty złośliwości, niektóre pytania miały wręcz prowokacyjny charakter. Udawał, że tego nie dostrzega, zręcznie omijał rafy, ale żył w nieustannym napięciu. Czuł się coraz bardziej zmęczony.

Ale załatwiłem sobie odpoczynek, myślał nieraz, konfrontując swoje nadzieje z rzeczywistością pełną męczących niespodzianek. Zaskakujące wydawały mu się poglądy niektórych naukowców.

– Odkrycia, wynalazki – powiedział mu jeden z nich, profesor Rau z bawarskiej Akademii Nauk – to przede wszystkim szczyble do sławy. Do sukcesu. Tylko to się liczy.

– Wydaje mi się, że przede wszystkim liczy się przydatność naszych odkryć dla kraju, społeczeństwa – zareplikował zaskoczony takim stanowiskiem.

Tamten uśmiechnął się ironicznie.

– Frazesy – rzucił w odpowiedzi. – Nauczyliscie się operować sloganami i frazesami. Ja przynajmniej jestem szczery. Uznaję za dobre tylko te drogi, które wiedą do osiągnięcia sukcesu. Mojego sukcesu. Reszta mnie nie interesuje.

– Nie zgadzam się z panem. Osobiście nie chciałbym zdobyć sławy za wszelką cenę. Ta cena ma dla mnie decydujące znaczenie.

– Dla mnie nie ma żadnego. Skrupulanci nie dochodzą do celu.

– Nie uznaję metody: „cel uświęca środki”.

– Więc we współzawodnictwie z innymi musi pan

przegrać. Tylko bezwzględni mają szansę.

– Myśląc w ten sposób, należałoby rozgrzeszyć waszych naukowców, którzy w imię swojego sukcesu dokonywali pseudonaukowych eksperymentów na więźniach obozów koncentracyjnych – rzucił bez namysłu i zaraz ugryzł się w język.

– To były eksperymenty pseudonaukowe. – Profesor Rau nawet nie drgnął. – Ja mówię o badaniach naukowych. Podstawowa różnica. Gdyby chodziło o takie badania...

– Gdyby chodziło o eksperymenty naukowe, aprobowałby pan tę metodę?

– Oczywiście. Sukcesy naukowe zawsze są opłacane ofiarami. Inaczej nie byłoby mowy o postępie. Czyż bez tych ofiar zdołano by wynaleźć środki ratujące życie?

– Niszczyć ludzi w imię interesów innych ludzi?

– Podchodzi pan do sprawy zbyt emocjonalnie. – Znow ten ironiczny uśmiech gości na wąskich ustach. – Nie można odrzucać możliwości eksperymentowania na ludziach z racji jakichś emocjonalnych przesłanek, którymi się jeszcze niektórzy naukowcy kierują. Skoro są tacy, którzy chcą ryzykować, i tacy, którzy podejmują ryzyko?! W nauce emocje się nie liczą.

– Ale musi się liczyć dobro człowieka. Naukowiec to jednocześnie humanista.

– Nie rozumiemy się. Każdy z nas, chcąc osiągnąć rezultaty, musi działać jak maszyna matematyczna. Na podstawie wyliczeń musi wybierać najkrótszą, jak

najbardziej ekonomiczną drogę do swojego celu. Humanizm to bagaż, który trzeba wyrzucić za burtę, jeśli się chce osiągnąć cel.

– Dlaczego pan tak sądzi? – spytał nieco naiwnie.

– Bo wszelkie tego rodzaju rozważania, nadmiar skrupułów, lęk przed podejmowaniem ryzyka, rezygnacja z drogi najprostszej, najskuteczniejszej, szukanie dróg okrężnych w imię jakichś mgławicowych ideałów, wszystko to oznacza opóźnienia. A opóźnienia to szansa dla konkurentów. Liczy się czas. Sukces osiąga tylko ten, kto idzie naprzód, nie oglądając się na nic.

Zakończył tę dyskusję z wyraźnym niesmakiem. Ten sposób myślenia był dla niego nie do przyjęcia. Ba, przypomniał mu przeszłość. Niestawną przeszłość wielu naukowców tego kraju. Czyżby z niej czerpał natchnienie profesor Rau? Chciał się o nim czegoś bliższego dowiedzieć. Nie udało się. Młodzi nie znali przeszłości profesora, który był ich bożyszczem, starsi zbywali pytania milczeniem. Nie wypadało być zbyt dociekliwym.

Zwiedzał więc dalej placówki naukowe, ciesząc się w duchu, że z każdym dniem zbliża się termin powrotu. Nie liczył już na żadne szczególne rewelacje. I wtedy przywieziono go na to właśnie bawarskie lotnisko...

Na samo wspomnienie znów ten ciężar, który aż dusi.

Na tym lotnisku miał obejrzeć nowy, rewelacyjny ponoć, typ radiolokatora bliskiego zasięgu. Obejrzał. I

oniemiał. To była ERA-13. Przez chwilę stał jak ska-
mieniał. Nie był w stanie otworzyć ust. Opanował się z
wielkim trudem. Musiał się upewnić. Słuchał, pytał,
oglądał. Nie było wątpliwości. Identyczny typ radiolo-
katora. Taka sama antena kierunkowa, ekran z filtrem,
nadajnik wysokiej częstotliwości, system zasilania...
Wszystko. Zmieniono wprawdzie rozmieszczenie przy-
rządów wewnątrz wozu, inaczej zaprojektowano kabinę
planszecisty i sposób rejestrowania obiektów w powie-
trzu, ale podstawowa zasada działania w strefie bliskie-
go zasięgu nie różniła się niczym od tej, jaką po raz
pierwszy zastosowano w modelu ERA-13.

Wracał zdruzgotany tym odkryciem. Wprost niewia-
rygodny wypadek. Jak to się stało? Jak to się mogło
stać? Czyżby fachowcy za Łabą sami do tego doszli?
Mało prawdopodobne. To oczywiste, że w wielu kra-
jach pracują nad rozwiązaniem systemu obserwacji w
strefach zabudowanych, ale co najwyżej mogły one
doprowadzić do pewnych wspólnych wniosków prak-
tycznych. Tu natomiast w grę wchodził model identycz-
ny, po prostu kopia. Takich cudów nie ma w elektroni-
ce. Kto, kiedy i jak przekazał tę tajemnicę? Próbował
odpowiedzieć na te pytania, lecz nic konkretnego nie
przychodziło mu do głowy. Czuł, że sam nie zdoła roz-
strzygnąć tej zagadki.

Rozdział II

– Proszę, niech pan siada. – Major Jerzy Biezan zapraszającym gestem wskazuje gościowi fotel, a gdy ten usadowiwszy się wygodnie milczy, nerwowym gestem splatając i rozplatając ręce, sam zagaja rozmowę. – Niech mi pan zreferuje dokładnie całą sprawę. – Wyciąga z biurka notatnik, włącza magnetofon.

Inżynier Lech Stawiński opanowuje się z trudem. Przeżył szok i wciąż nie może ochłonać z wrażenia. Prosto z dworca lotniczego pojechał do dyrektora. Jak bomba wpadł do jego gabinetu. Chaotycznie wyrzucał z siebie słowa. Brzmiały jak krzyk.

Docent Antoni Mleczko był równie oszołomiony.

– Niemożliwe! – wyjąkał z trudem. – Jesteś pewien, że się nie omyliłeś? A może oni po prostu wpadli na identyczny pomysł?!

– Nie! To nasz pomysł. Nie mogłem się pomylić. Ich radiolokator jest identyczny. I to w każdym szczególe!

– Taka historia w naszym Instytucie! – Okrągła, nalana twarz Mleczki purpurowieje. – Kompromitacja! Co na to powiedzą władze?

– Co mnie to obchodzi! – rzucił w odpowiedzi, zirytowany tym podwórkowym sposobem myślenia. – Jak to się mogło stać? Ktoś musiał sfotografować naszą dokumentację! Trzeba natychmiast zawiadomić władze bezpieczeństwa!

– Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany! Najpierw

trzeba skonsultować to z władzami resortowymi. Porozumieć się z kontrahentami, ustalić linię postępowania. Inaczej będą mieli do nas pretensję, że działamy bez ich wiedzy i zgody.

– Niech mają! Nie możemy ani chwili zwlekać z ujawnieniem tej historii. Niech kontrwywiad decyduje, kogo zawiadomić, a kogo nie. Pomyśl, ile czasu dokumentacja leżała u konsultantów! Może nieprzypadkowo? Może teraz właśnie ktoś wywozi za granicę i inne nasze odkrycia? Chcesz wziąć na siebie taką odpowiedzialność?!

Ten ostatni argument okazał się najbardziej przekonującym. Nie, takiej odpowiedzialności Mleczek nie zamierzał brać na swoje barki.

– Dobrze, już dobrze, nie denerwuj się – mówił łącząc się z resortem spraw wewnętrznych.

W chwilę potem ustalił, do kogo personalnie ma się zgłosić inżynier.

Tak więc postawił na swoim. Prosto z Instytutu przyjechał tutaj. Przepustka była już przygotowana i trzymając ją w ręku wszedł do wskazanego mu gabinetu, który okazał się niewielkim, skromnie urządzonej pokojem. Pracownik kontrwywiadu, do którego został skierowany, wyglądał raczej na amanta niż na oficera tego pionu. Ale cóż to wszystko miało za znaczenie!

– Czy można im udowodnić tę kradzież? – pyta na wstępie. – Czy można im odebrać prawo do eksploatacji naszego wynalazku?

– Nie mogę odpowiedzieć panu na te pytania. – Major Jerzy Biezan rozkłada ręce. – Przynajmniej na

razie. Nie znam sprawy. Najpierw chciałbym się zorientować.

Spokój i opanowanie oficera udziela się i Stawińskiemu.

Zaczyna referować. Operuje naukową terminologią.

– Nie jestem elektronikiem – przerywa mu w pewnej chwili Bieżan – ale ogólne zasady działania stacji radiolokacyjnej znam. Może mi pan wyjaśni, na czym polega usprawnienie zastosowane w waszym prototypie? Czy rzeczywiście można je uznać za coś zupełnie nowego?

– Z całą pewnością tak – odpowiada Stawiński, sięgając po kartkę papieru. – Wytłumaczę to panu graficznie. W przestrzeni otwartej, zwłaszcza na dużych wysokościach, można wydłużać zasięg pola obserwacji radiolokacyjnej do setek czy tysięcy kilometrów. Wystarczy tylko odpowiednio zwiększyć moc nadajnika i zastosować kombinację anten kierunkowych, ustawionych z dala od przeszkód terenowych na wzniesieniu. Można taką stację zainstalować na pokładzie samolotu, który będzie krążył w pewnej stałej strefie, przekazując na ziemię obraz sytuacji w powietrzu. Żaden problem, kłopoty zaczynają się dopiero na małych wysokościach...

– Rozumiem – wtrąca major. – Odbicia, zakłócenia falowe, przeszkody naturalne.

– Otóż właśnie, trafił pan w sedno. Na obszarach o zwartej zabudowie, pokrytych lasami lub o zmiennej rzeźbie występuje zjawisko martwego pola. Wiązki fal ultrakrótkich odbijają się po prostu od tych przeszkód i

do wysokości około kilkuset metrów radiolokator jest ślepy. Nie widzi obiektu w powietrzu lub sygnalizuje jego obecność niedokładnie. Na takich namiarach nie można polegać. My, po wielu żmudnych próbach, zdołaliśmy przełamać tę trudność. Dzięki zdwojeniu anten kierunkowych i zmiennej częstotliwości impulsów falowych, nadawanych w jednakowym czasie, nasz radiolokator może penetrować przestrzeń na minimalnej wysokości, nie reagując na przeszkody naturalne...

– Czyżby? – zdziwił się Biezan. – To przeczy prawom fizyki.

– Nie, prawa pozostały nie zmienione – odparł stanowczo Stawiński. – Powiedziałem o zdwojeniu anten. Usprawnienie polega na tym, że pierwsza rejestruje przeszkody stałe i zbiera je niejako w odbiorniku. Specjalny filtr nie dopuszcza ich na ekran. Druga, główna, obserwuje przestrzeń i to wszystko, co się w niej porusza, poczynając od wysokości zero. Operator ma więc na ekranie czysty obraz, jakby w zasięgu radiolokatora nie było żadnych przeszkód.

– To rzeczywiście duży krok do przodu – zgodził się oficer.

– Powiedziałbym więcej, to skok jakościowy w elektronice. Dlatego takim zaskoczeniem było dla mnie odkrycie identycznego radiolokatora na bawarskim lotnisku...

– A może tamci też wpadli na identyczne rozwiązanie? Nie bierze pan tego pod uwagę?

– Owszem, biorę, ale wykluczam możliwość aż takiego podobieństwa. Nie chodzi o samą zasadę

działania. Ręczę, że to, co widziałem, było kopią radiolokatora ERA-13. I w tym tkwi cały szkopuł.

– Kiedy zostały zakończone prace nad dokumentacją?

– Około półtora roku temu. W listopadzie sześćdziesiątego dziewiątego roku przekazaliśmy dokumentację do zaopiniowania ekspertom z resortu komunikacji, łączności i dowództwa lotnictwa. Radiolokator miał być wykorzystany także do celów wojskowych.

– Ile czasu trwały te ekspertyzy?

– Około półtora roku. Właśnie przed moim wyjazdem zapadła decyzja o budowie prototypu. I tu taka niespodzianka! – Inżynierowi głos się łamie.

– Dlaczego to trwało tak długo?

– Właśnie, dlaczego? Moim zdaniem na opracowanie opinii wystarczy kilka miesięcy. Ale zwykle to się ślimaczy. Specjaliści nie spieszą się. Mówią o konieczności gruntownej oceny, a ta wymaga czasu. Praktycznie od owej gruntowności i czasochłonności zależy wynagrodzenie. Więc zwlekają, aby w ten sposób uzasadnić wysokość pobieranych kwot. Ta współzależność stanowi barierę – Stawiński uśmiecha się ironicznie – antybodziec. Tak gruntownie oceniali, że tamci zdążyli uruchomić produkcję.

– Pan podejrzewa, że świadomie przeciągano te oceny?

– Nic nie podejrzewam. Konstatuję. Z zespołu to nie wyszło.

– Skąd ta pewność? Jaki był skład zespołu?

– Pracowaliśmy nad projektem w pięcioosobowej grupie. Byłem kierownikiem tego zespołu, zdecydowałem o jego składzie. Dobrałem ludzi wysoko kwalifikowanych i pewnych. Mogę za nich ręczyć. Są nieskazitelni.

– Czasem pozory mylą – mówi spokojnie Biezan.
– Nie uważa pan, że człowiek, który wykorzystał okazję, musiał być z kręgu ludzi ocenianych jako nieskazitelni? Inny nie miałby dostępu do tajnych badań.

Stawiński jest trochę zaskoczony.

– Nie myślałem o tym w ten sposób. Fakty świadczą, że ma pan chyba rację... Nasze prace okryte były tajemnicą, a ich wyniki starannie zabezpieczone.

– W jaki sposób?

– Materiały i obliczenia przechowywane były w sejfie. Szyfr otwierający sejf znały tylko trzy osoby. Ja, mój zastępca, inżynier Laskowski, i docent Kłosek. Sejf stał w moim gabinecie.

– Kto jeszcze wchodził w skład zespołu?

– Anatol Żaliński, specjalista z zakresu eksploatacji urządzeń radiolokacyjnych i pułkownik Janusz Dobczyk. Ale oni opracowywali tylko niektóre zagadnienia. W całości prac zorientowani byliśmy tylko my trzej.

– Czy ktoś jeszcze miał dostęp do dokumentacji?

– Nie. Wprawdzie obliczenia dla nas wykonywała grupa techników, a niektóre próby przeprowadzali laboranci, ale były to prace cząstkowe, nie pozwalające zorientować się w charakterze całości. Właśnie ta fragmentaryczność zleczanych różnym ludziom prac była

dotychczasowym sposobem zabezpieczenia się przed ujawnieniem tajemnicy.

– Co może pan powiedzieć o opiniujących?

– Nic. Znam ich tylko z nazwisk. Ich kandydatury wysunęli nasi kontrahenci. Wybór był tak pomyślany, aby żadne osobiste względy nie zaważyły na ocenach przydatności urzędników.

– Kto ostatecznie zdecydował o wyborze opiniodawców?

– Już mówiłem. Nasi kontrahenci. Resort łączności, komunikacji i dowództwo lotnictwa.

– Czy wasz radiolokator mógł mieć także zastosowanie w wojsku?

– Oczywiście. Projekt przygotowywany był wprawdzie pod kątem potrzeb lotnictwa komunikacyjnego lub, ściślej mówiąc, cywilnego, ale równie dobrze spełniłby on swą rolę w wojsku. ERA-13 to typowy radiolokator bliskiego zasięgu, przystosowany szczególnie do pracy na lotnisku. Dzięki swym właściwościom może być także wykorzystany w marynarce, rybołówstwie dalekomorskim, służbie ochrony wybrzeża...

– Rozumiem. Czy może mi pan powiedzieć, kto personalnie z ramienia tych resortów podejmował decyzję o wyborze opiniodawcy?

– Nie wiem. Może dyrektor odpowie panu na to pytanie.

– Instytut nie ma własnych specjalistów?

– Oczywiście dysponujemy odpowiednią kadrą. Ale obowiązuje zasada, że nasze prace opiniują przedstawiciele odbiorców. Jeśli nie zgadzamy się z ich

oceną, możemy podjąć z nimi merytoryczną dyskusję. Ten system ma zapobiegać kumoterstwu...

– A zapobiega?

Stawiński uśmiecha się mimo woli.

– Nasz specjalistyczny świątek jest mały, więc zawsze można pośrednio czy bezpośrednio dotrzeć do opiniującego. Ja osobiście nigdy nie działałem tą metodą. Zależało mi na rzetelnych obiektywnych ocenach. Wytknięcie niedociągnięć traktuję jako bodziec do poszukiwań optymalnych rozwiązań. Wiem, że metoda klajstrowania braków funkcjonuje na krótką metę. Cenię swoje dobre imię. I chcę je zachować. Tego samego wymagam od moich współpracowników.

– Czy ci współpracownicy są już poinformowani o sprawie?

– Nie. Tylko dyrektor. Czy mam nadal zachować swoje odkrycie w tajemnicy?

– Proszę poinformować tych dwóch najbliższych. Ale tylko ich. Będę chciał z nimi porozmawiać. I to już jutro.

Po wyjściu Stawińskiego Biezan melduje się u szefa. Musi mu zdać szczegółowe sprawozdanie. Sprawa jest niebagatelnej wagi.

– Chcę mieć na jutro plan czynności – pułkownik Ziętara jest konkretny. – Co proponujesz? – pyta przyjaźnie.

– Nasi specje muszą zapoznać się z dokumentacją i opiniami. Chodzi o ustalenie czasu potrzebnego konsultantom do wykonania tego rodzaju pracy. Nasze źródła powinny ustalić firmę, która wyprodukowała ten

radiolokator. Nazwiska pseudowynalzców, ich kontakty, inne szczegóły... Trzeba zebrać wstępne informacje o wszystkich, którzy mieli dostęp do dokumentacji...

- Dobrze. Jak oceniasz twego rozmówcę?
- Jest rzetelny, unika pochopnych ocen, stara się je wyważać. Budzi zaufanie.
- Czy nie przedwczesny osąd?
- Nie sądzę, ale to się okaże.

Rozdział III

Drzwi wejściowe wykonane z tak cienkiej sklejk, że wydaje się, iż nietrudno byłoby je wyłamać mocnym uderzeniem pięści. Przedpokój – jak jego miniatura. Ledwo można się tu obrócić. Bieżan wiesza płaszcz witając gospodarza, którego zwalista postać tarasuje drzwi do jednego z pokoi. Gospodarz musi się cofnąć do wnętrza, by Bieżan mógł wejść. Dwa niskie fotele, tapczan, niewielkie biurko, regał zavalony książkami to całe umeblowanie tego niskiego, niewielkiego pokoju.

– Ciasno tu, prawda? – zagaja inżynier Wacław Laskowski wskazując zapraszającym gestem jeden z foteli. – Tak niestety wygląda nasza mieszkaniowa nowoczesność. Budownictwo jak dla krasnoludków – inżynier przysiadł obok w fotelu podsuwając gościowi papierośnicę. – Pali pan?

– Jak komin. Czterdzieści dziennie. I co gorsza, nie mam zamiaru się odzwyczaić. – Bieżan bierze sporta i zaciąga się dymem.

– Ja ograniczam palenie. Muszę. Mój lekarz twierdzi, że to zabójcze przy tym stanie nerwów i stałych napięciach.

– Nie chodzę do lekarzy. Bo i po co? Gdyby chciało się traktować ich wskazania poważnie, trzeba by się zawiesić w hamaku między niebem a ziemią. I nic nie robić. Na coś trzeba umrzeć – mówi sentencjonalnie. – Napięć też nie można uniknąć. A propos, co jest ich źródłem w pańskiej pracy, chyba nie szefowie?

Pytanie jest postawione trochę prowokacyjnie, wprawia więc w zakłopotanie inżyniera.

– Widzi pan, majorze – mówi wahająco – Leszek, to znaczy inżynier Stawiński, jest człowiekiem wielkiej wiedzy. Prócz dyplomu inżyniera elektronika i doktoratu z fizyki ukończył kurs pilotażu w aeroklubie. Prócz wiedzy ma talent. Badaniom poświęca się bez reszty. ERA-13 to było jego ukochane dziecko. Poza tą pracą nie widział świata Nic dla niego nie istniało. Nie wiem, jak w tej sytuacji radzi sobie jego żona. Bo on chyba nie pamięta, że ma dom i dzieci, że z dziećmi mogą być kłopoty. Kiedyś żona przyszła do niego do Instytutu z jakąś sprawą. Wyglądała na bardzo zdenerwowaną. Spławił ją błyskawicznie. Byłem w sąsiednim pokoju i słyszałem tę rozmowę. Powiedział jej krótko: „Nie mam czasu na takie drobiazgi. Sama pomyśl, jak to załatwić”. Chodziło, jak się zorientowałem, o jakąś historię córki. Jego żona poszła jak zmyta. Więcej jej w Instytucie nie widziałem. Tak i już jest. Uważał, że nasz czas i naszą energię powinna pochłaniać wyłącznie ERA-13.

I tu różniliśmy się w poglądach. Ja chcę trochę czasu i domowi poświęcić. Mam osiemnastoletniego syna, który wymaga ojcowskiej opieki. Nie mogę pracować jak maszyna, bo nie jestem zdrowy, muszę unikać nadmiernego wysiłku, napięć nerwowych. Leszek tego wszystkiego nie zrozumie i stąd te krótkie spięcia. Jest wściekły, kiedy ktoś z nas zachoruje, czy chce wcześniej urwać się do domu, bo coś mu wypadło. Oburza się, gdy słyszy, że któryś z nas ma ochotę wypocząć przy telewizorze lub wybrać się z kolegami do knajpy. Od chwili, kiedy dowiedział się o kradzieży naszego wynalazku, jest nieprzytomny. On, jeden z najbardziej opanowanych ludzi, jakich znam, przyjechał do mnie całkiem roztrzęsiony. Zaczął mnie wypytywać szczegółowo o wszystkie znajomości i kontakty, zachowywał się jak oficer śledczy wobec podejrzanego numer jeden. A teraz ta pańska wizyta... On chyba myśli, że to ja...

– Pan się myli. Inżynier Stawiński ani przez chwilę nie podejrzewał nikogo z członków swego zespołu. Ręczy za was głową. A że jest zdenerwowany? Trudno się temu dziwić. Przeżył ogromny wstrząs. W końcu okradziono was z wyników waszej pracy.

– A jeśli tamci wpadli na identyczny pomysł?

– Nie można i tego wykluczyć. Czy inżynier Stawiński łatwo robi z igły widły?

– Nie. Jest precyzyjny jak maszyna. Ostrożny w ocenach. Ale w tym wypadku jest emocjonalnie zaangażowany. Jego zachowanie po powrocie...

– Czy sądzi pan, że mógł się omylić?

– Raczej nie. Ale był zdenerwowany i mógł nie dostrzec jakichś istotnych różnic. Zresztą jak pan wytłumaczy fakt, że właśnie jemu pokazano ten radiolokator? Gdyby zawieziono go gdzie indziej, nigdy by się nie dowiedział...

– To mógł być czysty przypadek. Gospodarze symposium nie musieli się orientować w sytuacji. Ci, którzy byli inicjatorami takiej akcji, na pewno nie pochwalili się przed swoimi.

– Zdenerwowałem się tą sprawą. Będę musiał iść do lekarza. Nie na moje zdrowie takie wstrząsy.

– Czy mógłby mi pan odpowiedzieć na parę pytań? W jasnoniebieskich oczach napięcie.

– Proszę, niech pan pyta.

– Pan był zastępcą kierownika zespołu. Kto prócz was dwóch miał dostęp do dokumentacji w trakcie prac nad projektem?

– Jako trzeci docent Kłosek. I nikt więcej. Pozostali dwaj specjaliści, docent Anatol Żaliński, spec od problemów związanych z eksploatacją urządzeń radiolokacyjnych, i pułkownik Janusz Dobczyk, ekspert w dziedzinie nawigacji, zajmowali się tylko pewnymi fragmentami dotyczącymi ich specjalności. Nie mieli dostępu do sejfu, nie znali szyfru. Pracownicy techniczni, wykonujący dla nas różne zlecane prace, w ogóle nie orientowali się, do jakich celów są nam potrzebne ich obliczenia i badania. Pracowali w innych pomieszczeniach, u nas nie bywali. Leszek albo ja przynosiliśmy im zlecenia i odbieraliśmy wyniki.

– Czy mogli się dowiedzieć, nad czym pracujecie?

– Nawet gdyby udało się komuś uzyskać taką informację, miałyby ona charakter nader ogólny.

– W jakim terminie prace nad ERA-13 zostały zakończone?

– W końcu października lub na początku listopada sześćdziesiątego dziewiątego roku. Mniej więcej półtora roku temu.

– Kto dysponował całością materiałów w tym czasie?

– Eksperti-opiniodawcy. Zwrócili nam dokumentację tuż przed wyjazdem Leszka. Na podstawie ich opinii zapadła decyzja o budowie prototypu.

– Czy opiniowanie dokumentacji musiało trwać tak długo?

Laskowski wzrusza ramionami.

– Nie wiem, czy musiało, ale trwało. Nikt się nie spieszy. To ślimacze tempo uzasadnia się koniecznością dogłębnego zbadania problemu, pracowitością przygotowujących opinie.

– Czy w fazie prac końcowych nad dokumentacją nie wydarzyło się nic niezwykłego? Budzącego zdziwienie bądź zainteresowanie? Coś nietypowego w normalnym toku prac?

Laskowski kręci głową przecząco.

– Nie pamiętam. To było tak dawno.

– A jeśli chodzi o zmiany w kręgu spraw osobistych członków zespołu?

Laskowski jest zdziwiony.

– W kręgu spraw osobistych? – powtarza pytanie.

– Jaki to ma związek ze sprawą? Nasz docent Kłosek, zagorzały stary kawaler, ożenił się wreszcie. Z jedną z warszawskich piosenkarek. Dowcipkowano nawet na ten temat. Mówiono, że on tańczy, jak ona zaśpiewa. Oczywiście byliśmy wszyscy na tym weselu!

– Zespół był ze sobą zżyty?

– Ależ tak, naturalnie Zżyliśmy się przez tych parę lat wspólnej pracy. Zresztą znaliśmy się wszyscy już przedtem. To specjalistyczna dziedzina, fachowców nie ma tak wielu.

– Czy w okresie wspólnej pracy zaszły jakieś zmiany w składzie zespołu?

– Niewielkie. Odeszła Anna, była żona Janusza Dobczyka.

– Dlaczego?

– Rozwiedli się i wtedy Leszek stwierdził, że ona powinna zmienić pracę. Chodziło mu o atmosferę, jaka mogła się wytworzyć. Dobczyk był mu za to wdzięczny. Codzienne spotkania z byłą żoną wytręcały go z równowagi...

– Jak Dobczykowa przyjęła tę decyzję?

– Początkowo protestowała. Uważała, że decyzja jest dla niej krzywdząca. Że zastrzeżenia nie dotyczą jej pracy, a tylko ta się powinna liczyć. Zwracała się nawet do dyrektora Mleccki, ale on nie chciał interweniować. Więc musiała odejść.

– Dokąd?

– Została przeniesiona do innego zespołu, na dotychczasowych warunkach pracy i płacy. W rok później przeszła do pracy w przemyśle.

W drzwiach wysoka, szczupła kobieta.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam. Wacku, pozwól na chwilę...

– Poczekaj, aż skończymy rozmowę.

– To bardzo pilna sprawa. – W głosie kobiety nuty paniki.

Laskowski wychodzi. Przez nie domknięte drzwi do uszu Bieżana dobiegają strzępki zdań:

– Jest w komisariacie... Trzeba natychmiast... Tym razem... poważna sprawa...

Rozdział IV

Docent Stefan Kłosek jest tak pochłonięty wykonywaną właśnie pracą, że dostrzega gościa dopiero w chwili, gdy ten pyta:

– Czy nie przeszkadzam?

Podnosi oczy na stojącego z drugiej strony biurka mężczyznę i w pierwszej chwili ma ochotę warknąć na intruza, który nieproszony wdarł się do jego gabinetu.

– Umówił się pan ze mną na dziesiątą – uprzedza Bieżan jego reakcję.

Kłosek przytomnieje.

– Proszę, niech pan siada. Rozumiem, że przychodzi pan w sprawie ERA-13. – Brzmi to jak stwierdzenie.

– Tak.

– Czym mogę panu służyć? Leszek mi mówił, że chodzi o jakieś informacje?

– Interesują mnie stosunki panujące w zespole...

Kłosek jest zdziwiony. Pociera dłonią wysokie czoło.

– O co panu chodzi? Nasza grupa składa się z wysoko kwalifikowanych specjalistów, choć to może trochę nieskromnie brzmi w moich ustach. Dzięki temu osiągamy wyniki

– Myślałem o tak zwanych stosunkach międzyludzkich – Biezan się uśmiecha

– Inżynier Stawiński tak dobrał zespół, żeby nie było zgrzytów. Sprawdził przedtem, czy między poszczególnymi członkami nie istnieją jakieś antagonizmy, wzajemne zatargi. Chciał mieć spokój.

– Czy mu się to udało?

– Nie ma róż bez kolców...

– Czy tym przysłowiowym kolcem stała się sprawa rozwodowa Dobczyków?

– Słyszał pan już o tym? Dobczykowa poznała jakiegoś niezwykle atrakcyjnego faceta. I tak się zaczęły między nimi kwasy. Skończyło się to rozwodem i jej odejściem z zespołu.

– W jakiej fazie prac nad dokumentacją odeszła?

– Tuż przed ich zakończeniem. W sierpniu czy wrześniu sześćdziesiątego dziewiątego roku.

– A inne kolce?

– Nie było ich tak wiele. Leszek był i na mnie zły, kiedy w najgorętszym dla zespołu okresie zdecydowałem się zrealizować swoje plany matrymonialne. Uważał, że mogę poczekać do zakończenia prac. Ale moja żona nie chciała dłużej czekać. Wyjeżdżała wówczas na kilkumiesięczne tournée za granicę. Ona jest znaną

piosenkarką – dodaje wyjaśniająco. W głosie nutki dumy.

– Bał się pan, żeby się nie rozmyśliła? – pyta żartobliwie Biezan.

Kłosek nie odpowiada żartem na żart. Traktuje pytanie serio.

– Nie o to chodzi – stwierdza. – W sferach artystycznych duże znaczenie dla kobiety ma pozycja męża. Podnosi jej prestiż. W kraju i za granicą. Dlatego nalegała na przyspieszenie ślubu. Nie mogłem odmówić.

– Jak się udało to tournée?

– Miała ogromne powodzenie – duma dźwięczy w głosie. – Recenzje o jej występach są pełne superlatywów. Podbiła Europę. Przechowuje te recenzje do dziś. Artystki żyją takimi sukcesami.

– Sądzę, że nie tylko artystki. Chyba pan także był dumny z wyników pracy zespołu?

– To nie to samo. Oczywiście byłem zadowolony z ocen naszej pracy, ale laury z tej racji zebrał kierownik. Podkreślano wprawdzie wkład członków zespołu, ale już w mniej entuzjastycznej tonacji. A przecież sukces nie jest zasługą kierownika. Trudno tak dokładnie podzielić role, wyważyć, czyj wkład ostatecznie zaważył na wynikach...

– Czyim pomysłem była ERA-13?

– Moim. – Docent Stefan Kłosek skromnie spuszcza głowę. – Ale mówię to panu zupełnie prywatnie – zastrzega natychmiast.

– Dlaczego Stawiński, a nie pan został kierownikiem zespołu?

- On miał lepsze układy.
- Ale chyba autorstwa projektu sobie nie przypisał?
- W dosłownym znaczeniu, nie. Tylko że mojego autorstwa nigdy i nigdzie nie ujawnił. Więc wszyscy sądzą, że on jest autorem, inicjatorem, projektodawcą i organizatorem. A on tylko zręcznie przechwycił moją inicjatywę...
- Nie próbował pan walczyć o ustalenie tego autorstwa?
- Nie. Nieopłacalna impreza. Ta satysfakcja mogłaby zakończyć się rozstaniem z Instytutem... A ja pracuję tutaj dwadzieścia lat. Nie chciałem psuć sobie stosunków w imię tej satysfakcji.
- Właśnie, jakie są te stosunki?
- Trudno to określić w jednym zdaniu. I dobre i złe, takie jak wszędzie.
- Mówił pan o układach, jakie miał inżynier Stawiński. Na czym, czy raczej na kim się one opierały?
- Leszek jest spowinowacony z żoną dyrektora Mleczi. Bardzo się lubią. A Mleczo jest zwykłym pantoflarzem. Słucha żony bezkrytycznie. Ja, niestety, naraziłem się kiedyś pani dyrektorowej. Nawet już nie pamiętam, kiedy to było. Ale na jakimś przyjęciu u nich niebacznie coś skrytykowałem, rozmawiając przy stole z moją sąsiadką. Chodziło o drobiazg, dobór potraw czy win. Musiała jej powtórzyć, bo dyrektorowa przestała mnie zapraszać, a dyrektor wyraźnie ochłódł.
- Kim z zawodu jest żona pańskiego dyrektora?
- Dyrektorowa. Pracuje jako kierowniczką sklepu

w czeskim ośrodku kulturalnym i snobuje się na znajomości wśród artystów.

– To powinna zabiegać o stosunki z pańską żoną...

– Tak by się wydawało, ale ona nie lubi ładnych, utalentowanych kobiet. Jest brzydka jak noc i głupia. Przyjmuje za dobrą monetę komplementy, którymi ją raczą pracownicy Instytutu w trosce o dobrą opinię u dyrektora. O awans. Mnie osobiście nie odpowiada ta metoda, więc...

– Sądzi pan, że z tej racji nie został pan kierownikiem zespołu?

– Tak. Ominął mnie również przywilej piastowania stanowiska zastępcy. Stawiński wytypował Laskowskiego. Ma do niego bezwzględne zaufanie. Przy każdej okazji podkreśla jego umiejętności zawodowe i organizatorskie...

– A naprawdę?

– Naprawdę Laskowski jest niezły zawodowo. Ty-le, że leser. Ledwo Stawiński wyjechał, on zachorował. Na mnie spadła cała robota. To nie pierwszy raz. On lubi zwałać pracę na innych. Sam zbiera tylko laury.

– Dlaczego w takim razie właśnie on cieszył się bezwzględnym zaufaniem szefa?

– To dłuższa historia. Kilkanaście lat temu Stawińskiemu powinęła się noga. Wziął na siebie ryzyko związane z opracowaniem pewnego wynalazku. W badania włożono mnóstwo państwowych pieniędzy i wyszedł niewypał. Stawiński komuś się wtedy naraził i zrobiono z tego aferę. Mówiło się o nadużyciu zaufania, marnotrawstwie, lekkomyślności. Jedyńm człowiekiem,

który wówczas Stawińskiego bronił i obronił, był Laskowski. Bardzo się w tę sprawę zaangażował. Biegał po urzędach. Załatwiał. Twierdził, że naukowiec nie tylko ma prawo, ale i obowiązek podejmowania uzasadnionego ryzyka, że bez tego ryzyka niemożliwy jest postęp. Potrafił przeforsować swoje racje. Stawiński ocalał i teraz z wdzięczności przymyka oczy na wady Laskowskiego. Toleruje jego nieróbstwo, nie reaguje na jego manię leczenia się na urojone choroby.

– A może rzeczywiście jest chory?

– Wmówił sobie chorobę. – Kłosek uśmiecha się ironicznie. – Jest zdrow jak koń. Przejął się diagnozą jakiegoś lekarza, który stwierdził, że ma osłabiony system nerwowy i powinien się leczyć. Teraz z byle głupstwem pędzi do tego lekarza, bierze od niego zwolnienia i zamęcza nas opowiadaniem o swoim stanie zdrowia. Kupuje nawet książki medyczne.

Zawiść jako motor sprzedaży wynalazku? Zemsta za nieujawnienie autorstwa? – rozważa Bieżan wracając do siebie.

Rozdział V

Na biurku Bieżana plik informacji. Ta pierwsza partia zawiera wstępne ustalenia dotyczące interesujących go ludzi, kręgu ich kontaktów.

Przerzuca je kolejno.

Dyrektor Instytutu, czterdziestodwuletni docent Antoni Mleczko. Nominację na dyrektora tej

placówki otrzymał w 1962 roku. Poprzednio pracował w resorcie łączności na stanowisku naczelnika resortowej komórki wynalazczości. W aktach personalnych z tego okresu plik pochwał, wniosków awansowych, odznaczeniowych. W opinii podkreśla się, że przyczynił się do wdrożenia wielu wynalazków i patentów.

Jako nowy dyrektor nowego Instytutu zaczął działalność od ściągnięcia najlepszych specjalistów, zadbał o stworzenie im warunków do pracy badawczej, o wyposażenie Instytutu w najnowsze importowane urządzenia, nie oszczędzał na ich płacach. Te posunięcia dały rezultaty: fachowcy pchali się drzwiami i oknami. Można było wybierać i wybrzydzać. Wyniki ich badań niejednokrotnie stanowiły rewelacje naukowe. I tak placówka zyskała sławę wylęgarni talentów, a Mleczek opinię świetnego, niezastąpionego kierownika-organizatora. Znowu zbierał laury, stawiano go za wzór, chwalono, nagradzano.

Mleczek zrobił na Bieżanie wrażenie człowieka dbającego o tę opinię, o swoją utrwaloną już pozycję, człowieka, który chciałby uniknąć rozgłosu związanego ze sprawą dokumentacji nawet za cenę pozbycia się najlepszych pracowników, jeśli na któregoś z nich padłby choć cień podejrzenia.

Dlatego, ocenia Bieżan, jego opinie na temat członków zespołu Stawińskiego nacechowane były ostrożnością i nieco enigmatyczne.

– Stawiński to fachowiec wysokiej klasy, dlatego dałem mu wolną rękę w doborze członków zespołu.

Wziął za nich pełną odpowiedzialność – wyjaśniał Biezanowi podczas przeprowadzonej niedawno rozmowy. – Nie miałem żadnych podstaw, aby mu nie ufać. Nikt dotąd nie postawił mu zarzutów, które by go zdyskwalifikowały. Zdarzył mu się wprawdzie kiedyś nieudany eksperyment, jego realizacja kosztowała nas sporo pieniędzy, ale stwierdzono wówczas, że było to przedsięwzięcie w ramach dopuszczalnego ryzyka. Jako człowiek? Oceniałem go zawsze jako uczciwego, solidnego, odpowiedzialnego pracownika...

– Dlaczego mówiąc o nim używa pan czasu przeszłego? – przerwał wtedy dyrektorskie wywody. – Czy coś się zmieniło w pańskich ocenach?

– Nno nie... Tylko ta historia z ERA-13... Dlaczego on się tak upierał, żeby jechać na to sympozjum? Jakby mu na tym szczególnie zależało – dyrektor podkreśla słowo „szczególnie”. – Sprzeciwiałem się. W końcu, pod naciskiem, musiałem ustąpić. Wiadomo, czołowy specjalista, ceniony, hołubiony przez resort za nowatorskie rozwiązania!

– W tych nagrodach, które inżynier Stawiński otrzymał, tkwi też sporo pańskiej inicjatywy – rzucił od niechcienia, ciekaw reakcji tamtego.

– Wie pan, majorze, to nie całkiem tak... Człowiek zawsze ulega naciskom środowiska... Skoro inni spece tak wysoko go cenią, należy ich zdanie uszanować, inaczej powiedzą, że dyrektor nie docenia osiągnięć swoich specjalistów... Niełatwo być dyrektorem takiej placówki. – Z piersi wrywa się głębokie westchnienie.

– Jak pan ocenia inżyniera Żalińskiego? – spytał, wiedząc o zażytych stosunkach łączących ich jeszcze z czasów wspólnej pracy w resorcie łączności.

Dyrektor spojrzał na niego spod oka.

– Żaliński jest uważany za jednego z najlepszych resortowych speców od spraw eksploatacji urządzeń radiolokacyjnych. Na wniosek inżyniera Stawińskiego załatwiłem oddelegowanie go do prac w nowo tworzo-
nym zespole.

Dbą o to, aby się asekurować, myśli Bieżan słuchając tych wypowiedzi. Z ustaleń moich ludzi wynika, że Żaliński istotnie został oddelegowany do prac w zespole, ale na wniosek samego dyrektora. Stawiński zgodził się tylko na tę, propozycję.

– Czy inne kandydatury wysunięte przez Stawińskiego nie budziły pańskich zastrzeżeń?

I znów ta sama ostrożność sformułowań.

– Raczej nie. W każdym razie nie miałem żadnych konkretnych zarzutów: I Laskowski, i Kłosek mają duży dorobek w tej dziedzinie. Jeśli chodzi o zachowanie tajemnicy służbowej, to uprzedzałem Stawińskiego, że mogło być parę „ale”... Syn Laskowskiego jest narkomanem. Oczywiście ojcowie nie mogą odpowiadać za dorosłe dzieci, ale wiadomo, taki chłopak potrzebuje pieniędzy na narkotyki... Jeśli ich nie ma, skorzysta z każdej okazji... Żona Kłoska to piosenkarka stale wyjeżdżająca za granicę. Jakieś atrakcyjne engagement być może stanowiłoby dla niej nieodpartą pokusę... Ja niko-
go o nic nie podejrzewam, mówię dla porządku, skoro pan major pyta...

– O ile mi wiadomo, pańska żona także obraca się w sferach artystycznych – rzuca od niechcenia.

– Pan to mówi á propos? Ależ Zosia, moja żona, ma innego rodzaju znajomości. Wśród ludzi serio, uznanych aktorów, plastyków, malarzy, a nie wśród jakichś tam artystów estrady...

– Kto wysunął kandydaturę inżyniera Ireneusza Jamnickiego jako opiniodawcy? – pyta dalej, chcąc przyprzeć dyrektora do muru. Przyjaźń łącząca go z Jamnickim od wielu lat jest publiczną tajemnicą.

– Kierownictwo resortu. Widać ocenili, że najlepiej wywiąże się z tego zadania. Instytut podlega resortowi, obowiązują nas ich decyzje.

– Czy nie uważa pan, dyrektorze, że opiniodawcy nieco przeciągnęli w czasie przygotowanie opinii?

– Trudno mi się do tego ustosunkować, ocenić pracochłonność. Po prostu nie znam tej dokumentacji. Nie miałem do niej dostępu. Zresztą nie starałem się o to. Skoro ERA-13 miała służyć także naszej obronności, samo przez się było zrozumiałe, że prace muszą być otoczone najgłębszą tajemnicą. Uznaliśmy, że nie należy poszerzać kręgu ludzi znających rozwiązania i materiały. Nawet o mnie. Oczywiście znałem założenia, byłem poinformowany o postępach i wynikach badań w sposób ogólny. Dlatego nie mogę się wypowiedzieć w tej sprawie w sposób wiążący. Z naszej dotychczasowej praktyki wynika, że opiniodawcy nie przekroczyli granic czasu uznanych za niezbędne.

– Przy takim tempie opiniowania może się zdarzyć, że nawet rewelacyjne rozwiązania zdezaktualizują się.

Na przykład ktoś inny wpadnie na taki sam pomysł – rzucił nieco złośliwie, bo prawdą mówiąc to tempo oceniał jako ślimacze.

Tamten bezradnym gestem rozłożył ramię.

– Cóż ja na to mogę poradzić? Czy sądzi pan, że tak właśnie stało się w tym konkretnym przypadku? – spytał z nadzieją w głosie.

– Nic na razie nie sądzę – zakończył rozmowę. – Wyjaśniamy sprawę.

Asekurant i to niewąski, myśli Biezan sięgając po informacje o zaprzyjaźnionych z dyrektorem specjalistach.

Inżynier Anatol Żaliński jest w wieku dyrektora. Razem z nim pracował przez jakiś czas w komórce wynalazczości. Później przeniósł się do innego działu i do chwili oddelegowania go do prac w zespole zajmował się wdrażaniem nowych urządzeń radiolokacyjnych, prowadził badania nad efektywnością ich funkcjonowania podczas eksploatacji. Dysponował wiedzą i doświadczeniem. Wysunięcie jego kandydatury było uzasadnione nie tylko przyjacielskimi kontaktami z dyrektorem.

Ale właśnie dzięki tym przyjacielskim kontaktom Mleczo mógł być prywatnie informowany o postępach prac nad ERA-13, o wszystkich zastosowanych tu rozwiązaniach. Wprawdzie Żaliński nie brał udziału w całości opracowania, zajmował się tylko jego fragmentem, ale prowadząc badania pod kątem potrzeb eksploatacyjnej praktyki musiał orientować się w całokształcie opracowania. A skoro tak, rozumuje Biezan, trudno

uwierzyć, by obaj panowie spotykając się prywatnie omijali w rozmowach interesujące ich obu tematy zawodowe, by nie dyskutowali na temat nowego opracowania.

O takich sprawach łatwiej rozmawiać z kumplem, nawet go o coś zapytać, niż na przykład ze Stawińskim, który jest małomówny, skryty, pochłonięty pracą. To żaden partner do półprywatnych pogaduszek, szczególnie na temat ERA-13. Jak wynikało z dokonanych ustaleń, Stawiński pilnował zachowania tajemnicy badań nader skrupulatnie, nawet, jak niektórzy oceniali, przesadnie.

Farbę puścić mógł także inny przyjaciel dyrektora Mleccki – inżynier Ireneusz Jamnicki. Ten, jako rzeczoznawca, znał całość dokumentacji, dysponował nią i mógł ją także udostępnić. Do wglądu. Właśnie, czy było to możliwe? Trzeba sprawdzić w tajnej kancelarii. U niego. I innych opiniodawców. Bieżan notuje zadania dla swoich ludzi.

Na wysunięciu przez Mleczkę kandydatury Jamnickiego, lub też inaczej, na zręcznym zaserwowaniu takiej propozycji, zaważyły względy nie mające raczej nic wspólnego z oceną jego fachowości.

Jamnicki, jak wynikało z ustaleń, za orła nie uchodził. Niektórzy powiadali o nim, że jest pedantycznie skrupulatny w wykonywaniu poleceń zwierzchników i tylko w tym zakresie przejawia inicjatywę. Jego kwalifikacje naukowe, wprawdzie udokumentowane w aktach personalnych, nie są oceniane równie jednoznacznie

jak papierki. Nie sprawdził się w praktyce. Do pracy badawczej się nie nadawał. Brakowało mu inwencji, odwagi, pasji, chęci do usamodzielnienia się. Urodził się, oceniano, na dobrego urzędnika i takim pozostał. Studiował w latach pięćdziesiątych, zajmując stanowisko dyrektora jednego z departamentów. Studiował nie po to, aby zdobyć wiedzę, ale po to, by papierkiem wzmocnić pozycję. Było wysoce prawdopodobne, że ta pozycja wpłynęła na stosowanie wobec niego ulgowej taryfy. Bieżan sam studiował w tym okresie i znał te mechanizmy. Sam mógł je wykorzystać, ale on po prostu chciał się uczyć. Chciał zdobytą wiedzą służyć krajowi.

Jamnicki zdobył i umocnił swoją pozycję w resorcie. Był dobrze widziany. Jego oceny liczyły się. W interesie Mleczki leżało zdobycie takiego właśnie kumpla-konsultanta, który, w wypadku gdyby inne oceny nie były zbyt entuzjastyczne, zrównoważyłby negatywy swoją – rzecz jasna – pozytywną opinią. Dla dyrektora byłoby to uzasadnieniem celowości podjętych w Instytucie prac i zarazem podkładką służącą do rozliczenia kosztów.

Asekurowanie się na wszelki wypadek. Takie działanie pasuje do obrazu Mleczki. Do jego cech, sposobu myślenia. Bieżan jest niemal pewny, że się nie myli. I jeszcze jedno jest pewne! Mleczko miał możliwość zapoznania się z całością prac nad wynalazkiem, mógł mieć dostęp do dokumentacji za pośrednictwem swoich znajomych. A skoro tak, wchodził w krąg potencjalnych

podejrzanych. Krąg się poszerzał. Jak dotąd nikogo nie udało się z niego wyeliminować.

Rozdział VI

– Stary jest dziś jak chmura gradowa – uprzedza Bieżana Jola, sekretarka pułkownika Ziętary. – Nie wiadomo kiedy i na kogo spadnie gradobicie. Nie pchaj się do niego, jeśli nie musisz.

– Muszę – stwierdza, prosząc, by zaanonsowała go pułkownikowi.

Wczoraj upłynął termin przedłożenia szefowi planu zamierzonych czynności. Ziętara nie toleruje takich opóźnień, reaguje na nie szczególnie ostro, zwłaszcza gdy chodzi o przyjaciół. Od przyjaciół wymaga więcej. Bieżan liczy się więc serio z możliwością, że gradobicie spadnie na jego głowę.

Nie myli się.

– Przygotowałeś wreszcie ten plan? – wita go warknięcie. – Miałeś go zrobić na wczoraj.

– U nas zawsze wszystko ina być na wczoraj – próbuje rozładować napięcie żartem, ale milknie spojrzawszy na zasępioną twarz przyjaciela.

– Siadaj! – znów to warknięcie. – Siadaj i referuj. Dlaczego zawałiłeś ustalony termin?

– Musiałem najpierw ustalić wzajemne powiązania pracowników Instytutu i przeanalizować wstępne informacje. Teraz dopiero plan czynności trzyma się kupy.

- Co ustaliłeś?
- Zespół pracujący nad dokumentacją ERA-13 zakończył działalność w październiku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. W listopadzie dokumentacja wraz ze wszystkimi załącznikami została przekazana do zaopiniowania kolejno trzem ekspertom: z dowództwa lotnictwa oraz z resortów komunikacji i łączności. Była w ich dyspozycji szesnaście miesięcy, czyli do marca siedemdziesiątego pierwszego roku. W związku z tym za podstawowe zadanie uznałem skompletowanie listy osób, które w tym okresie miały bądź mogły mieć pośredni lub bezpośredni dostęp do dokumentacji, oraz ustalenie ich kontaktów krajowych i zagranicznych w tamtym okresie, a także aktualnych. Jest bowiem prawdopodobne, że nawiązany wówczas kontakt, mający na celu sprzedaż lub przekazanie mikrofilmów z dokumentacją, przetrwał do dziś i że tu może tkwić potencjalne źródło ewentualnych dalszych przecieków. Jednocześnie muszę ustalić, w jaki sposób chroniono dokumentację w Instytucie i w czasie, gdy znajdowała się ona u opiniodawców. Kto znał system ochrony, kto miał dostęp do sejfu Instytutu, w którym była przechowywana, a także do sejfów czy kas pancernych u opiniodawców. Tam w grę wchodzi także dostęp do tajnych kancelarii i kontakty ich pracowników. To tyle, jeśli chodzi o planowane ustalenia tu, w kraju. – Bieżan milknie, zapala papierosa.
- Masz już jakieś informacje z zagranicy? – Zięta-ra nie podnosi głowy znad kartki, na której kreśli jakieś

esy floresy. Nieomylny znak, że słucha uważnie.

– Stacja radiolokacyjna zainstalowana na bawarskim lotnisku, ta, którą, jak twierdzi, zidentyfikował Stawiński, ma „metkę” producenta, firmy „Harram”. Firma ta, ustaliliśmy, mieści się w Hamburgu i, co najciekawsze, nie dysponuje zapleczem przemysłowym, umożliwiającym wyprodukowanie tego typu urządzenia. Musimy więc zebrać szczegółowe informacje o tej firmie. Czym się zajmuje, czy dysponuje zapleczem laboratoryjnym, jakie ma zaplecze naukowe i kto personalnie stanowi to zaplecze. W dalszej kolejności trzeba będzie ustalić krąg znajomości zatrudnionych tam specjalistów pod kątem ich kontaktów z krajem, pośrednich czy bezpośrednich, ich związki i ewentualne powiązania z wywiadem.

– Oczywiście, analizując kontakty zagraniczne naszych speców, sprawdzisz je pod kątem styków z tą firmą i związanymi z nią ludźmi. Być może firma „Harram” jest znana naszym centralom handlu zagranicznego. Trzeba by i od nich ściągnąć informacje. Jeśli mają bądź mieli kontakty handlowe z tą firmą, ustal kto brał udział w pertraktacjach. Być może istnieje jakiś styk personalny między handlowcami którejs z tych central a Instytutem – dorzuca Ziętara. – Mów dalej.

– Punktem wyjścia wszelkich naszych rozważań jest czas. Musimy znaleźć odpowiedzi na następujące pytania: kiedy zainstalowano radiolokator na bawarskim lotnisku, czy jest to jedyne funkcjonujące już tego rodzaju urządzenie, gdzie i kiedy wyprodukowano ten

radiolokator, gdzie i kiedy dokonano prób z prototypem, ile czasu zajęła im produkcja prototypu, kto i gdzie go wykonał? Czy uważasz, że ten plan trzeba jeszcze uzupełnić? – zwraca się do Ziętary.

Mars na czole pułkownika zniknął. Bieżan jest niemal pewien, że burza przeszła bokiem.

Ziętara milczy. Nadal kreśli na kartce esy floresy. Milczenie się przeciąga.

Bieżan wie, że pułkownik zastanawia się, przetrawia uzyskaną informację, szuka luk w przedłożonym mu planie. Zaakceptuje, czy też będzie wymagał dodatkowych uzupełnień?

– Koncepcja nie jest zła – przerywa milczenie Ziętara. – Tylko jest jedno ale... Realizacja tego planu potrwa co najmniej kilka miesięcy.

Sama eliminacja będzie niesłychanie pracochłonna. Będziesz potrzebował wielu ludzi i środków.

A kryteria mogą się okazać zawodne.

Bieżan jest zdziwiony.

– Dlaczego? Przede wszystkim bierzemy pod uwagę czas. Po drugie, w grę wchodzi tylko ludzie, którzy w interesującym nas okresie mieli dostęp do dokumentacji i pośrednie bądź bezpośrednie możliwości kontaktów z interesującą nas firmą, z jej przedstawicielami, którzy mogli upłynnić mikrofilm kanałem wywiadowczym.

Ziętara spogląda na niego spod oka.

– Przypominam ci, że ten, jak powiadasz, interesujący nas okres mieści się w granicach nie dni czy tygodni, ale szesnastu, a nawet dwudziestu miesięcy. Nie

można wykluczyć, że przeciek nastąpił w końcowej fazie prac. W istocie granice czasu są płynne, trudne do skonkretyzowania. Odtworzyć w tak rozciągliwym okresie wszystkie kontakty pośrednie i bezpośrednie interesujących nas ludzi na styku zagranica – kraj to robota gigant, nie dająca pewności co do rezultatów. Drobną omyłką w zakreśleniu tego okresu i przez sieć eliminacyjną, z takim trudem zmontowaną, ktoś się może prześliznąć. I to właśnie może być sprawca.

– Masz rację. Ale nie widzę na razie innego rozwiązania. Ustalenie daty produkcji prototypu pozwoli zawęzić czas, ułatwić wstępną eliminację.

– Jeśli tak, to w twoim planie są luki. Nie przewidziałeś konieczności zasięgnięcia opinii u naszych speców, którzy po zapoznaniu się z dokumentacją powinni ustalić minimum czasowe niezbędne do dokonania zdjęć wszystkich dokumentów, oceny ich przydatności i przygotowania opinii oraz czas potrzebny do wyprodukowania tego rodzaju prototypu, przy założeniu, że producent dysponujący najnowocześniejszymi urządzeniami działa z maksymalnym pośpiechem w obawie, abyśmy go nie wyprzedzili. Prócz minimum czasowego eksperci muszą obliczyć i maksimum czasowe. W tych wszystkich sytuacjach.

– Po co? Jeśli ustalimy datę rozpoczęcia budowy prototypu, będzie to punkt wyjściowy do zakreślenia górnej granicy czasu. Od tej daty, idąc wstecz, odliczymy czas niezbędny do zaopiniowania u nich i przetransportowania z kraju do RFN mikrofilmu. Ta matematyka

umożliwi nam ustalenie krytycznego czasu z dokładnością do miesiąca, najwyżej dwóch. Odpada wówczas konieczność odtwarzania sytuacji i kontaktów w okresie dwudziestu miesięcy.

– Warianty minimum i maksimum pozwolą nam ustalić i dolną granicę. A przede wszystkim będzie można ocenić, czy twoja hipoteza o świadomym przetrzymywaniu dokumentacji przez któregoś z opiniodawców ma realne podstawy.

– Masz rację. Uzupełnię plan.

– Zastanów się także nad inną koncepcją. Chodzi mi o wybór drogi szybciej prowadzącej do celu.

– Jeśli tylko złapiemy jakąś nić...

– Pomyśl, jak to zrobić. To ważne. Masz nosa do takich spraw.

– Zawsze się podśmiewałeś z mego „nosa”, ale dotychczas w pojedynkach z nimi zawsze byliśmy górą.

Mars znów się pojawia na czole Ziętarey.

– Dotychczas – mówi wolno – udawało się nam uprzedzić ich działania. Zapobiec takim przeciekom. Tym razem ogniwa zabezpieczające nawaliły. Dlaczego? Poszkapiliśmy i tego nie nadrobi nawet najdoskonalwsze śledztwo. Gryzie mnie ta myśl. Ten odcinek jest także sprawą do wyjaśnienia. – Odwraca głowę do okna. Mars na czole się pogłębia.

Rozdział VII

Gmach opustoszał, tylko dyżurni tkwią na stanowisku dowodzenia. Bieżan wciąż nie może się uporać z nową porcją informacji i meldunków, a z dnia na dzień, w miarę zwiększania się kręgu osób objętych obserwacją, w miarę realizacji założonych w planie czynności, ich liczba wzrasta. Napływające systematycznie materiały trzeba szczegółowo przeanalizować. Bez tego nie da się ustalić dalszych kierunków działania.

Robota księgowego, myśli ze złością, porównując harmonogramy prac nad ERA-13 z dokumentacją świadczącą o ich systematycznej realizacji. Ten to umie planować realnie, podziwia Stawińskiego i trochę mu zazdrości, bo on sam najbardziej lubi improwizację w sytuacjach nieprzewidzianych i nie do przewidzenia. Ale teraz i on musi realizować zaplanowane czynności. Wertuje więc dokumentację stanowiącą dla niego – humanisty, czarną magię, po to, by sprawdzić, czy zwłaszcza w ostatniej fazie prac nie zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Coś, co opóźniło bądź przyspieszyło prace, ślad jakiegoś zdarzenia, być może nitki mogącej ułatwić znalezienie punktu zaczepienia.

Nadzieja okazuje się płonna. Odkłada więc harmonogramy i sprawozdania na bok, wzdycha z ulgą, że ma to już za sobą, i zabiera się do wertowania informacji dotyczących sposobu zabezpieczenia dokumentacji w

Instytucie. Z materiałów wynika, że dostęp do sejfu, w którym była przechowywana, mieli tylko Stawiński, Laskowski i Kłosek. Oni dysponowali kluczami i – co najważniejsze – znali szyfr, umożliwiający otwarcie sejfu. Bez znajomości szyfru klucze były nieprzydatne, ale mimo to zabezpieczali je starannie, przechowując w skrytce w gabinecie dyrektora Mleczki. Z kolei klucze od tego gabinetu oraz od pomieszczeń zajmowanych przez zespół Stawińskiego odnoszono na wartownię, gdzie wisiały w oddzielnej, stale zamkniętej, małej szafce. Wartownicy mogli wydać je jedynie sprzątającej stale te pomieszczenia kobiecie, która po skończonej pracy odnosiła je na wartownię. Rano z wartowni zabierali je inżynierowie z zespołu Stawińskiego lub Joanna Zaliwska, sekretarka Mleczki. Ona też pod nieobecność dyrektora wydawała klucze od sejfu. Zespół kończył pracę o szesnastej i nie zdarzyło się, aby jego członkowie pracowali po tej godzinie. Tylko dwa razy wydawano klucze od tych pokoi wieczorem. Dwudziestego września 1969 roku o godzinie osiemnastej zabrał je dyrektor przeprowadzający inspekcję wszystkich pomieszczeń, a jedenastego października tego samego roku o dwudziestej do pomieszczeń zespołu wpuszczono strażaków. Okazało się, że któryś z wartowników obchodzących gmach wieczorem poczuł silny swąd. Sprawdzał więc wszystkie pomieszczenia na drugim piętrze i w efekcie w gabinecie Stawińskiego odkrył jego źródło. Tlił się duży dywan. Straż pożarna zlikwidowała ogień w zarodku, ustalając, że jego przyczyną

stał się wrzucony do kosza od śmieci nie zgaszony niedopałek papierosa.

Bieżan notuje obie daty i związane z nimi zdarzenia. Jego ludzie muszą wyjaśnić wszystkie okoliczności. Każdy nieistotny zdawałoby się drobiazg może mieć znaczenie, może okazać się ową przysłowiową nitką. Na razie nie ma nie tylko nitki, ale nawet jej śladu, wzdycha Bieżan, grzebiąc się dalej w papierach. Jak wynika z ustaleń, dokumentacja leżała w sejfie Instytutu do 20 listopada 1969 roku. Tego dnia została przekazana protokolarnie rzeczoznawcy z dowództwa lotnictwa docentowi pułkownikowi Janowi Walasowi, który po zaopiniowaniu zwrócił ją 20 lutego 1970 roku. Przez ten trzymiesięczny okres materiały były przechowywane w specjalnym sejfie dowództwa. Tajna kancelaria wydawała je rzeczoznawcy codziennie rano i odbierała po skończonej pracy.

Ten tryb postępowania obowiązywał także w resortach cywilnych. Gdyby w tajnej kancelarii stwierdzono wypadek zatrzymania dokumentów w dniu, w którym zostały pobrane do studiów, od razu musiałyby wkroczyć komisja i szczegółowo zbadać jego przyczynę. Jakikolwiek uchybienia w tej kwestii oznaczałyby co najmniej sankcje dyscyplinarne wobec winnych. Jest rzeczą zgoła nieprawdopodobną, żeby ktoś, komu zależało na zapoznaniu się z ich treścią, mógł sobie pozwolić na taki krok bez obawy następstw. Nie tędy więc droga, myśli Bieżan. Trzeba sprawdzić, kto i kiedy wypożyczał dokumenty i jak długo nad nimi pracował? Zrobienie odpisów, wyciągów czy może nawet fotokopii

to już sprawa łatwiejsza, choć też nie pozbawiona ryzyka. A może w grę wchodziła tylko pamięć? Tego też nie można wykluczyć. Fachowiec wypożycza cząstkowe materiały, nie wynosi ich poza obręb miejsca pracy, oddaję zgodnie z przepisami, ale zapamiętuje kolejno poszczególne elementy i już w bezpiecznym dla siebie miejscu tego samego dnia odtwarza ich treść punkt po punkcie. Metoda pracochłonna, ale skoro zakłada się ewentualność powiązań z wywiadem, trzeba ją brać pod uwagę.

Rozmowa z kierownikiem tajnej kancelarii w resorcie łączności formalnie wnosi niewiele. Owszem, ekspert Ireneusz Jamnicki przejął pakiet dokumentów z Instytutu i pracował nad nimi od 22 lutego do 31 sierpnia 1970 roku, czyli sześć miesięcy Trudno powiedzieć, czy nie za długo. W tej kwestii mógłby wyrazić opinię inny ekspert tej samej klasy. Dokumenty były przechowywane w sejfie. Jamnicki każdego dnia odbierał za pokwitowaniem część materiałów i zwracał je przed wyjściem z pracy. Tylko część – zapamiętuje Biezan. Lustracja gabinetu Jamnickiego, przeprowadzona w godzinach wieczornych pod pretekstem kontroli ochrony przeciwpożarowej, upewnia majora, że na miejscu nie mógł robić odpisów. Gabinet, mały pokój, znajdował się obok większego pomieszczenia, gdzie pracowali specjaliści od telekomunikacji, łącznie pięć osób. Drzwi były stale otwarte, odwiedzano się wzajemnie, sekretarka w różnych godzinach przynosiła kawę lub herbatę. Jamnicki mógł się wprawdzie odizolować, ale często

zachodził do niego zastępca dyrektora. Jeśli nawet sporządzenie notatek teoretycznie było możliwe, osoby postronne mogły się tym zainteresować. Obowiązywała bowiem zasada, że wszystkie pomocnicze obliczenia prowadzi się w znormalizowanym notatniku, opieczętowanym i także przechowywanym w tajnej kancelarii. Bieżan jeszcze raz dochodzi do wniosku, że jeśli można mówić o przecieku, to nie w tym ogniwie. Należało go szukać w kontaktach Jamnickiego, a więc poza resortem, a to był już problem znacznie trudniejszy.

Podobne wnioski wysnuwa po zbadaniu sytuacji w resorcie komunikacji. Tajna kancelaria pracowała tam także bez zarzutu, wewnętrzny obieg dokumentów był stale kontrolowany. „U nas świstek nie zginie – zapewnił go kierownik. – Od każdego, kto rano pobierze swoją teczkę, o piętnastej mam ją z powrotem”. Wpisy w dziennika, prowadzone z dokładnością co do minuty, potwierdzały jego słowa. Rzeczoznawca, specjalista od problemów ruchu powietrznego, inżynier pilot Andrzej Kałużko pracował nad dokumentacją od 5 września do 20 lutego 1971 roku, a więc tyle co Jamnicki. Zajmował się także opiniowaniem fragmentarycznych materiałów, zaczynając od elementów prostych i stopniowo przechodząc do złożonych, aby dopiero w końcowej fazie analiz wydać opinię o całości projektu, nawiasem mówiąc bardzo precyzyjną i poza kilkoma uwagami krytycznymi pozytywną. Kałużko przeszedł do resortu z lotnictwa komunikacyjnego na skutek choroby serca,

uniemożliwiającej mu dalszą pracę w powietrzu. W nowym miejscu wyrażano się o nim różnie. Z natury towarzyski, rzutki i energiczny, o dużym poczuciu humoru i zaskakującym ludzi refleksie, potrafił być także skryty, małowówny, czymś przybity i rozgoryczony. Niektórzy kładli lo na karb kłopotów finansowych wiążących się z chorobą jego żony. Inni twierdzili, że ta rzekoma choroba to po prostu ktoś „trzeci”, z którym jego ślubna jakoby wyjeżdża na „sanatoryjne leczenie”. Zwrócono też uwagę na inny szczegół: od pewnego czasu – i tę datę trzeba było dokładnie ustalić! – sytuacja finansowa Kałuszki uległa zmianie na lepsze. Podejrzewano, że ma on jakieś uboczne dochody, choć nikt nie potrafi! wskazać na źródła. Pozostawały tylko domysły, a te na ogół były wynikiem fantazji. Biezan oceniał sytuację trzeźwo pieniądze nie leżą na ulicy. Jeśli jest prawdą to, co mówią jego koleżanki i koledzy z resortu, sprawa kwalifikuje się do wyjaśnienia. Kto wie, czy nie łączy się ona z przeciekami informacji o radiolokatorze ERA-13. Teza jest oczywiście wstępna, robocza, założona hipotetycznie, ale tak już bywa, że od czegoś trzeba zacząć, aby ją później, po szczegółowym sprawdzeniu, przyjąć lub całkowicie odrzucić.

Biezan domyślał się, gdzie tkwi przyczyna zmiennych nastrojów Kałuszki. Ten „dziwak”, jak go niektórzy nazywali nie bez odrobiny ironii, musiał się rozstać ze swoim zawodem. Dla każdego pilota jest to głęboki wstrząs, życiowa klęska, „przepustka do parku sztywnych”, jak sami mówili. Przystosowanie się do nowych

warunków, do pracy w środowisku, które nie rozumie pasji latania, przebiega powoli, nie bez wahań i wewnętrznych oporów. Nie można wykluczyć, że właśnie dlatego w połowie 1970 roku wynajął kawalerkę na Hożej, gdzie urzędza przyjęcia dla swych kolegów, pilotów i techników, którzy przychodzą z ładnymi dziewczynami. Bywa tam także sekretarka dyrektora Instytutu, Joanna Zaliwska, aktualna przyjaciółka Kałuszki. Może ona jest w stanie pojąć cios, którego doznał? Wszystko zdaje się mieć sensowne usprawiedliwienie, ale wśród zagranicznych znajomych Kałuszki, z okresu gdy jeszcze latał, figuruje pewien inżynier zatrudniony na bawarskim lotnisku, właśnie tam, gdzie zainstalowano radiolokator skonstruowany według rozwiązań technicznych ERA-13.

Ten splot okoliczności może być czystym przypadkiem, ale jeśli to nie przypadek? Kałuszko jest więc pod ścisłą obserwacją, podobnie jak i Zaliwska. Ustala się szczegółowo kontakty ich obojga.

Podobnie jest z Jamnickim. Dość szybko obserwacja ustaliła, że i on ma kontakty z RFN. Z meldunków wynika, że ostatnio po pracy spotkał się w kawiarni „Niespodzianka” z niejaką Gertą Kunst, „turystką” z Monachium, bawiącą czasowo w Warszawie, że wymienili między sobą jakieś małe paczuszki identycznie opakowane w różowy papier i przewiązane niebieskim sznurkiem Następnego dnia obserwowany około osiemnastej zjawił się na Pięknej u doktora Halperna.

Z ustaleń dokonanych przez ludzi Bieżana wynika, że syn inżyniera Laskowskiego został zatrzymany przez funkcjonariuszy KD MO – Śródmieście z kilkoma młodymi narkomanami. Przy młodym Laskowskim znaleziono około 100 ampułek środka halucynogennego produkowanego za granicą. Środek ten objęty jest zakazem przywozu. W jaki sposób ten chłopiec go zdobył? Jakiego było jego przeznaczenie? Wyjaśnienie tej sprawy mogło rzucić światło i na osobę ojca. Laskowski, jako zastępca Stawińskiego, miał stały dostęp do całości materiałów, znał szyfr otwierający sejf, a wśród jego zagranicznych znajomych był doktor Ackermann, brat współpracującego z firmą „Harram” specjalisty elektronika. To może być ten poszukiwany punkt zaczepienia, ocenia Bieżan, notując na kartce związane z tą informacją zadania.

Jest i inna również ciekawa wiadomość. Wśród specjalistów związanych z firmą „Harram” figuruje profesor Rau, z którym właśnie spotkał się inżynier Stawiński podczas swego pobytu w RFN. Czy spotkanie to było specjalnie nagrane, czy też przypadkowe?!

Rozdział VIII

– Macie już tę ekspertyzę? – niecierpliwi się Bieżan.

Dla niego sprawa jest paląca. Od uzyskania odpowiedzi na długą listę pytań przesłanych ekspertom wraz z dokumentacją ERA-13 zależą dalsze posunięcia,

a przede wszystkim możliwość dokonania wstępnej eliminacji w oparciu o kryterium „czasu”, podstawowe, jego zdaniem, w tej sprawie. Bez tego trudno ruszyć z miejsca, dokonać próby przypasowania uzyskanych informacji do możliwości czasowych. Czynności rutynowe, jak zresztą się spodziewał, nie dały rezultatów.

Badania daktyloskopijne dokumentacji zostały zakończone, trwa jeszcze identyfikacja ujawnionych na tych materiałach linii papilarnych. Ale jak dotąd nie stwierdzono, by ktoś oprócz upoważnionych miał ją w ręku.

Badania mechanoskopijne zamka sejfów zakończyły się ustaleniem, że nie był on otwierany innymi niż właściwe kluczami. Klucze zresztą były nieprzydatne bez znajomości szyfru, a szyfr znany był tylko trzem ludziom.

Zlecając te badania Biezan nie przywiązywał do nich większej wagi. Gdyby nawet założył teoretycznie, że istniała możliwość działania z zewnątrz, jako wynik uzyskanej kanałem wywiadowczym informacji o ważnym dla obronności wynalazku, wytypowany do takiej operacji człowiek musiałby być wysokiej klasy specjalistą i to w kilku dziedzinach. A spec, rzecz jasna, nie zostawiłby śladów działania ani w postaci linii papilarnych, ani w postaci rys przy otwieraniu zamków. Było to nieprawdopodobne. Akcje z zewnątrz, wiedział z doświadczenia, podejmuje się niezmiernie rzadko ze względu na ogromne ryzyko, a w tym wypadku także ze względu na czas, jakiego wymagałoby przygotowanie

takiej operacji. Drobiazgowo rozeznanie ludzi, terenu, pomieszczeń, zdobycie kluczy, szyfru – wszystkie te czynności mogły się tak przedłużyć, że cały wysiłek okazałby się bezcelowy wobec szybszego, na przykład, zakończenia prac nad projektem i przekazania dokumentacji konsultantom. Wówczas wszystko trzeba by zaczynać od początku.

Bezpośrednie działanie z zewnątrz Bieżan raczej wykluczał. W grę, jego zdaniem, mogła wchodzić raczej próba nawiązania kontaktu z którymś z członków zespołu, z którymś z konsultantów lub z człowiekiem mogącym dotrzeć do tych naukowców. Sęk w tym, że lista ludzi mogących wchodzić w grę była długa, a eliminacja nader skomplikowana. Żeby chociaż orientacyjnie móc zakreślić czas. Na to z kolei trzeba było najpierw uzyskać odpowiedź na pytanie, czy możliwe jest odtworzenie całości dokumentacji na podstawie fragmentarycznych informacji i materiałów. Stąd i niecierpliwość Bieżana. Usłyszawszy, że eksperci właśnie przygotowują opinię, decyduje się.

– Już przyjeżdżam – rzuca, odkładając słuchawkę.

W pół godziny później siada w pokoju ekspertów z listą pytań w ręku. Zaczyna od sprawy, która ma dla niego kluczowe znaczenie przy wstępnej eliminacji.

– Odtworzenia całej dokumentacji na podstawie fragmentarycznych danych nie można wykluczyć, ale trzeba uznać za mało prawdopodobne – stwierdza ekspert. – Oczywiście, na podstawie niektórych, nawet częściowych badań można ustalić, na czym polega

istota pomysłu, można ten pomysł przechwycić i zdublować niektóre szczegółowe rozwiązania. Słowem, uważamy, że możliwe jest przygotowanie dokumentacji tego rodzaju radiolokatora na podstawie znajomości generalnych zasad i fragmentarycznych danych. Ale nie będzie to identyczny radiolokator. Identyczne urządzenie można zbudować jedynie na podstawie analizowanej przez nas dokumentacji i to całej dokumentacji.

A więc końcowa faza prac, myśli Bieżan, czyli okres od września do końca października 1969 roku. Odpada zatem żona Dobczyka, która odeszła z zespołu w lipcu 1969 roku, odpada Dobczyk, który opracowywał częściowe rozwiązania w swojej specjalności, a także Żaliński. Czy jednak można ich całkowicie wyeliminować? I Dobczyk, i Żaliński jako współautorzy dzieła, członkowie jednego zespołu, znali, bo musieli znać, generalne kierunki rozwiązań. W oparciu o nie prowadzili swoje fragmentaryczne badania. Mogli też znać całość. A zresztą, czy było im to potrzebne do zrobienia zdjęć? Sęk w tym, czy mogli mieć dostęp do dokumentacji, czy mogli wykonać te zdjęcia? Bieżan notuje na kartce zadaniami do wyjaśnienia.

– Jaki okres uznaliście panowie za niezbędny do przeprowadzenia szczegółowej analizy przydatności dokumentacji i przygotowania szczegółowej opinii? – zadaje ekspertom kolejne pytanie ze swojej listy.

– To zależy od kwalifikacji opiniodawcy. Przyjmując, że taką analizę i ocenę przygotowuje wysokiej klasy

specjalista, sądzimy, że te prace powinny mu zająć miesiąc do sześciu tygodni.

– Czy czas ten może być jeszcze skrócony? Założmy, że zleceniodawcom zależy na tym i że mają do dyspozycji najlepszych specjalistów. – Bieżan myśli o zagranicznych łachmanach. Zakłada, że tamci musieli się spieszyć, jeśli chcieli być pierwsi. Nie mogli przewidzieć, że rzeczoznawcy tak długo przetrzymają te materiały. A może właśnie przetrzymywanie akt nie było przypadkiem, a wynikiem celowego działania? I takiej ewentualności nie można wykluczyć.

– Zakreślony przeze mnie czasokres – stwierdza ekspert – może być skrócony. Dokonałiśmy takiej analizy i oceny w ciągu sześciu dni, pracując bez przerwy. Ale w takim tempie nie zechce pracować żaden z szanujących się naukowców. Trzy tygodnie, miesiąc, to minimum. Nikt nie zaryzykuje „fuchy” w sytuacji, gdy w grę wchodzi zaangażowanie potencjału przemysłowego prywatnej firmy, koszty... Na Zachodzie nie angażuje się kapitału, nie mając pewności, że impreza jest opłacalna.

Bieżan kiwa głową. Ekspert ma rację. Naukowiec, który naraziłby zleceniodawców na straty, byłby spalony. Więc miesiąc.

– Ile czasu trzeba na budowę prototypu, zakładając maksymalne tempo prac? – pyta dalej.

– Jako minimum trzeba przyjąć sześć miesięcy. To są skomplikowane urządzenia.

– Jaki okres uważa pan za niezbędny na wypróbowanie prototypu?

– Co najmniej cztery miesiące. Zakładając, że montaż jest wykonany bez usterek i że podczas prób nie wyszły na jaw jakieś wadliwe rozwiązania w samej dokumentacji lub nie zachodzi potrzeba dokonania drobnych zmian, wynikłych wskutek konieczności dostosowania prototypu do innych niż przewidziane w dokumentacji warunków.

– A przypuszczalny czas niezbędny do wyprodukowania serii prototypowej i do przygotowania produkcji seryjnej nowego urządzenia?

– W tym wypadku nasze wyliczenia trzeba potraktować jako dane orientacyjne. Zależy to bowiem od wyposażenia zakładów, ich możliwości produkcyjnych, słowem od wielu elementów, z których każdy jest nieświadomą. Rozpiętość czasowa od sześciu miesięcy do półtora roku. Do tego trzeba doliczyć czas potrzebny na przetransportowanie elementów urządzenia na miejsce, ich montaż, przeszkolenie specjalistów.

Bieżan dokonuje wstępnych wyliczeń. Od szesnastu do dwudziestu paru miesięcy, nie licząc czasu zużytego na przekazanie zleceniodawcy zdobytych nielegalną drogą materiałów. Ta matematyka, stwierdza, wskazuje na prawdopodobieństwo „wyparowania” dokumentacji w okresie końcowych prac, jeszcze w Instytucie.

Koniec końców, konkluduje wracając do siebie, po uzyskaniu opinii jestem tak samo mądry jak i przed tym. Wiem, że nic nie wiem.

W gabinecie czeka na niego Kawka, szef grupy obserwacyjnej. Tym razem jednak rzecz nie dotyczy

obserwacji. Kawka przekazuje uzyskaną z innego źródła informację: prototyp ERA-13 był sprawdzony na sportowym lotnisku koło Monachium. Próby rozpoczęły się we wrześniu 1970 roku.

Twarz Bieżana rozjaśnia się. Pierwsza dobra wiadomość. Wreszcie jakiś konkret. Ściska Kawkę serdecznie. Łączy się z Ziętara. Chce przekazać mu tę rewelacyjną informację.

Rozdział IX

– Zdobyliście znowu jakieś konkrety? – Bieżan na widok stojącego w drzwiach Kawki unosi głowę znad biurka zavalonego papierami. Jest w zdecydowanie złym humorze. Doskwiera mu papierkowa robota. On, który lubi operatywne działanie, bezpośredni kontakt z ludźmi, sytuacje wymagające błyskawicznych decyzji, niebezpieczeństwo, musi tkwić za biurkiem, przeglądać teczki personalne, analizować informacje, ustalenia, meldunki, z których jak dotąd nic interesującego nie udało mu się wyłuskać. Nic, co by potwierdzało jego hipotezy. Kręcimy się jak pies za własnym ogonem, myśli z irytacją, zlecając swoim ludziom dodatkowe czynności, które znów nie przynoszą oczekiwanych rezultatów.

Kawki nie peszy ironia brzmiąca w głosie Bieżana. Wie, że szef w ten sposób maskuje niecierpliwość i zdenerwowanie wywołane koniecznością siedzenia za biurkiem, którego nie znosi. Więc już od progu zaczyna:

– Mam ciekawe informacje dotyczące Kałuszki. Wczoraj wodził chłopaków cały wieczór po knajpach. Zaczął od „Bristolu”. Tam spotkał się z Zaliwską. Wypili parę koniaków i pojechali do „Baszty” w Pyrach, gdzie czekało już dwóch kumpli z dziewczynami. Po dłuższej libacji udali się do Serocka, do „Złotego Lina”. Później całe towarzystwo wyładowało w kawalerce Kałuszki i tu zabawa trwała do rana. Jeśli rozkażesz wszystkim objąć obserwacją, to ludzi nam nie starczy. – Śmieje się wesoło.

Śmiech Kawki zwykle rozbraja otoczenie. Jest zarażliwy. Ukuto nawet powiedzonko, że Kawka po to ma uszy, żeby się nie śmiać dookoła głowy. Owe żarty pozbawione są uszczypliwości. Kawka jest ogólnie lubiany.

Ale Biezan nie ma dziś charakteryzującego go za zwyczaj poczucia humoru.

– Częstoujesz mnie anegdotami, opowiadasz bzdury – rzuca ostro – a konkretów wciąż brak.

– Bzdurami nie zawracałbym ci głowy. – Kawka przybrał poważną minę. – Ustaliłem, że Kałuszko w okresie prac nad przygotowaniem opinii wziął sześciodniowy urlop i z Joanną Zaliwską wyjechał do Zakopanego. Kluczami od kawalerki na Hożej dysponował podczas jego nieobecności niejaki Zenon Okrzejko.

– Z kim spotykał się w Zakopanem?

– Nie pytasz chyba poważnie – Kawka nie stara się nawet ukryć wzburzenia. – Każesz ustalić, co nasi podopieczni robili półtora roku temu, dwa lata temu, i

chciałbyś mieć rezultaty natychmiast. Myślałem, że się ucieszysz z tych informacji. – W głosie Kawki ton zawodu.

– Z czego tu się cieszyć?! Krąg ludzi wciąż się rozrasta, teczki z meldunkami pęcznieją, a my nie ruszamy z miejsca. Żebyśmy chociaż mogli ustalić czas krytyczny, żebyśmy mogli ograniczyć go do paru miesięcy. Ale i na tym odcinku krewa. – Rozkłada ręce.

Gest bezradności jest tak niezwykle u kipiącego zawsze energią Bieżana, że Kawka nie czekając na kolejne pytania ciągnie dalej:

– Jeszcze nie skończyłem. Jamnicki siódmego maja, czyli po przeszło dwóch miesiącach pracy nad dokumentacją, wziął zwolnienie lekarskie opatrzone pieczęcią znanego psychiatry doktora Halperna.

Tym razem Bieżan ożywił się.

– Ciekawe – mruczy z błyskiem w oku. – To chyba ten sam doktor, który leczy Laskowskiego. To samo nazwisko, ten sam adres. Trzeba to zaraz sprawdzić, zebrać o nim szczegółowe informacje.

Nareszcie coś go ruszyło, myśli Kawka ucieszony nagłym przyplywem energii szefa. Jest z siebie zadowolony. Ale uczucie samozadowolenia szybko pryska. Jak z rękawa sypią się nowe polecenia:

– Ustalcie kontakty Joanny Zaliwskiej, ze szczególnym uwzględnieniem tych nawiązanych w Zakopanem, podczas wspólnego pobytu z Kałuszką. Trzeba zebrać szczegółowe informacje o tym towarzystwie z „Baszty”. Ustalisz, od jak dawna ci ludzie znają się z

Kałużką, jaki jest charakter tej znajomości, trzeba również sprawdzić ich kontakty, ze szczególnym uwzględnieniem tych zagranicznych. To bardzo pilne.

Kawka notuje polecenia.

– Mam mało ludzi. Czy dadzą radę? – W głosie wahanie. – Może by się udało oddelegować do nas jeszcze paru?

Nie dodaje, że jego ludzie padają już na nos, że i on, Kawka, jest gościem w domu, że Hanka jest na niego wściekła. Od paru tygodni nie miał czasu pogadać z nią po ludzku. Parę razy zapomniał nawet zatelefonować i zawiadomić, że nie wróci na noc. Są małżeństwem dopiero od roku. Jeszcze się nie zdążyła przyzwyczać do takich niespodzianek. Co będzie dalej? Czy ona wytrzyma? Okrągła twarz Kawki pochmurnieje. Zależy mu na żonie. A tu ciągle coś nowego. Nowa sprawa, nowe zadania... W efekcie wraca do domu zmęczony, nie chce mu się ust otworzyć. Rano spieszy się do roboty. Dziś obiecał wcześniej być w domu. I znów nic z tego nie będzie...

– Pogadam z Ziętara, może zgodzi się kogoś do rzucenia. Ale za bardzo na to nie licz. Gdybyśmy mogli się wykazać rezultatami... Spróbuję coś wywalczyć – obiecuje na widok zmartwionej miny Kawki.

Po jego wyjściu wraca do papierkowej roboty. Kilka godzin przeglądania papierów, grzebania się w osobistych sprawach nie znanych mu ludzi i nic. Same znaki zapytania, same rozbieżności. A gdyby poszukać punktów zbieżnych, błyska nagle myśl.

Rozdział X

Ze wstępnych ustaleń wynika, że doktor Anton Halpern w 1959 roku przyjechał ze Szwajcarii do Polski i osiedlił się w kraju, który opuścił wraz z rodzicami w roku 1938. W powody wyjazdu rodziny Halpernów nikt zbyt nie wnikał, a sani doktor twierdził, że jego zmarli w USA rodzice, z pochodzenia chłopi, należeli do grupy emigracji zarobkowej. On zaś, po zdobyciu wiedzy i pozycji za granicą, zdecydował się wrząc tę wiedzę i doświadczenie w służbę krajowi, więc wrócił.

Przybył w aureoli sławy zachodniego specjalisty, leczącego schorzenia psychiczne za pomocą psychoanalizy i hipnozy. Środowisko lekarskie przyjęło go entuzjastycznie, czemu zawdzięczał stanowisko ordynatora oddziału psychiatrycznego w jednym ze stołecznych szpitali. Później stosowane przez niego metody i błyskawiczny sukces w postaci gwałtownie rozrastającej się prywatnej praktyki spowodowały, że lekarze, zwłaszcza lekarze psychiatrzy, zaczęli traktować go jako niebezpiecznego konkurenta, zagrażającego ich pozycji, i podkreślać, że to zwykły szarlatan.

Owa rozpowszechniana w środowisku lekarskim opinia nie miała wpływu na rosnące wśród pacjentów zainteresowanie jego osobą i metodami. Pchali się drzwiami i oknami do lekarza, który, jak głosiła legenda, osiąga rewelacyjne rezultaty. Trafiali więc do niego zarówno ci, którzy wyczerpawszy inne możliwości

szukali lekarza-cudotwórcy, jak i ci, którzy z czystego snobizmu lub z ciekawości chcieli zaczerpnąć haust nowych wrażeń, by móc zaimponować swoim znajomym. Halpern stał się modny.

Lista jego stałych pacjentów zawiera 152 nazwiska. Miernik powodzenia i zamożności. Doktor przyjmuje trzy razy w tygodniu w pięciopokojowym lokalu przy ulicy Pięknej. Trzy pokoje i służbówka służą mu za mieszkanie, dwa przerobił na gabinet i poczekalnię. W przestronnym hallu w dni przyjęć urzęduje pielęgniarka, która wyznacza wizyty pacjentom doktora i prowadzi kartotekę.

Właśnie ta kartoteka stała się przedmiotem zainteresowań Bieżana, którego od pewnego czasu gnębiło pytanie, na jakie schorzenia leczyli się u Halperna dwaj ludzie z interesującego go kręgu – Jamnicki i Laskowski, obaj mający bezpośredni dostęp do dokumentacji radiolokatora, znający na wylot całość badań i rozwiązań.

Najbliższe otoczenie nie dostrzegało u żadnego z nich odchyień od normy, nawet w sensie nadmiernej nerwowości. Laskowski, który skarżył się podczas rozmowy z Bieżanem na kiepski stan swego systemu nerwowego i przemęczenie, jest, jak ocenił major, człowiekiem raczej spokojnym i zrównoważonym. Jamnicki to niemal flegmatyk. Rzecz jasna, że ani opinii środowiska, ani jego, Bieżana, ocen nie można było uważać za miarodajne. Były one powierzchowne, a zatem zawodne. Dziwne wydawało się jednak, że owi tak często bywający na Pięknej pacjenci nigdy przedtem nie

leczyli się ani u neurologa, ani u psychiatry, nigdy nie korzystali z ich pomocy nawet choćby w formie zasięgnięcia porady.

Bieżana zainteresowało również zwolnienie lekarskie wystawione przez Halperna Jamnickiemu. Na druku L-4 znajdowała się pieczętka przyszpitalnej przychodni, w której raz w tygodniu przyjmował doktor Halpern, i numer statystyczny choroby. Pieczętka wskazywałaby na to, że Jamnicki zasięgał porady w szpitalu, a nie na Pięknej 18, ale to też nie jest takie pewne. Halpern mógł przecież zwolnienie wypisać w pracy i przynieść do domu. Niczym nie ryzykował, jeśli Jamnicki miał swoją kartę choroby w szpitalnej przychodni. Trzeba to sprawdzić, notuje kolejne zlecenie dla swoich ludzi. A numer statystyczny? Wynikało z niego, że przyczyną niezdolności do pracy są zaburzenia typu nerwicowego, dość powszechne we współczesnym świecie. Hipochondria, czy skrzętnie ukrywane przed otoczeniem, niedostrzegalne dla nikogo schorzenie psychiczne, zakamuflowane pod innym numerem statystycznym, zastanawia się Bieżan.

Jest faktem, że gabinet Halperna lub jego poczekalnia stały się miejscem, w którym następuje stały styk Jamnickiego i Laskowskiego z lekarzem, pielęgniarką, a być może z żoną doktora, czy też jeszcze z kimś innym, kto również tam bywa jako pacjent.

Nie można również wykluczyć przypadku, wyjątkowego zbiegu okoliczności, niemniej, uważa Bieżan, wszystkie te okoliczności, łącznie z diagnozami i historią choroby, wymagają szczegółowego wyjaśnienia.

Nie można również wykluczyć innej sytuacji.

Skoro, zakłada Bieżan, brak śladów działania z zewnątrz, a przeciek jest faktem, to jest wysoce prawdopodobne, że agent chcąc zdobyć dokumentację interesującego go wynalazku rozpracował szczegółowo ludzi mających dostęp do materiałów pod kątem możliwości przekupienia ich lub szantażu... Jeśli wśród innych informacji wydłubał i tę o wizytach u znanego psychiatry, świadcząca o chorobie?

Zdobycie takiej informacji stwarzało możliwość zastosowania różnego rodzaju nacisków. Zagrożenie w postaci ujawnienia rodzaju choroby, traktowanej jako wstydliva, dyskwalifikującej zawodowo i towarzysko nawet w środowiskach inteligentnych, mogło zadecydować o załamaniu się człowieka o osłabionej wskutek tej choroby odporności psychicznej. Innym, równie skutecznym „argumentem” mogła okazać się obietnica załatwienia leczenia za granicą, pokrycia jego kosztów, dostarczenia środków leczniczych, wyzwalających chorego od udręki powodowanej schorzeniem, koniecznością krycia się z nim przed środowiskiem, bliskimi.

Tak więc ustalenie diagnozy lekarskiej, charakteru, w jakim bywają u Halperna obaj specjaliści, stało się dla Bieżana punktem wyjściowym do dalszych czynności. Przyjęcia bądź odrzucenia rysującej się hipotezy.

O bezpośredniej rozmowie z doktorem nie mogło być mowy. Miał prawo zasłonić się tajemnicą zawodową i mógł z tego prawa skorzystać. Podjęcie takiej

próby było ryzykowne i z innych względów. Jeśli gabinet lekarza jest miejscem kontaktowym, a wizyty tylko pretekstem stwarzającym dogodną okazję do spotkań, niekoniecznie nawet organizowanych przez samego lekarza, ale na przykład przez jego żonę lub pielęgniarkę, odwiedziny oficera, rozmowa na temat określonych pacjentów, stanie się sygnałem alarmowym dla zainteresowanych, ułatwi im zatarcie śladów działania.

Rysowała się i inna ewentualność. Gabinet lekarski, lekarz, jego żona czy pielęgniarka nie wchodzi w rachubę. Miejscem kontaktów między pacjentami zapisanymi na określony dzień i godzinę jest poczekalnia. Ktoś się spóźni, ktoś przyjdzie za wcześnie, czyjaś wizyta przeciąga się... Można się zetknąć niby przypadkiem i w sposób niedostrzegalny wymienić materiały. A więc przynajmniej jedna z dwóch kontaktujących się osób musi figurować na liście pacjentów. I trzeba do tej listy dotrzeć.

Z tych rozważań zrodził się pomysł wysłania ekipy składającej się z ludzi Bieżana w charakterze kontroli finansowej, badającej dochody Halperna z praktyki prywatnej.

„Kontrolerzy” wykonali zlecone im zadanie. Lista z nazwiskami pacjentów, datami ich każdorazowych wizyt leży u Bieżana na biurku. Major przerzuca ją, szukając interesujących go ludzi. Jest Laskowski. Ale dlaczego nie figuruje tu Jamnicki? Pytanie jest z cyklu retorycznych.

Szczegółowo przegląda listę. Sporo znanych nazwisk. Ludzie pióra, teatru, paru muzyków. Duża grupa kobiet, a wśród nich Bożena Dudzińska. Koleżanka ze studiów. Pamięta ją dobrze. W ciągu ostatnich lat spotkali się kilka razy. Zawsze jednak przypadkowo. Bożena, wiedział od niej, zdecydowała się na pracę radcy prawnego.

– Określone godziny, określony rodzaj spraw, spokojna, nie wymagająca zbyt dużego wysiłku praca – wyjaśniała mu kiedyś motywy tej decyzji.

Odradzał jej.

– Zanudzisz się na śmierć – tłumaczył. – To robota księgowego. I urzędnicze czarne zarekawki.

– No tak – mruknęła – atrakcyjne to to nie jest. Ale... ma swoje zalety. Spokój. Wysokie zarobki. Wyszłam za mąż. Mąż jest wymagający. Chce mieć dom prowadzony na wysoki połysk. Pracuje w handlu zagranicznym. Musi dbać o reprezentację. Przyjmować. Przyjęcia są pracochłonne i kosztowne. Trzeba mieć czas i pieniądze. Ta praca zapewnia mi jedno i drugie.

Bożena. Spotkał ją przypadkowo na korytarzu sądowym parę dni temu. Nie ta sama. Zgaszona. Postarzała. Zaniebana.

– Co u ciebie? – spytał.

– Jakoś leci. Rozwodzę się właśnie. Nie wyszło. Wpadłbyś kiedyś do mnie? – podała adres i telefon.

Pacjentka Halperna. Nieoczekiwana historia. Ona, taka spokojna, zrównoważona. Życie płata figle, myśli. A gdyby z nią pogadać, zasięgnąć języka o doktorze, jego metodach leczenia?

Podoba mu się ten pomysł. Z notesu wyłuskuje telefon domowy. Nakręca numer. Odzywa się znajomy, trochę schrypnięty głos.

– Słucham.

– Zapraszałaś mnie, więc się melduję – zagaja rozmowę.

– Och, jak to dobrze, że dzwonisz – w głosie nuta radości. – Przyjdź koniecznie. Nawet dziś. Jestem chora. I taką mam ochotę pogadać z kimś życzliwym.

Umawia się z nią na wieczór. Znów sięga po listę. Przy nazwisku Laskowskiego diagnoza – narkomania... Niemożliwe! I dlaczego inne imię? Znów szpera w notatkach. Leon, to syn inżyniera. Prawda, przecież on jest narkomanem! Czyżby wizyty ojca były podyktowane chęcią uzyskania informacji o wynikach leczenia syna? Przecież mówił, że sam się leczy. Czyżby Halpern nie wpisywał niektórych pacjentów, aby wprowadzić w błąd urząd skarbowy? Nie pasuje mu to do wyobrażenia o człowieku, do obrazu stworzonego na podstawie dostarczonych mu informacji.

Ba, wieczny problem: rozbieżność między informacjami a rzeczywistością, myśli zbierając się pomału do wyjścia. Może Bożena to i owo wyjaśni.

Rozdział XI

W niewielkim pokoiku pali się tylko mała, osłonięta ciemnozielonym abażurem lampka.

– Tak jest bardziej nastrojowo. Lepiej się rozmawia

w półmroku – rzuca w formie wyjaśnienia Bożena Duzińska, wsuwając się głęboko w kąt tapczanu, w najgłębszy cień. – Oczy mnie dziś bolą – dorzuca.

Bieżan udaje, że nie dostrzega zapuchniętych oczu, bladej, wymizerowanej twarzy. Jeśli zechce, sama wszystko opowie. Opowie na pewno, ma ochotę przed kimś się wygadać.

Nie myli się.

– Ucieszyłam się, gdy zatelefonowałeś – mówi wolno Bożena. – Doskwiera mi samotność. Ciągle siedzę sama w tym wspólnym niegdyś mieszkaniu – głos się łamie. – Mój mąż, mój były mąż – poprawia się po chwili – kilka miesięcy temu poznał jakąś dziewczynę. Od tego czasu coś się popsło w naszym małżeństwie. Ciągle miał do mnie pretensje. Nic mu się nie podobało. Twierdził, że w domu nie wszystko funkcjonuje tak jak należy. Obciążał mnie winą za jakieś nieudane przyjęcie. Podkreślał, że trudno ze mną wytrzymać, że jestem nerwowa, a jemu potrzebny spokój. Któregoś dnia oświadczył, że mu przeszkadzam w zrobieniu kariery. Kroi mu się wyjazd na placówkę w RFN, a jak tu jechać za granicę z żoną wariatką... Moja choroba była tylko pretekstem...

– Zachorowałaś?

– Wiesz – w głosie nutki skrępowania – miewam takie stany lękowo-depresyjne. Nigdy nie byłam specjalnie odporna psychicznie. A tu nagle sytuacje stresowe zaczęły mi się spiętrać. Zaczęło się od konfliktu z moim byłym dyrektorem. Pracowałam wówczas na

etacie radcy w elektrotechnicznej centrali importowo-eksportowej „Atex”. Któregoś dnia przedstawiono mi do oceny projekt umowy z zachodniemiecką firmą „Harram”, oferującą nam jakieś urządzenia. Umowa nie zabezpieczała w sposób dostateczny naszych interesów, więc jej nie zaparafowałam. Zaproponowałam wprowadzenie dodatkowych klauzul. Wkroczył wówczas dyrektor, powołując ze swej strony grupę rzeczoznawców. Podobno już uzgodnił z tą firmą warunki dostaw i przedłużanie pertraktacji w jego przekonaniu miało się z celem. Ponieważ zajmowałam inne stanowisko, doszło między nami do różnicy zdań. Nie czułam się winna, ale niewielu chciało mnie do końca wysłuchać. Wokół mnie wytworzyła się chłodna atmosfera. Na własną prośbę zwolniłam się z pracy.

– Chyba zbyt pochopnie – wtrącił Biezan. – Myślę, że kierowałaś się urażoną ambicją, a to nie zawsze płaca.

– Stało się, już nic na to nie poradzę. Mój mąż był oburzony. Osądził, że po prostu przez głupotę straciłam dobrą posadę. Początkowo nie przejmowałam się tym zbyt. O pracę nie było trudno, miałam jeszcze pół etatu w innej firmie. Ale od tej pory jakoś mi nie szło. Przypuszczam, że w ślad za mną szła jak cień cicha opinia dyrektora „Atexu”.

– Nie przesadzaj, dziewczyno. Liczy się nie czyjaś opinia, lecz konkretna praca. Czyżbyś podejrzewała, że dyrektor liczył na jakieś profity z tamtej strony?

– Bo ja wiem – w głosie Bożeny brak zdecydowania. – Nie interesowałam się tym więcej. Miałam inne kłopoty. Zanim wreszcie zdołałam się ulokować w spółdzielni, przez kilka miesięcy byłam bez pracy. Mąż utrzymywał dom i zasypywał mnie wyrzutami. „Coś narobiła! – powtarzał codziennie. – Trzeba ci było wojny z dyrektorem? I to o co? O głupie przepisy! Często przedsiębiorstwa nie stosują ich rygorystycznie, a ty tego nie chcesz zrozumieć! Przez ciebie muszę ze wszystkiego zrezygnować, moja pensja nie wystarczy, by utrzymać dom na odpowiednim do mego stanowiska poziomie!” Wpadłam w depresję. Ktoś ze znajomych załatwił mi wizytę prywatną u znanego lekarza. Zaczęłam się leczyć. Od tego czasu mąż traktował mnie jak wariatkę. W końcu się wyprowadził. Do tamtej.

– Czy uważasz, że było ci rzeczywiście potrzebne leczenie?

– Mój lekarz twierdzi, że tak. To wspaniały człowiek! – w głosie nagle ożywienie.

– Wyciągnął cię z depresji?

– Nie całkiem. Uważa, że było to nieosiągalne w sytuacji trwającego konfliktu. Twierdzi, że warunkiem skuteczności jego kuracji jest całkowite wyobcowanie emocjonalne, likwidacja wszelkich napięć.

– To przecież niemożliwe. Nikt nie zdoła się całkowicie odizolować od spraw i od ludzi. Zawsze będzie coś, co powoduje stany emocjonalne.

– On wie lepiej, co dla mnie jest dobre. Jemu nie chodzi o izolację w sensie środowiska, spraw, a o

wyizolowanie emocjonalne, o pełną koncentrację na sobie samym, na swoich przeżyciach, ich źródłach, o wydobyć na wierzch, niejako z dna świadomości, urazów, odczuć, skrzętnie skrywanych myśli.

– Z tego, co mówisz, wynika, że leczy cię za pomocą psychoanalizy. Ta metoda, powszechnie stosowana na Zachodzie, u nas jest jeszcze w powijakach.

– On leczy nie tylko za pomocą psychoanalizy. Stosuje także hipnozę. Twierdzi, że człowiek nie potrafi dotrzeć do swojego dna, że podświadomie usiłuje najważniejsze dla niego sprawy ukryć przed lekarzem, zachować w tajemnicy, że pełne ujawnienie źródeł choroby, tkwiących w podświadomości, możliwe jest tylko podczas głębokiego snu hipnotycznego, kiedy lekarz zmusza niejako pacjenta do posłuszeństwa, do przełamania wszystkich zahamowań.

– Rzeczywiście w śnie hipnotycznym mówi się wszystko?

– On tak twierdzi.

– A ty sama nie orientujesz się, co powiedziałaś? Czy powiedziałaś wszystko?

– Nie. Człowiek zbudzony ze snu hipnotycznego nic nie pamięta. Tylko później podczas rozmowy mam wrażenie, że zna mnie na wylot. Że może mnie swobodnie oglądać ze wszystkich stron, trochę jak owada białego na szpilkę.

– To musi być okropne uczucie. Nagość wystawiona na pokaz.

– Nie. On rozmawia je koś bezosobowo. Odnoszę

wrażenie, że to nie człowiek, a superprecyzyjny elektronowy mikroskop. Któż wstydzi się aparatu rentgenowskiego?

– Mimo wszystkich „cudowności” w twoim przypadku nie udało mu się osiągnąć pełnego rezultatu...

– On twierdzi, że to moja wina, bo nie potrafię się wyzwolić z napięć emocjonalnych.

– Jest to niemożliwe. Człowiek nie jest maszyną. Zawsze coś go poruszy, wkurzy, ucieszy. Człowiek kocha i nienawidzi. Dąży do jakichś celów, o coś chce walczyć. To są stany emocjonalne, których nie unikasz, dopóki żyjesz.

– On uważa, że można i trzeba żyć na zimno, bez angażowania się. Że jest to recepta na zdrowie.

– Sądysz, że uda ci się to zrealizować?

– Próbuję.

– A jak ci się teraz wiedzie? – zmienia temat rozmowy.

– Ciągle jeszcze nie wróciłam do normy – przyznaje szczerze. – Oprócz spółdzielni mam pół etatu w resorcie łączności. Niby wszystko jest w porządku, ale chwilami odnoszę wrażenie, że traktują mnie jak intruza. Poradź, co robić?

– Najrozsądniej byłoby pogadać szczerze z nowymi dyrektorami. Co to za ludzie?

– W spółdzielni „Progres” szefuje baba. Wiktoria Kałuszkowa. Apodyktyczna, pozbawiona poczucia humoru. Jej mąż jest jakimś rzeczoznawcą w resorcie komunikacji, stale o nim opowiada. Twierdzi, że to niemal geniusz! Że go wysoko cenią, powierzają mu

najtajniejsze sprawy i dokumenty. I jak z taką babą się dogadać?

– Kim jest twój drugi szef?

– Dyrektor departamentu kontroli w resorcie łączności. Nawet niegłupi facet, tylko taki sztywny, urzędowy. Trudno nawiązać z nim kontakt. A może to tylko ja nie potrafię?! Może nie jestem normalna?! – Znów głos się łamie.

– Idiotka! – rzuca ostro. – Co ty sobie wyobrazasz?! Jesteś normalna! Po takiej porcji kłopotów miałaś prawo być roztrzęsiona. Weź się w garść. Skoro ten twój lekarz jest pewien, że cię wyleczy, nie ma powodów wątpić w jego diagnozę. Jak on się nazywa?

– Anton Halpern. Dlaczego cię to interesuje?

– Chciałbym z nim pogadać prywatnie. Interesują mnie jego metody. Od czasu do czasu odczuwam skutki napięć nerwowych. Przy tej robocie...

– Zaprotegować cię u niego? Zapisać?

– Nie, nie tak. Zorganizuj, jeśli możesz, spotkanie na neutralnym gruncie. Na przykład w kawiarni. W dogodnym dla niego terminie. Dostosuję się. Nie chciałbym także, by wiedział o profilu mojej zawodowej roboty. Kolega-prawnik z jakiegoś centralnego urzędu, w ten sposób mnie przedstaw.

Rozdział XII

W pierwszej chwili rozmowa nie klei się zbyt dobrze. Doktor Anton Halpern czeka, aż zaczniesz potencjalny

pacjent. Bożena Dudzińska przedstawiwszy obu panów milkiem, przekazując inicjatywę w ręce Bieżana, a Bieżan po raz pierwszy ma kłopot z nawiązaniem kontaktu.

Przygotował się wprawdzie do tego spotkania, zebrał maksimum dostępnych mu informacji o metodach leczenia za pomocą psychoanalizy i hipnozy, ale to maksimum jest niewystarczające. Garść wiadomości typu encyklopedycznego, przydatnych w niewielkim stopniu do jego celów. Udało mu się wprawdzie dorwać na dłuższą rozmowę zaprzyjaźnionego psychiatrę i zasięgnąć języka na temat psychoanalizy, ale o hipnozie jego rozmówca miał całkiem mętne pojęcie i leczenie tym sposobem ocenił jako szarlatanerię.

Czy jest możliwe uzyskiwanie wyczerpujących informacji od ludzi pogrążonych we śnie hipnotycznym? Czy jest możliwe przełamanie wszystkich oporów człowieka, wydarcie mu bez jego wiedzy i wbrew jego woli najgłębiej ukrywanych tajemnic? – zastanawiał się Bieżan. Bożena nie potrafiła mu odpowiedzieć na to pytanie. Nie wiedziała, co się z nią działo i co mówiła podczas seansów hipnotycznych. Z jej relacji wynikało jednak, że doktor wiedział o niej wszystko. W jaki sposób zdobył tę wiedzę? Podczas seansu, czy też być może potrafił ją wysondować w sposób dla niej niedostrzegalny podczas długich rozmów? Była istotnie wyczerpana nerwowo. W takim stanie człowiek łatwo traci samokontrolę. Teraz z kolei on zamierzał wysondować Halperna. W rozmowie z nim uzyskać odpowiedź na nurtujące go pytania. Ale chcąc to osiągnąć, powinien

dysponować pewną sumą wiedzy na temat stosowanych przez Halperna metod leczenia.

Same informacje o doktorze nie wystarczą. I te zresztą, jak na razie, nie były zbyt szczegółowe. Podczas drugiej wojny światowej przebywał w Stanach, potem w Szwajcarii, już jako lekarz. Tam się ożenił z Polką, młodszą od siebie o dwadzieścia lat. Z nią razem wrócił do kraju. W ostatnim okresie był bojkotowany przez wielu lekarzy, ale głosy krytyki i zastrzeżenia, jakie zgłaszali, mogły wynikać także z zawodowej zawzięci. Zawzięć jako motor krytycznych wystąpień była tym bardziej prawdopodobna, że żaden z oponentów nie był w stanie skonkretyzować dyskwalifikujących Halperna zawodowo zarzutów. Wynikało to, podejrzewał Bieżan, z braku znajomości tej gałęzi wiedzy psychiatrycznej. Owe podejrzenia potwierdzał fakt, że żaden z jego rozmówców, łącznie z ostatnim, nie był w stanie odpowiedzieć na postawione mu pytania. W tej sytuacji ich zarzutów nie można było traktować serio.

Powstawało inne pytanie, czy Halpern miał możliwości i okazję do przekazywania uzyskanych w trakcie seansów informacji ewentualnym mocodawcom. Odpowiedź była twierdząca. Utrzymywał on stałe kontakty z lekarzami w Szwajcarii, USA, RFN. Często wyjeżdżał na sympozja, zjazdy i wykłady. Prowadził niektóre badania z zakresu swej specjalności dla zagranicznych ośrodków naukowych. Nie krył się z tym. Ale ustalając te kontakty ludzie Bieżana nie znaleźli punktu zaczepienia, jeśli chodzi o związki z obcym wywiadem.

Nasuwała się i inna wątpliwość. Czy człowiek tej klasy, ceniony jako naukowiec, zdecydowałby się na ryzyko utraty wszystkiego, co zdobył w ciągu długich lat pracy? Czym mógł się kierować? Pieniądzy nie potrzebował. Był bardzo bogaty. Szantaż? Powodów uzasadniających tę tezę ludzie Bieżana, jak dotąd, nie potrafili ustalić. Ideologia? Też raczej odpadało. Doktora interesowały tylko i wyłącznie sukcesy zawodowe. Nigdy nie zajmował się polityką.

Od Halperna emanował chłód, który powiększał jeszcze trempę Bieżana.

– Wiele słyszałem o panu, panie doktorze – zaczął w końcu. – Koleżanka – gest ręki w kierunku milczącej Bożeny – uważa pana za geniusza. – Co też ja wyplatom za duby smalone, myśli tym razem o sobie z poczuciem niesmaku, ale ciągnie dalej w tym samym tonie. – Tyle mi opowiadała o pańskich metodach, że sam nabrałem ochoty na tego rodzaju kurację. Stałe napięcia dają mi się coraz bardziej we znaki. Ale my prawnicy – podkreśla żartobliwie – jesteśmy z natury nieufni, boimy się ryzykować. Znamy przy tym tyle różnych tajemnic, że przed podjęciem takiej decyzji chciałem porozmawiać z panem, spytać o niektóre sprawy.

– Słucham pana – głos jest niski, melodyjny, kontrastuje z twardą w wyrazie twarzą, przenikliwym spojrzeniem niebieskich oczu przewiercających na wylot rozmówcę, ze zwalistą sylwetką.

– Psychoanaliza jest u nas rzadko stosowaną metodą, a o hipnozie jako metodzie leczenia nikt nic nie wie. Wielu lekarzy uważa, że to tylko bluff. Gdyby pan

zechciał uchylić laikowi rąbka tajemnicy...

– Pacjenta powinien obchodzić osiągnięty przez lekarza skutek, a nie metoda, jaką się ten skutek osiąga. Czy zażywając pigułki lub nacierając się maścią bada pan przed tym ich skład chemiczny?

– To nie to samo. Leki konwencjonalne nie budzą zainteresowania. Są powszechnie znane. Natomiast metody stosowane przez pana jeszcze się u nas nie przyjęły. Leczenie hipnozą niektórzy nasi lekarze traktują, jak już mówiłem, jako niepoważną historię.

Na wąskich ustach ironiczny uśmiech.

– No cóż, ignorantów u nas nie brak, także wśród lekarzy. Te oceny wynikają także z zawiści. Sukces wywołuje zawiść, to normalne. Ale wracając do interesującej pana metody. Wymaga ona wszechstronnej wiedzy z zakresu psychiatrii, psychologii i fizjologii. Bez tej wiedzy nie można mówić o ingerencji w sferę psychiki człowieka. Tę psychikę, operując kategoriami dostępnymi dla laików, można przyrównać do kilkakrotnie zamalowywanego płótna. Odszukanie i wydobycie na wierzch tej warstwy, która pozostawiła w psychice człowieka powodujące zakłócenia ślady, jest wyjątkowo trudnym zadaniem. Sam pacjent zwykle nie zdaje sobie sprawy ze źródeł choroby. Czasem udaje się je ujawnić metodą psychoanalizy. Ale nie zawsze, bowiem nie zawsze można podczas rozmowy pokonać bariery różnych zahamowań, tkwiących często poza sferą świadomości leczonego. Natomiast podczas seansu hipnotyczne go, kiedy przestaje działać woła, kruszy

się opór, można dotrzeć do dna. Do przyczyn choroby, a w konsekwencji je usunąć.

– Czy to prawda, że podczas takiego seansu można całkowicie przełamać opór człowieka, że może on ujawnić najtajniejsze, najbardziej intymne sprawy?

– Jest to możliwe.

– Czy ów sposób łamania woli, tej naturalnej w istocie bariery chroniącej wewnątrz człowieka przed obcą ingerencją, nie odbija się szkodliwie na psychice leczonogo? Czy można to robić bezkarnie?

– Jeśli udaje się tą metodą wyleczyć pacjenta, to zabieg ma w efekcie pozytywne skutki dla jego psychiki.

– Ale mnie chodzi o to, czy przy tych generalnie pozytywnych skutkach nie powstają jakieś efekty uboczne, jakieś nowe odłamki, powodujące zmiany negatywne? Czy badał pan ten problem?

– Nie ma takiej potrzeby, skoro ten system leczenia daje rezultaty i nie ma nawrotów choroby.

– Osiągnięcie rezultatów, o których pan mówi, wymagało zapewne długotrwałych badań i eksperymentów?

– Oczywiście. Eksperyment jest jedną z podstaw sukcesu naukowego.

– Eksperymentowanie w sferze leczenia schorzeń psychicznych to ryzyko dla tych, na których dokonuje się eksperymentów.

– Naukowiec nie może być sentymentalny. Musi podejmować takie ryzyko. Bez niego nie można mówić o postępie.

– Ale nie jest to tylko osobiste ryzyko naukowca...
– Cóż z tego? Nie ma wygranych bitew bez zabi-
tych i rannych. Liczą się wyniki. Dzięki nim mogę po-
móc skutecznie na przykład panu. A propos, na co się
pan uskarża? Nie dostrzegam u pana objawów zakłóceń
psychicznych. Wydaje mi się, że jest pan człowiekiem
wyjątkowo odpornym psychicznie na różnego rodzaju
stresy. – Znów to przenikliwe spojrzenie.

Bieżan już ma odpowiedzieć, gdy nagle kątem oka
dostrzega Laskowskiego.

Inżynier idzie wolno, rozglądając się. Szuka znajo-
mych czy wolnego stolika?! Oby mnie tylko nie do-
strzegł. Bieżan odwraca twarz ku oknu.

Dostrzega nie Bieżana, ale Halperna i sunie do ich
stolika z wyciągniętą na powitanie ręką.

– Witam, doktorze! Kogóż ja tu widzę? – Na twa-
rzy szeroki uśmiech. – Pan major! Czyżby i pan – zwr-
ca się do Bieżana – korzystał z porad lekarskich naszej
sławy?

– Właśnie mam zamiar skorzystać z porady – rzu-
ca w odpowiedzi, robiąc dobrą minę do złej gry.

Rozdział XIII

– Cholera! Wpadłem tak głupio! Któż mógł przewi-
dzieć, że właśnie Laskowski się napatoczy! – Bieżan
zagłębiony w fotelu popija małymi łykami czarną jak
smoła kawę i referuje Ziętarze przebieg spotkania z

Halpernem. – A jeśli go spłoszyłem? Wprawdzie umówił się ze mną na konkretny termin, ale wizytę tę zaplanował dopiero na szóstego maja, a więc za jedenaście dni. Nie wykluczam, że wyznaczenie mi tego dość odległego terminu ma w jego zamyśle stanowić dowód, że skoro się nie spieszy, to znaczy nie podejrzewa, że ktoś z nas może się nim interesować. Jest i inna ewentualność. Ten czas jest mu potrzebny na zebranie informacji o mnie. Jeśli moja ocena jest prawidłowa, umówi się z Laskowskim. Od niego dowie się o mojej roli w sprawie przecieku dokumentacji ERA-13. Jeśli ma z tą sprawą związek, natychmiast uzna nagrane przez Bożenę spotkanie w kawiarni za celowo zorganizowane i może skojarzyć je z niedawną kontrolą finansową. W ten sposób szansa ujawnienia jakiejś nici zostaje przekreślona na dłużej.

– I tak, i nie – mruczy pod nosem Ziętara. – Jeśli istotnie spłoszyłeś go, podejmie próbę porozumienia się z kimś ze swoich mocodawców. Wówczas obserwacja wyłapie kolejne ogniwo.

– Nie byłbym taki pewny. To stary lis. Ma żelazne nerwy. Sam odczuwałem tremę podczas tej rozmowy. Myślę, że zechce odczekać.

– Jeśli już ty mówisz o tremie... – Ziętara uśmiecha się do przyjaciela. – Chyba pierwszy raz ci się to zdarzyło?!

Bieżan odpowiada uśmiechem na uśmiech i zaraz poważnieje.

– Fatalna historia – mówi wolno. – Bożena nagrała to spotkanie, a ona się u niego leczy. Jeśli Halpern, jak

zakładamy, jest w sprawę zamieszany, Bożena może się znaleźć w niebezpieczeństwie.

– Trzeba jej zapewnić ochronę. Na wszelki wypadek. Od zaraz.

– Cóż to pomoże, jeśli zagrożenie powstanie w mieszkaniu doktora, w jego gabinecie?

– W takim razie poradź, by chwilowo przerwała leczenie. Co ona wie o tobie?

– Wie, że pracuję w tym resorcie i nic poza tym. Nasze kontakty były luźne i raczej przypadkowe. Odkryłem jej nazwisko na liście pacjentów doktora. I umówiłem się z nią, bo chciałem się czegoś o nim dowiedzieć.

– Dowiedziałeś się?

– Niewiele. Bożena mówi o nim w samych superlatywach. Ale z tego, co mówi, wynika wręcz przeciwna ocena. Człowiek wyprany z emocji, uczuć wyższych. Raczej precyzyjny instrument. Od Bożeny dowiedziałem się też o pewnej sprawie dotyczącej firmy „Atex” i jej kontaktów z firmą „Harram”.

– Sądzisz, że to coś ciekawego z naszego punktu widzenia?

– Raczej nie, ale warto o tym pamiętać. Przy zawieraniu jakiejś umowy na dostawę tranzystorów ponoć nie dopełniono wszystkich warunków, na co zwróciła uwagę Bożena. Do działania przystąpiła komisja powołana przez dyrektora „Atexu”. Pertraktacje zaczęły się przewlekać i w końcu zostały zerwane. Bożena twierdzi, że od tej pory zaczęto na nią patrzeć nieprzychylnym

wzrokiem i na skutek powstałej atmosfery zwolniła się z pracy. Gdy ją zapytałem, czy podejrzewa dyrektora „Atexu” o ewentualny profit od kontrahentów, nie dała jednoznacznej odpowiedzi. Można więc uznać, że ta umowa w naszej sprawie nie wchodzi w grę, pozostają natomiast kontakty...

– Kto prowadził te pertraktacje jako przedstawiciel firmy „Harram”?

– Dyrektor, Hans Stolke. Jak ustaliłem, zwykle on osobiście prowadzi pertraktacje handlowe z centralami handlu zagranicznego w naszych krajach.

– Co oferuje „Harram”?

– Są wielobranżowi. Firma, jak już mówiłem, nie ma własnego zaplecza przemysłowego. W istocie spełnia rolę pośrednika powiązanego z różnymi zakładami przemysłowymi. Te związki są natury personalnej. Ustaliliśmy, na przykład, że szwagierka Stolkego, Kunst, jest współwłaścicielką przemysłowej firmy „Viga”, a współpracujący z firmą „Harram” jako rzeczoznawca profesor Rau jest udziałowcem monachijskiej spółki AGT, zajmującej się produkcją urządzeń elektronicznych oferowanych nam przez „Harram”. Samochodami obu tych firm we wrześniu siedemdziesiątego roku dostarczono na bawarskie lotnisko sportowe zespoły prototypowego radiolokatora opracowanego na podstawie naszej dokumentacji. Montażu prototypu dokonano na lotnisku, tam też badano jego funkcjonowanie.

– Miałeś ustalić, czy i jakie związki personalne istnieją między pracownikami i współpracownikami

„Harram” a interesującym nas gronem specjalistów.

– Kontakty Stolkego z dyrektorem „Atexu”, Janu-
arym Lubelskim, mają nie tylko charakter służbowy, ale
i towarzyski. Parokrotnie spotykali się w „Bristolu”.
Stolke odwiedzał Lubelskiego w domu. Bywa także u
wicedyrektora centrali „Impex” Anatola Kulki. Kulka z
kolei jest kolegą Andrzeja Kałuszki, rzeczoznawcy re-
sortu komunikacji.

– To może być nieć, której szukamy.

– Takich nitek odkryliśmy więcej. Z Gertą Kunst
utrzymuje stosunki Jamnicki. Stawiński poznał profesora
Rau podczas swego pobytu w RFN, a Laskowski jest
zaprzyjaźniony z doktorem Ackermannem, którego brat
jest związany z firmą „Harram”.

– Wreszcie coś się zaczyna kleić – mruczy Ziętara.

– Ale te ustalenia obalają twoją hipotezę dotyczącą roli
Halperna.

– Nie rozumiem, dlaczego tak sądzisz? – Bieżan
podnosi na przyjaciela zdziwione oczy.

– Nie rozumiesz? Przecież to proste. Skoro nasi
potencjalni podejrzani mieli bezpośrednie kontakty,
umożliwiające im sprzedaż dokumentacji firmie „Har-
ram”, to niecelowe z ich punktu widzenia byłoby korzy-
stanie z pośrednictwa Halperna. Oznaczałoby to prze-
dłużenie łańcuszka wtajemniczonych, a więc i zwięk-
szenie ryzyka.

– Można także założyć, że wykorzystanie tych
bezpośrednich kontaktów, nietrudnych do ustalenia,
zwiększało ryzyko wpadki. Że droga pośrednia była

najpewniejsza, bo nie pozostawiała uchwytnych śladów.

– Przyjmujesz za pewnik, że dokumentacja przecieka kanałem wywiadowczym?! Na razie nic na to nie wskazuje. Nie ujawniliśmy żadnych tego typu powiązań ani nawet ich śladów. Natomiast na podstawie zreferowanych przez ciebie ustaleń rysuje się inna koncepcja: być może ten przeciek miał charakter „handlowy”. Któryś ze speców, wykorzystując możliwość dostępu do wynalazku i posiadane kontakty, opylił go po prostu za dolary czy marki firmie „Harram”. Firma skorzystała z okazji. Dla nich to był wielki biznes. Na sprzedaży gotowego radiolokatora „Harram” zarobi miliony...

– Nie można i tego wykluczyć – mówi Bieżan z powątpiewaniem w głosie.

– Dlaczego masz wątpliwości?

– Będziesz się ze mnie nabijał, jeśli powiem, że to intuicja podpowiada mi inne rozwiązanie.

– Mnie się ono wydaje naciągane, ale oczywiście trzeba brać pod uwagę wszelkie ewentualności. – Zięta-
ra znów schyla głowę nad biurkiem i zaczyna rysować różne esy floresy. – Masz nowe propozycje?

– Nadal działania wielotorowe. Wciąż nie mara dostatecznej ilości materiałów, by przeprowadzić wstępną eliminację. Jednocześnie trzeba będzie ustalać charakter wszystkich zagranicznych znajomości naszych speców. I dalej szperać pod kątem ewentualnych związków firmy „Harram”... z wywiadem...

– Czy nie komplikujesz sprawy? Jakie znaczenie w

tym wypadku mogą mieć owe związki z wywiadem? – przerywa Ziętara. – Radiolokator nie został przekazany do dyspozycji wojska, a po prostu sprzedany przez cywilną firmą do celów cywilnej komunikacji.

– Nie można wykluczyć, że dokumentacja przeciekła kanałem wywiadowczym. Być może przez któregoś z zachodnioniemieckich znajomych naszych speców. Być może ten agent, zorientowawszy się w wartości handlowej wynalazku, wykiwał centralę i mikrofilm z dokumentacją wykorzystał na własny rachunek. Mógł liczyć, że nikt się o tym nie dowie. Zdarzają się takie wypadki. Mogło się również zdarzyć, że któryś z przedstawicieli centrali ma powiązania z tą firmą i otrzymawszy mikrofilm właśnie w ten sposób go wykorzystał, działając na własny rachunek.

– To wszystko?

– Nie. Ponieważ nie możemy zaprzestać obserwacji żadnego z naszych podopiecznych, a ten krąg się stale poszerza, chciałbym, żebyś wyraził zgodę na dorzucenie mi paru ludzi. Nasi już padają na nos. W wyniku obserwacji mamy sporo konkretnych ustaleń. Dziś ci je zreferowałem. Więc... – patrzy prosząco na Ziętarę.

– Dobrze. Ale nie więcej niż pięciu – burczy pułkownik. – Ogołaczasz inne odcinki. Mamy nie tylko tę sprawę...

– Ale ta jest najbardziej skomplikowana – rzuca Bieżan.

Ziętara nie protestuje, wie, że Bieżan ma rację.

Rozdział XIV

Na puciołowatej twarzy porucznika Kawki wyraz powagi. Oddycha szybko, jak po długim i wyczerpującym biegu.

– Coś się stało? – Biezan patrzy na niego ze zdziwieniem.

– Przed chwilą otrzymałem meldunek. Halpern miał wypadek. Zabrało go pogotowie.

Biezan marszczy brwi. Od dwóch dni Halpern jest pod obserwacją.

– Wypadek? Nie potrafili go ustrzec?

– To nie ich wina. Wszystko stało się na ich oczach. Około piętnastej wyszedł z domu i wsiadł do zaparkowanego przed domem BMW. Jechał w kierunku Myśliwieckiej z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Nagle, zamiast skrócić w prawo, przeciął w poprzek jezdnię i wjechał na betonowy słup. Uderzył z taką siłą, że silnik wpadł do kabiny. Przód wozu jest podobno cały zgruchotany. Doktora wyniesiono z wozu. Był nieprzytomny. Zabrało go pogotowie.

– Kiedy to się stało?

– Pół godziny temu. Nasi są przy oględzinach.

– Zbieraj się. Jedziemy na miejsce – decyduje Biezan.

Z dala widoczny tłum wskazuje miejsce zdarzenia. Wśród tłumu białe czapki funkcjonariuszy ruchu drogowego. Przy krawężniku dwa radiowozy. Biezan

wraz z Kawką przedzierają się przez ten tłum.

Wóz tkwi jeszcze na słupie, wbity głęboko. Maski poddarta do góry, niemal przepołowiona. Musi mieć zmiążdżone nogi, myśli Biezan, oglądając zwichrowaną karoserię i zgiętą kolumnę kierowniczą. W chwili zderzenia złamała się, zapadła. Zgniółł ją wpadający do wnętrza wozu silnik.

We wnętrzu, na pogiętych fotelach i wybrzuszonej obudowie, rozpryskane ślady krwi i drobiny szkła. Pełno szkła na chodniku, wokół wozu.

– Proszę odejść. Nie wolno niczego dotykać – sły-
szy za plecami stanowczy głos. Odwraca się. Niespo-
dzianka. Znajoma twarz. Podporucznik Jasiński ze sto-
łecznej drogowki.

– Cześć poruczniku! – Ścisła serdecznie wycią-
gniętą na powitanie dłoń.

– Jak to się mogło stać? – pyta o przyczynę wy-
padku.

– Nie mam pojęcia. Jak dotąd, z oględzin nic nie
wynika. Świadcowie nie zauważyli żadnej sytuacji koli-
zyjnej, która zmusiłaby do wykonania takiego manewru.
Może wóz był niesprawny. A wy, majorze, jesteście tu
służbowo czy prywatnie?

– Służbowo – stwierdza Biezan krótko.

– Widział tę kraksę ktoś od was?

– Tak.

– No to może wasi ludzie coś zauważyli? Chciał-
bym ich przesłuchać.

– Zdecydujemy po oględzinach – mówi Biezan
Jasiński nie pyta więcej. Sprawa jest jasna. Właściciel

BMW musiał być pod obserwacją. Major zapewne przejmie sprawę.

Któryś z dokonujących oględzin funkcjonariuszy podchodzi do porucznika.

– W pobliżu miejsca zdarzenia, na jezdni, znalazłem śrubę, a nieco dalej nakrętkę.

– Oznaczyliście miejsce na planie?

– Tak. Zrobiliśmy też zdjęcia.

Jasiński obraca śrubę w palcach.

– Mogła odpaść przy zderzeniu – mówi półgłosem do Bieżana. – Dziwne tylko, że nie jest zwichrowana. Gwint ma nie uszkodzony. Gdzieście ją znaleźli? – pyta funkcjonariusza.

– Mniej więcej w połowie jezdni. Tak jakby odpała przed kolizją.

– Skąd mogła wypaść? – pyta Bieżan.

– Z zawieszenia albo z układu kierowniczego. Na pewno będzie można stwierdzić po ekspertyzie. Musiała być obluźwana już wcześniej. To może być przyczyna tej kraksy. Na jezdni nie ma śladów hamowania, więc chyba nie zdążył się zorientować, co si z wozem dzieje.

– Jak tylko ściągniecie samochód z tego słupa, odholujcie go do Zakładu Kryminalistyki. Konieczne są szczegółowe oględziny pod kątem sprawności technicznej pojazdu. Śrubę z nakrętką trzeba także przekazać do pracowni mechanoskopijnej. Pismo w tej sprawie sam do nich wyślę. – Bieżan żegna się z Jasińskim. – Muszę jechać. Później się z wami porozumiem – dorzucą po chwili.

– Staszek – zwraca się do Kawki, gdy siedzą już obaj w samochodzie – sprawdziliście dokąd go zawieźli?

– Tak, jeden z chłopców pojechał za karetką. Jest na Jotejki.

– Owszem, jest u nas. Na urazówce – stwierdza lekarz dyżurny. – Stan bardzo ciężki. Uszkodzenie czaszki, zmiążdżone nogi. Trzeba natychmiast operować. Ściągnąłem naszego profesora. Kazałem zawiadomić rodzinę.

– Jest nadzieja utrzymania go przy życiu?

– Nikła. Oczywiście, zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Czy pan jest kimś z rodziny?

– Nie. Jestem z milicji. Chciałem się zorientować, kiedy go można będzie przesłuchać na okoliczności związane z wypadkiem.

Lekarz patrzy na niego trochę jak na wariata.

– Przesłuchać?! Jest nieprzytomny. Jeśli wyżyje, w co osobiście wątpię, najwcześniej za parę tygodni. Jak to się stało? – pyta.

– Wjechał na słup.

– Jego wina?

– Może tak, może nie. Nie znamy wszystkich okoliczności.

– Wygląda strasznie! – Lekarz jest ciągle jeszcze podniecony faktem, że właśnie na jego dyżurze trafił się taki niecodzienny pacjent.

– Kiedy będzie wiadomo, jaki jest wynik operacji?

– Za godzinę, dwie. Proszę niech pan zatelefonuje do mnie albo do ordynatora oddziału. Zawiadomiłem go także. Jest też na górze. Tyle, że teraz nic konkretnego panu nie powie. Nie więcej niż ja, bo ja go przyjmowałem na oddział. Czy wyżyje? Wielka niewiadoma.

Rozdział XV

– Pan w sprawie tego wypadku, co się naszemu doktorowi przydarzył? O Jezu, takie nieszczęście! – Wysoka tęga kobieta w białym fartuszkui tarasuje sobą drzwi. – Chciał pan pewnie rozmawiać z panią doktorową, ale jej nie ma. Poszła do szpitala, jak tylko stamtąd zadzwonili – informuje, lustrując jednocześnie przybysza uważnym spojrzeniem.

Widać lustracja wypada dla Bieżana pomyślnie, skoro gospościa otwiera szerzej drzwi i wpuszcza nieoczekiwanego gościa.

– Może pan zaczeka w salonie – mówi odbierając od niego palto. – O prosto, tędy – prowadzi go przez hall do przestronnego pokoju. – Nie wygląda pan na milicjanta – dodaje.

Jest trochę rozbawiony tym oświadczeniem.

– Dlaczego? – pyta.

– Taki pan uprzejmy, elegancki. – Z uznaniem patrzy na szary, dobrze skrojony garnitur, dyskretny, dobrany do niego krawat, śnieżnej białości koszulę. – Nigdy bym nie podejrzewała, gdyby się pan sam nie przedstawił.

– Proszę, może pani usiądzie tu ze mną i dotrzymaj mi towarzystwa – mówi zapraszająco.

– Co też pan? Usiąść w salonie?! Doktor, gdyby się o tym dowiedział, zaraz by mnie zwolnił, a i pani byłaby zagniewana. Moje miejsce jest w kuchni i w służbówce. Tam mogę się rozsiadać, ale tu? Od razu widać, że pan z

innej gliny niż moje państwo. Ceni pan człowieka.

– To przecież normalne. Każdy z nas jest pracownikiem i za tą pracą trzeba go szanować, niezależnie od funkcji, jaką spełnia.

– Moi państwo tak nie uważają. Żadne nie odezwie się po ludzku, nie pogada, tylko wydają polecenia. Traktują człowieka jak automat.

– To czemu pani nie zmieni pracy?

– Dobrze mi płacą, to i przywykłam. Odkładam prawie całą pensję. Życie mnie nie kosztuje. Kupuję mi także ubranie do roboty. A i tej roboty nie mam dużo. Pójść po sprawunki, ugotować dla nich dwojga, czasem przygotować wystawne przyjęcie. No i co dzień trzeba posprzątać. Do cięższej pracy, do pastowania podłóg, mycia okien, przychodzi raz w tygodniu sprzątaczką. Więc nie szukam nic lepszego. Myślę tu doczekać starości.

– Jest pani jeszcze młoda, energiczna, co tu myśleć o starości.

– Co też pan opowiada?! Piąty krzyżyk mam już na karku.

– Nie wygląda pani. Nigdy bym nie pomyślał.

Czerstwą twarz opromienia uśmiech.

– Miły z pana człowiek. Rzadko się teraz takiego spotyka.

– Na pewno wśród tych, którzy bywają u doktora, też są mili ludzie!

Gospośia kręci głową.

– Wszyscy tacy jak oni. Wielkie państwo. Dzień dobry, do widzenia, i tyle. Pacjenci naszego pana, jeśli czasem pogadają, to z pielęgniarką. Ona tu urzęduje od

piętnastej w dni przyjęć. Ona. ich załatwia, wprowadza, wprowadza. Ja mam powiedziane, żeby się w tym czasie w przedpokoju nie kręcić.

– Czy dziś jest dzień przyjęć?

– Nie. Jutro. Dziś z rana, przed wyjściem do szpitala, pan zadysponował kolację na pięć osób. Mieli być jacyś goście. Ale potem słyszałam, jak mówił do pani, że trzeba wszystko odwołać.

– O której kazał odwołać przyjęcie?

– Podczas obiadu. Podawałam właśnie pieczone i słyszałam rozmowę. Po obiedzie doktor zszedł do garażu po samochód, wyprowadził go na ulicę i jeszcze wrócił. Widać czegoś zapomniał, bo poszedł do gabinetu i zaraz znów wyszedł. Słyszałam, jak zatrzasnął drzwi. Pani siedziała u siebie i wyszła dopiero po tym telefonie ze szpitala...

– Doktor wychodząc nie mówił, kiedy wróci?

– Nie. Ale widać wybrał się gdzieś na dłużej, jeśli kazał odwołać tę kolację.

– Może mu coś niespodziewanie wypadło?

– Chyba tak. Tuż przed obiadem był do niego jakiś telefon. Pani go odebrała i wywołała doktora z łazienki. Może to dlatego...

– Kto miał dostęp do garażu, w którym doktor trzymał wóz?

– Tylko pan i pani. No i dzisiaj przed południem zszedł tam inżynier.

– Inżynier?

– Właściciel warsztatu. U niego wóz był na przeglądzie. Jak zawsze. Dziś w południe jego mechanik

odstawił samochód do garażu i odniósł na górę klucze. Zaraz je oddałam pani. Potem przyszedł pan inżynier, zaszedł do pani, siedzieli razem, pili kawę. Przed wyjściem, widziałam, inżynier zszedł do garażu. Mówił, że chce sprawdzić samochód. Wrócił jeszcze na chwilę pożegnać się z panią. Pewnie wtedy oddał jej klucze.

– Długo wóz stał w warsztacie?

– Od przedwczoraj. Wieczorem przyjechał po niego mechanik, a dziś w południe odstawił go z powrotem.

– Przez ten czas doktor jeździł do szpitala autobusem?

– Nie... Taksówkami. Codziennie zamawiałam mu taksówkę przez telefon.

– Wyobrażam sobie, jak doktorowa musiała być zdenerwowana okropną nowiną o wypadku męża.

– Eee, panie, kto ją tam wie! Była spokojna jak zawsze. Wychodząc powiedziała mi, co się stało i że jedzie do szpitala, a stamtąd zaraz wróci do domu. Kazała tak mówić, gdyby ktoś o nią pytał.

– A pytał?

– Nie. Pan pierwszy.

– Z tego, co pani mówi, widać, że nie bardzo się przejęła...

– Cóż dziwnego! Dwadzieścia lat jest od niego młodsza! Niby dobrze żyli ze sobą, nigdy nie słyszałam, żeby się kłócili, ale tak jakoś... – Urywa słysząc szcęk zamka. – O Boże, moja pani! Niech pan tylko nie zdradzi, że ja coś panu mówiłam – rzuca szeptem znikając za drzwiami.

Bieżan słyszy dwa głosy. Zbliżające się kroki. Do salonu wchodzi szczupła, wysoka brunetka.

– Pan do mnie?

– Tak. – Bieżan przedstawia się.

Wielkie błękitne oczy ocienione czarnymi rzęsami z zainteresowaniem lustrują gościa.

– Gospośia mi mówiła, że przyszedł pan w związku z wypadkiem mego męża – zagaja rozmowę.

– Tak. Musimy ustalić przyczynę wypadku. Chciałem prosić o kilka informacji. Pani zapewne wraca ze szpitala. Lekarz mi mówił, że wezwał rodzinę. Czy operacja się udała?

– Mówiono mi, że operacja jest sukcesem naszej chirurgii. Ale stan męża jest nadal niepokojący. Nie pozwolono mi go zobaczyć. Profesor, który go operował, nie robił mi większych nadziei na utrzymanie go przy życiu. – Anita Halpernowa mówi to wszystko spokojnym, beznamiętnym tonem. Głos się nie łamie, nie drży. Na twarzy nie widać napięcia. – Chciał pan ode mnie uzyskać jakieś informacje. Nic nie wiem o samym wypadku. Nie wiem, gdzie ani w jakich okolicznościach się zdarzył. Jak to się stało? Z czyjej winy? – pyta bez zbytniego zainteresowania.

– Doktor rozbił się na zakręcie ulicy Myśliwieckiej. Uderzył w betonowy słup. Zamiast skręcić w prawo, pojechał prosto. Przypuszczamy, że wóz był niesprawny technicznie albo może mąż pani nagle zasłabł. Czy nie uskarżał się dziś albo wczoraj na złe samopoczucie, nie mówił o jakichś dolegliwościach?

– Ależ nie! Był w świetnej kondycji. Musiał nagle

wyjechać do miasta. Coś mu wypadło. Jakaś nieoczekiwana sprawa. Musieliśmy odwołać gości. Miał niezadowoloną minę, ale nic ponadto.

– Może miewał ostatnio jakieś zawroty, bóle głowy? Może nadciśnienie?

– Nieee. – W głosie lekkie zdziwienie. – Nic o tym nie wiem. Zawsze wydawało mi się, że jest okazem zdrowia.

– Może nie chciał pani martwić.

– Nie przypuszczam, żeby udało mu się ukryć przede mną chorobę. Jestem z zawodu pielęgniarką. Chociaż kto wie? – W głosie wahanie, jakby dopiero teraz coś sobie przypomniała. – On jest skryty. Nie lubi mówić o sobie. Być może w tajemnicy przede mną leczy się u któregoś ze swoich kolegów, a przepisane mu leki chowa w swoim gabinecie. Ja tam nigdy nie wchodzi. On tego nie lubi.

– Może więc samochód nie był sprawny?

– Niemożliwe! Dziś w południe odstawił go mechanik po przeglądzie.

– W jakim warsztacie dokonano przeglądu?

– U inżyniera Kłoska. Na ulicy Odyńca. Zawsze tam oddajemy wóz. Nigdy nie słyszałam, żeby mąż miał jakiegokolwiek zastrzeżenia, jeśli chodzi o jakość napraw i konserwacji. Mąż twierdzi, że to wyjątkowo solidny warsztat. Inżynier Kłosek jest z nami zaprzyjaźniony.

– Inżynier Kłosek? Gdzieś słyszałem to nazwisko.

– Pewnie obiło się panu o uszy, bo niedawno z jego bratem przeprowadzono wywiad w telewizji.

– Czy do garażu mógł mieć dostęp ktoś z zewnątrz?

- Nie. Klucze mieliśmy tylko my. Ja i mąż.
 - Czy ktoś oprócz państwa był dziś w garażu?
 - Mechanik wprowadzał samochód.
 - Jest pani tego pewna?
 - Cóż to ma za znaczenie? – Błękitne oczy patrzą z uwagą na Bieżana. – Dlaczego pan o to pyta tak szczegółowo?
 - Po prostu biorą pod uwagę wszystkie możliwe ewentualności.
 - Czyż nie mogło się tak zdarzyć, że mąż się zaga-pił lub uderzył o słup, chcąc uniknąć zderzenia z czło-wiekiem, który nieoczekiwanie wyskoczył na jezdnię?
 - I to jest możliwe. Ale żeby ustalić przyczynę, trzeba znać wszystkie okoliczności. Dlatego pozwoliłem sobie panią fatygować. Gdybym musiał jeszcze o coś spytać...
 - Oczywiście, proszę, ale może przedtem uprzedzi pan mnie telefonicznie. – Piękna pani na pożegnanie wyciąga szczupłą dłoń.
- Stanowczo nie robi wrażenia kochającej żony, oce-nia Bieżana. A może pozory mylą?

Rozdział XVI

Wynik ekspertyz mechanoskopijnych nie zaskakuje Bieżana. Oględziny miejsca wypadku i uszkodzonego

pojazdu nasunęły przypuszczenie, że mogła być to próba zamachu.

Motyw? Można go było logicznie uzasadnić.

Mieszkanie Halperna było punktem, w którym zbiegły się drogi Laskowskiego i Jamnickiego, dwóch ludzi mających bezpośredni dostęp do dokumentacji ERA-13. Obaj są pacjentami doktora, który leczy schorzenia psychiczne metodą hipnozy, umożliwiającą, jak sam oświadczył, ujawnienie najbardziej chronionych ludzkich tajemnic, dotarcie do nich wbrew woli pacjenta. Jeśli tajemnice dokumentacji wydobyl od któregoś z nich podczas snu hipnotycznego? Pomysł wydaje się całkiem fantastyczny, ale trzeba go wziąć pod uwagę. Z drugiej strony gabinet lekarski jest niemal idealnym miejscem kontaktowym. Pacjenci przychodzą i wychodzą, nie zwraca to niczyjej uwagi. Właśnie, czy tylko pacjenci? Dlaczego Jamnicki nie figuruje w kartotece pacjentów doktora?

Obserwacja ustaliła, że przychodził tutaj w godzinach przyjęć. Bywał prawdopodobnie również w okresie prac nad dokumentacją. Świadczy o tym tkwiące w aktach, a wystawione przez Halperna, zwolnienie lekarskie. Z drugiej strony, czy człowiek taki jak Halpern, jeśli nawet założyć, że jest agentem wywiadu i przekazał mikrofilm z dokumentacją kanałem wywiadowczym, zostawiłby ślad kontaktu ze swoim człowiekiem w postaci zwolnienia lekarskiego? Ślad naprowadzający na wzajemne związki? Był tak pewny siebie, że pozwolił sobie na nieostrożność? Nie miał innego sposobu pokrycia nieobecności w pracy Jamnickiego? Ale po co

i komu ta nieobecność była potrzebna? Co w tym czasie robił Jamnicki? Tego do tej pory nie udało się ustalić.

Pytania i problemy do wyjaśnienia mnożą się. Ich liczba, a także stopień trudności w uzyskaniu na nie odpowiedzi nie tylko nie przerażają Bieżana, ale stanowią dla niego doping. Rozgryzanie takich właśnie orzeszków uważa za sprawdzian sprawności zawodowej, zarówno w zakresie intuicji śledczej, jak i precyzji myślenia i działania. Wreszcie przyszedł czas na działanie. Bieżanowi dojadło ślęczenie za biurkiem, wertowanie meldunków, informacji, oczekiwanie na wyniki zleconych ludziom ustaleń. On lubi działać, nie tylko oceniać działania innych.

Czy istniał powód uzasadniający zamach na życie Halperna? Postawił kolejne pytanie. Odpowiedź uzasadnia jego hipotezę.

Jeśli Halpern zestawił sobie nagłą kontrolę z urzędu skarbowego, kontrolę, która przeszukiwała jego kartotekę, ze zorganizowanym wkrótce potem przez Bożenę spotkaniem ze mną, rozumował, to po ustaleniu mojej roli w sprawie ERA-13, jeśli sam jest w tę sprawę wplątany, poczuł się zagrożony. W takiej sytuacji jest wysoce prawdopodobne, że się z kimś skontaktował. Zaalarmował swoich mocodawców. Ci z kolei zdecydowali się usunąć prowadzące do nich ogniwo.

Jeśli mam rację, myśli Bieżan, gdzie jest ślad tego kontaktu. Od dwóch dni był pod ścisłą obserwacją. Obserwacja powinna była go wychwycić.

Bieżan raz jeszcze wertuje szczegółowe meldunki z tego okresu. Nic. Nic interesującego. Trasa jak zwykle:

szpital – dom. Żadnych zmian w liście pacjentów prywatnych przyjętych przez Halperna. Wszystkie wizyty były zamówione przed kilkoma tygodniami. Ani jednego nowego nazwiska. A może system alarmowy jest tak przemyślny, że nie uda się go rozszyfrować za pomocą obserwacji?

Polecił swoim ludziom sprawdzić na pocztce wszystkie rozmowy międzymiastowe i międzynarodowe zamawiane z numerów domowego i służbowego doktora oraz ustalić numery jego rozmówców z ostatnich dni.

Czeka na te ustalenia i raz jeszcze wertuje opinie ekspertów dotyczące wypadku. Z ekspertyz wynika, że Halpern nie skręcił w prawo z powodu niesprawności układu kierowniczego. Brak śruby łączącej dolną część kolumny kierowniczej z mechanizmem skrętnym kół doprowadził do tego, że skręt kierownicy w prawo nie spowodował takiegoż skrętu kół. Pojazd nadal toczył się prosto.

Brak śladów hamowania na jezdni wyjaśniały wyliczenia ekspertów. Czas psychomotorycznej reakcji kierowcy, licząc od chwili dostrzeżenia niesprawności układu kierowniczego do podjęcia przeciwdziałania w postaci naciśnięcia na hamulec, trwa jedną sekundę. W tym czasie pojazd jadący z prędkością około siedemdziesięciu kilometrów na godzinę przebył 17 metrów dzielących krawężnik jezdni od słupa.

Znaleziona podczas oględzin miejsca wypadku śruba z nakrętką została zidentyfikowana jako należąca do tego pojazdu. Właśnie ona łączyła kolumnę kierowniczą BMW z mechanizmem skrętnym kół.

Należy wykluczyć możliwość, stwierdzili eksperci, że odpadła ona wskutek wstrząsu spowodowanego kolizją. Świadczy o tym brak śladów jakichkolwiek uszkodzeń. Ślady takie musiałyby powstać, gdyby oderwanie się śruby i odrzucenie jej od wozu było spowodowane działaniem siły odśrodkowej.

Z dalszego ciągu opinii wynikało, że śruba została obluzowana przed kolizją. Odpadła najprawdopodobniej pod wpływem wstrząsu, w chwili gdy kierowca tuż przed zakrętem najechał na niewielką dziurę w jezdni, zlokalizowaną z prawej strony przy krawężniku.

Klucz, który został użyty do rozkręcania śruby, ustalili eksperci, jest kluczem właściwym, jeśli chodzi o kaliber, nie należy jednak do kompletu kluczy znajdujących się w bagażniku badanego pojazdu.

Ustalenia ekspertów wskazywały na czyjeś celowe działanie, na zamach upozorowany na wypadek drogowy. Taki zamach mógł przygotować ktoś, kto miał łatwy dostęp do samochodu doktora, ktoś, kto z góry potrafił zaplanować trasę tej ostatniej jazdy. A więc w grę mogą wchodzić pracownicy warsztatu i telefoniczny rozmówca. Bieżan po przewertowaniu ekspertyz przeprowadził rozmowy z prowadzącymi obserwację funkcjonariuszami. Liczył, że być może pisząc meldunki przeoczyli jakiś drobiazg, cień informacji, jako nie mający, ich zdaniem, istotnego znaczenia. Maglował ich kilka godzin i nic z tego nie wynikło.

Nic szczególnego nie zauważyli, choć holowali go przez cały czas, nie spuszczać z oczu ani na chwilę. Wypadek zdarzył się zupełnie niespodziewanie. Zanim

zorientowali się, że coś się dzieje, wóz już siedział na słupie. Ledwie zdążyli wyhamować. W roli przypadkowo przejeżdżających tamtędy ludzi, świadków wypadku, wezwali pogotowie, milicję, pomogli wydobyć doktora z rozbitego samochodu. Stwierdzili, że był nieprzytomny.

– Nie widzieliście, kiedy mechanik wprowadzał wóz do garażu? Czy oprócz niego ktoś jeszcze tam wchodził?

Patrzą na niego ze zdziwieniem.

– Był rozkaz obserwacji doktora. W rozkazie nie było mowy o jego samochodzie – meldują jeden po drugim.

Nie ma o to do nich pretensji. Któż mógł przewidzieć?!

Decyduje się pojechać osobiście do warsztatu. To może być istotny ślad, usprawiedliwia się sam przed sobą, pewien, że gdyby się o tym dowiedział Ziętara, czekałaby go reprimenda za „partyzanckie” metody pracy.

Masz kierować ludźmi, a nie ich zastępować, słyszy głos przyjaciela. Skończyły się czasy bohaterskich, jednoosobowo wykonywanych zadań. Do ciebie należy planowanie poszczególnych czynności, podkreślał wielokrotnie. Ba, kiedy on, Bieżan, wciąż nie potrafił zrezygnować z osobistych ustaleń, z osobistych kontaktów z interesującymi go ludźmi. Meldunki nie oddają całego obrazu. W bezpośredniej rozmowie uzyskuje się nie tylko informacje, ale kształtuje się pogląd o ludziach,

których się ma oceniać. Żaden człowiek nie zrobi nic takiego, co stoi w całkowitej sprzeczności z jego mediami charakterologicznymi, z jego sposobem myślenia, uważa. Źródło każdej decyzji tkwi w człowieku i dlatego trzeba go najpierw poznać, a dopiero później na tej podstawie rozważyć, czy coś do niego pasuje, czy nie, tłumaczy nieraz swoje posunięcia. Ta pasja osobopoznawcza pcha go teraz do warsztatu.

Mechanik Jan Waclawek, który, jak go poinformowano, konserwuje stale wóz doktora, jest na miejscu. Dłubie coś przy Volkswagenu.

Zapytany o BMW wyjaśnia bez wahania:

– Tak. W piątek przed południem odprowadziłem wóz do garażu.

– Co przy nim pan robił?

– Zwykły przegląd. Przesmarowałem go, zmieniłem oleje, sprawdziłem zapłon, stan klocków hamulcowych, bo doktor narzekał, że hamulce słabo trzymają. To wszystko.

– Czy sprawdzał pan układ kierowniczy?

W odpowiedzi wzruszenie ramion.

– Nie było potrzeby. Doktor nie mówił, że coś nawala. Sprawdziłem tylko, czy nie ma luzu. Nie było. Dlaczego pan pyta? – Jest wyraźnie zdziwiony zainteresowaniem obcego. – Doktor pana przysłał? Coś nawaliło?

– Jestem z milicji. Doktor miał kraknę. Wóz jest rozbity.

Mechanik nie robi wrażenia zaniepokojonego.

– Co się stało? – pyta z ciekawością i zaraz dodaje.

Wóz był pełnosprawny. Jeśli pan chce, zaraz przyniosę z kantoru kartę z tego przeglądu. O, właśnie tu idzie inżynier Kłosek. On jest właścicielem. Niech pan od niego weźmie. Panie inżynierze – zwraca się do nadchodzącego mężczyzny – pan doktor się rozbił. Ten pan – ruch głową w kierunku Bieżana – jest z milicji. W tej sprawie przyszedł.

– Co się stało? – Kłosek ma zdumioną minę.

– Doktor wpadł na słup – rzuca w odpowiedzi. – Wóz przed wypadkiem był w pańskim warsztacie na przeglądzie. W jakim był stanie?

– Waclawek stale ten wóz konserwuje. On panu udzieli informacji. Ja po przeglądzie osobiście sprawdzałem, czy zrobił wszystko, co trzeba. Nie miałem zastrzeżeń.

– Już mówiłem – wtrąca się Waclawek – że chodził jak zegarek. Sam go odprowadzałem do garażu. Dlaczego pan pyta właśnie o układ kierowniczy?

– Ekspert stwierdził, że przyczyną wypadku była wada układu kierowniczego – wyjaśnia Bieżan.

Waclawek ma minę speszoną.

– Jak Boga kocham, wszystko grało.

– Chodźmy do kantoru – przerywa inżynier Kłosek. – Zobacz pan na własne oczy kartę naprawy. – Czy doktorowi coś się stało? – pyta z niepokojem w głosie.

– Jest ranny. Lekarze twierdzą, że za parę dni będzie go można przesłuchać – stwierdza Bieżan, obserwując reakcję rozmówcy.

Kłosek jest wyraźnie zdenerwowany.

– Nie może powiedzieć, że z naszej winy – mówi z

niepokojem w głosie. – Sam osobiście wszystko sprawdziłem – powtarza.

– Tu na miejscu, po przeglądzie? – zadaje Biezan podchwytliwe pytanie.

– Nie, byłem w garażu doktora dwudziestego ósmego kwietnia po południu. Przejeżdżałem tamtędy i wstąpiłem specjalnie. Pani Halpernowa dała mi klucze od garażu. Wszystko było w porządku. Od paru lat konserwujemy ten wóz. Doktor nigdy nie narzekał. Wprost przeciwnie. Sam to panu powie – dorzucą po namyśle.

Nie ma pojęcia o przyczynie wypadku, czy też taki opanowany? – zastanawia się Biezan wracając do siebie.

W głowie mu świta pewien pomysł.

Rozdział XVII

Drzwi szpitalnej separatki, w której leży doktor Halpern, są oznaczone numerem sto jeden. Numer łatwo zapamiętać, szczególnie jeśli towarzyszy mu fakt, że właśnie tam, na pierwszym piętrze „urazówki”, bez przerwy toczy się walka o życia znanego w środowisku lekarskim człowieka.

Ordynator nie dopuszcza do chorego nikogo, prócz jednego ze swych najbardziej zaufanych lekarzy i dwóch pielęgniarek, które na zmianę pełnią przy nim dyżury. One to są nieustannym źródłem informacji o skuteczności codziennych lekarskich poczynań, informacji, które przekazywano z ust do ust, krążą po

szpitalnych korytarzach i docierają do portierów. Ci ostatni z miną wtajemniczonych przekazują je pytającym osobiście o zdrowie doktora.

– Jest nieprzytomny. Ale szok już mija, ordynator twierdzi, że wyżyje. Teraz trzeba mu przede wszystkim spokoju. Dlatego nie wpuszczamy nikogo na górę. Przesyłek też nam nie wolno przyjmować. Pacjent nic nie może jeść. Dostaje kroplówki. Za tydzień, dwa, co innego. Na razie nawet żona wchodzi z pustymi rękoma.

Mówiąc o wizytach żony mija się z prawdą. Anita Halpernowa nie bywa tu wcale. Za pierwszym razem zjawiła się zawiadomiona przez szpital, po raz drugi zaszła z rana następnego dnia do ordynatora dowiedzieć się o diagnozę i stan zdrowia męża. Od tego czasu porozumiewa się z lekarzami telefonicznie. Wyjaśnienie, że nie bywa codziennie w szpitalu, bo serce jej pęka, ilekroć patrzy na nieprzytomnego, spowitego w bandażu człowieka, brzmi jakoś nieprzekonywająco.

– Widać jej na nim nie zależy – komentuje się ten brak zewnętrznych objawów zainteresowania. – On, starszy już człowiek. Dwadzieścia lat różnicy między nimi. Wysłała za niego, bo sławny i bogaty! A teraz może by chciała się go pozbyć? Podobno przywiózł sobie żonę z zagranicy. Biedę klepała, a on ją z biedy wyciągnął. Taka to i wdzięczność. Teraz woli młodszych, on tu leży sam. Nikogo swojego przy łóżku. Wprawdzie nieprzytomny, ale jak się ocknie, byłoby mu przyjemnie zobaczyć żonę.

Na razie nic nie wskazuje, że ta chwila nadchodzi. Na szpitalnym łóżku, w separacie, nieruchomy kształt, spowity w bandaż. Kukła. Twarzy nie sposób rozpoznać. W szparkach dostrzec można zamknięte powieki, czubek nosa, wąski pasek zaciśniętych, bezkrwistych ust. Kołdra nasunięta niemal pod brodę.

Tuż przy łóżku wisi wypełniony bezbarwnym płynem pojemnik. Kroplówka. W tej chwili nie podłączona.

W tym końcu korytarza panuje cisza. Mieszczą się tutaj, oprócz drugiej separatu, dwa gabinety lekarskie. Wypełnione chorymi, gwarne sale są zlokalizowane na drugim końcu korytarza. Gwar tu nie dociera.

Pielęgniarka przed chwilą wyszła z separatu, wywołana przez jedną z salowych. Wchodzi właśnie na schody prowadzące na górę, gdy cichutko, niemal bezszelestnie ktoś uchyla drzwi pokoju 101. Ten ktoś jest wysokim brunetem w ciemnych, zasłaniających pół twarzy, okularach. Spod lekko rozchyłonego białego lekarskiego kitla widać granatowe ubranie.

Przybysz stoi przez chwilę nieruchomo, jakby nasłuchiwał. Nie spuszcza wzroku z chorego, leżącego jak kłoda, nieruchomo.

Mijają sekundy. Mężczyzna wchodzi do pokoju, bezszelestnie zamyka za sobą drzwi i szybkim krokiem zbliża się do łóżka. Przystaje, sięga do kieszeni, wyciąga strzykawkę z igłą. Ze strzykawką w ręku nachyla się nad chorym, odrzuca kołdrę, żeby odsłonić ramię,

Chwyta za to ramię, gdy nagle dotąd bezwładna ręka

odskakuje jak na sprężynie. Leżący nieruchomo człowiek błyskawicznie odwraca się, siada na łóżku. Chwyta za poję fartucha. Przybysz nie traci głowy. Nagłe szarpnięcie i ciężka kołdra, spada na głowę zrywającego się z łóżka chorego.

Przybysz dopada drzwi, znika w głębi korytarza. Po chwili na piętrze znów panuje cisza.

– Cholera, poszkapiłem – mruczy „chory”, naciśkając zamontowany przy łóżku dzwonek alarmowy. – To ta kołdra. – Patrzy na nią z wyraźnym obrzydzeniem.

Parę sekund i inny mężczyzna w lekarskim kitlu staje w drzwiach. Krótka wymiana zdań.

– Był. Brunet w ciemnych okularach. Pod kitlem granatowe ubranie. Nie udało mi się go zatrzymać. Jeszcze musi być w gmachu...

– Zrozumiałem. Kładź się.

Spowity w bandażu człowiek bez protestu wraca do łóżka. Czeką cierpliwie. Zaraz ktoś się do niego zgłosi.

Znów skrzypnięcie drzwi. Wchodzi Bieżan.

– I co stary, krewa? Mów, jak się to odbyło.

Podporucznik Pokora jest zmartwiony.

– Nie zdążyłem go zatrzymać. Był szybszy. Zarzucił mi kołdrę na głowę. Nie mogę sobie darować...

– Trudno. Nie wszystko można przewidzieć. Podejście go obserwacja.

Ale i obserwacja zawodzi.

– Nikt o takim rysopisie nie wychodził ze szpitala. Wszystkie wyjścia były obstawione zgodnie z rozkazem

– tłumaczą Bieżanowi speszeni funkcjonariusze.

– Więc co? Wyparował?

– Może ukrył się w jakimś zakamarku szpitala – rzuca któryś nieśmiało.

– Może zgłosił się do milicji i poprosił, żeby go zamknąć pod zarzutem usiłowania zabójstwa – przedeźnienia ich Bieżan. – Może, może... Po to was tam postawiono, żebyście podjęli obserwację wskazanego człowieka, a nie snuli domysły, co też z nim się stało. Musiał przejść przed waszym nosem! – Bieżan jest wściekły. Tak starannie obmyślona pułapka zawiodła. Z ich winy, ocenia.

Lokując w tej separacie, oficjalnie zajmowanej przez Halperna, swojego człowieka, liczył się z kolejną próbą zamachu. Po to, by go sprowokować, w porozumieniu z ordynatorem, postarał się, by rozeszła się szeroko wiadomość o nagłej poprawie stanu zdrowia Halperna, rokującej duże nadzieje na wyzdrowienie. W tej sytuacji, założył, sprawca zechce dokończyć dzieła. Kiedy i w jakich okolicznościach to nastąpi, nie był w stanie przewidzieć. Ścisła obserwacja, jaką objęto wszystkich potencjalnych podejrzanych, łącznie ze znajomymi doktora, jego pracownikami i żoną, nie przyniosła żadnych rezultatów. Nikt z tej grupy nie kręcił się wokół szpitala, nikt nie szukał kontaktów umożliwiających dostęp do chorego.

Okazało się, że sprawca drugiego nieudanego zamachu jest spoza tego kręgu. Ale nieć, która, jak liczył, ujawni się, znów się urwała. Znowu niewypał!

Ledwie wrócił do siebie, dzwonek telefonu.

– Panie majorze – głos ordynatora. – Doktor zmarł nie odzyskawszy przytomności. Sekcja u nas czy w Zakładzie Medycyny Sądowej?

– Przewieźcie ciało do zakładu. Zawiadomił pan już żonę?

– Jeszcze nie. Najpierw chciałem się porozumieć z panem.

– Gdyby pan mógł wstrzymać się do jutra...

– Dobrze. Co jej powiedzieć, gdyby zatelefonowała?

– Niemal całą prawdę. Stan agonalny.

– A jeśli zechce przyjść tu do nas i ostatnie chwile spędzić przy umierającym mężu? Nie można jej tego zabronić.

– Jeśli zdecyduje się przyjść, powie pan, że właśnie przed chwilą nastąpił zgon, że ciało zabrano na sekcję.

Odkłada słuchawkę. Wychodzi. Chce porozmawiać z Anitą Halpernową.

Z informacji funkcjonariuszy prowadzących obserwację Halpernowej wie, że jest w domu. Że właśnie przed półgodziną przyszedł na Piękną inżynier Kłosek.

Kłosek? Ależ tak. On odpowiada podanemu przez Pokorę rysopisowi. Też wysoki brunet. Kłosek nie został objęty obserwacją. Psiakość! A jeżeli to był on?! I ja poszkapilem. Wyrzuca sobie niedopatrzenie.

– Natychmiast objąć obserwacją inżyniera Kłoska – poleca przez radiotelefon Kawce. – W tej chwili jest u Halpernowej. Może zdążyć, zanim wyjdzie. Jeśliby nie

zdążyli, niech podejmie obserwację któraś z ekip obserwujących Piękną. Podaj im zaraz rysopis. Jadę na Piękną.

Biegnie po schodach. Na półpiętrze wpada na schodzącego na dół inżyniera.

– Co za nieoczekiwane spotkanie – zagaja rozmowę. – Czyżby doktorowa kupiła nowy wóz?

– Ależ nie – tłumaczy Kłosek lekko speszony. – Pani Anita poleciła mi odebrać wóz z milicji, chce go naprawiać. Czy i kiedy mogę się zgłosić po to BMW?

– Proszę bardzo. Nawet jutro. Samochód stoi na parkingu Wydziału Ruchu. Ale bez upoważnienia właścicielki nie wydadzą.

– Czy wiadomo już ostatecznie, jaka była, przyczyna wypadku?

– Wada układu kierowniczego.

– Wada fabryczna?

– Tak.

– No tak... – cień ulgi w głosie inżyniera. – Dziękuję. Do widzenia. – Wyciąga rękę na pożegnanie.

– Może pan teraz weźmie to upoważnienie od doktorowej – proponuje Biezan. Chce przedłużyć rozmowę. Żeby zdążyli.

– No tak, rzeczywiście. – Kłosek decyduje się zawrócić. Razem wchodzi na górę.

Halpernowa otwiera drzwi.

– Zapomniałeś o czymś, kochany? – zwraca się do inżyniera i nagle milknie speszona, dostrzegłszy Bieżana.

Biezan udaje, że nie dosłyszał.

– Spotkałem inżyniera – mówi swobodnie – i właśnie go poinformowałem, że można już zabrać wóz do naprawy. Musi pani tylko wystawić upoważnienie.

– Naturalnie, w tej chwili. – Zostawia ich obu w salonie i znika w swoim pokoju. Wraca z podpisaną kartką. – Czy takie upoważnienie wystarczy? – pyta pokazując je Bieżanowi.

– Tak. Oczywiście. – Podaje świstek inżynierowi.

Kłosek żegna się, wychodzi.

Zdążą, ocenia Bieżan czas niezbędną na dojazd wo-
zu obserwacji.

– Chciałem porozmawiać z panią na temat oko-
liczności związanych z wypadkiem pani męża – zwraca
się do Halpernowej.

– Mąż sam to panu powie. Ordynator mi mówił, że
lada godzina odzyska przytomność.

– Niestety, jestem zwiastunem złej wieści. Wra-
cam ze szpitala. Ordynator twierdzi, że stan jest bezna-
dziejny.

Błysk w oczach pięknej pani.

– To straszne – mówi spokojnie, zakrywając ręką
oczy.

Rozdział XVIII

Tadeusz Kłosek, właściciel warsztatu mechanicznego przy ulicy Odyńca 16, w 1955 roku, jak wynika ze wstępnych ustaleń, ukończył wydział mechaniczny Politechniki Warszawskiej i w rok później rozpoczął pracę

w stołecznej fabryce samochodów jako kierownik hali montażowej. W 1958 roku ożenił się z córką znanego wynalazcy, plastyczką Ewą Zielińską. Teść, właściciel sześciopokojowej willi na Żoliborzu, w prezencie ślubnym zaofiarował młodemu samodzielne trzypokojowe mieszkanie na parterze swojej willi, sam z żoną przeniósł się do takiego samego lokum na piętrze. Kłosek był zdolny, szybko awansował. W 1982 roku otrzymał nominację na stanowisko głównego specjalisty do spraw inwestycji.

– Umiał się urządzać – mówili z zazdrością o Tadeuszu Kłosku niektórzy koledzy. – Dzięki protekcji i pomocy teściunia ma stanowisko, własne mieszkanie, pieniądze.

– „Szczęściarz”, w czepku się urodził – twierdzili inni.

On sam jednak nie uważał się za szczęściarza. Był niezadowolony.

Miał atrakcyjną żonę, samodzielne mieszkanie. Ale stałe ingerencje teściów w jego sprawy domowe sprawiały, że w praktyce owa samodzielność była iluzoryczna. Żona chciała, by celem jego zabiegów stało się dyrektorskie stanowisko, a później walka o kolejne, coraz wyższe szczeble w administracyjnej strukturze. Tak widziała jego dalszą karierę. On nie miał takich ambicji. Chciał pracować w produkcji. Męczyła go papierkowa robota, związana ze stanowiskiem głównego specjalisty, stałe konferencje, narady, konieczność użerania się o środki niezbędne do wykonania zaplanowanych inwestycji,

wyposażenie, kadry. Nie zamierzał wchodzić w istniejące układy, chciał żyć na własny rachunek. Na tym tle między nim a żoną wybuchały scysje, przekształcające się pomału we wzajemną niechęć, a później wrogość.

Problem rozwiązał się sam w sposób nieoczekiwany. Spadek po zmarłym za granicą stryju umożliwił Tadeuszowi Kłoskowi dokonanie cięcia. Rozszedł się z żoną, wyprowadził od teściów, za spadkowe pieniądze kupił niewielkie, ale dla niego wystarczające mieszkanie.

Zwolnił się z pracy, zrezygnował ze stanowiska i korzystając z okazji przystąpił do spółki w prowadzonym przez dawnego kolegę warsztacie samochodowym. Tu ulokował swój kapitał, w niedługim czasie spłacił wspólnika, który chciał się z tego interesu wycofać. Rozbudował warsztat, zatrudnił dobrych fachowców i uznał, że jest urządzony, ma to, czego chciał – samodzielność, spokój, wysokie zarobki.

Wśród stałej klienteli, którą zdobył jakością świadczonych usług, znalazło się wielu luminarzy świata nauki, kultury. Trafił tu i Halpern.

Stosunki, zrazu układające się na płaszczyźnie: właściciel warsztatu – klient, z biegiem czasu przekształciły się w kontakty towarzyskie, później przyjacielskie. Niemałą w tym rolę odegrała osoba Anity Halpernowej.

Halpernowa wyszła za mąż za starszego od niej o dwadzieścia parę lat człowieka nie tylko dla zapewnienia sobie wygodnej egzystencji, choć i ten wzgląd nie był dla niej bez znaczenia. Rodzice, małorolni chłopci, po wyzwoleniu robotnicy rolni w jednym z PGR-ów,

zapewnili córce ukończenie szkoły podstawowej na wsi. Dzięki ich pomocy zdołała uzyskać świadectwo matu-ralne, dojeżdżając do liceum w pobliskim miasteczku. Ale tam właśnie, pod wpływem koleżanek, zaczęła marzyć o tak zwanym wielkim świecie. Pracę mogła otrzymać bez trudu, setki zakładów stawały otworem przed młodzieżą, lecz ona w swej naiwnej wyobraźni sięgała wyżej. Wmówiono jej, że dzięki nieprzeciętnej urodzie zrobi karierę. Czas upływał i w końcu do roz-śadku przemówił jej brat.

– Nie czekaj na cud – perswadował. – Idź do szko-ły pielęgniarskiej. Skoro nic innego ci nie odpowiada, podejmij pracę w szpitalu. Pielęgniarek wszędzie braku-je. Ręczę ci, że z takim świadectwem znajdziesz zajęcie w jakimś większym mieście...

Załatwił miejsce w internacie. Zdecydowała się błyskawicznie. Po skończeniu szkoły dostała pracę w miej-scowym szpitalu, gdzie po paru latach awansowała na przełożoną pielęgniarek. Wówczas właśnie zdarzył się cud w postaci okazji wyjazdu do Szwajcarii. Na zaproszenie byłego pacjenta. Ów pacjent, szwajcarski turysta, odniósł ciężkie obrażenia w wypadku samochodowym. Przewieziony do szpitala był na jej oddziale. Zajęła się nim troskliwie. Imponował jej ten zagranicznik, przed-stawiciel wielkiego świata. On zaś zrewanżował się pięknej pielęgniarce za tę troskliwą opiekę zaprosze-niem na trzymiesięczny pobyt w Zurichu.

Była nieprzytomna z radości. Dla niej, dziewczyny z prowincji ciągle zafascynowanej wielkim światem, była

to niecodzienna okazja. Wzięła trzymiesięczny urlop i wypuściła się w drogę.

W nowym miejscu wszystko wydawało się jej cudowne. Nie dostrzegала nic poza willą, którą zajmował jej pacjent, sklepami z mnóstwem ciuchów i pospolitej tandety, neonami, rojowiskiem kolorowych samochodów i błogim lenistwem. Niemal z rozpaczą myślała o tym, że dni mijają i trzeba będzie wrócić do szpitala w wojewódzkim mieście, do codziennych obowiązków i swojego pokoiku z meblami, za które jeszcze nie spłaciła rat. Cóż z tego, że wiele innych dziewczyn w jej wieku znajdowało się w podobnych warunkach? Ona chciała żyć inaczej.

Wówczas właśnie zachorował jej gospodarz. Choroba okazała się poważna, chory wymagał stałej opieki pielęgniarskiej.

Propozycję przedłużenia pobytu o miesiąc dla zapewnienia mu tej opieki przyjęła z entuzjazmem, wdzięcznością, bez zastanowienia, nieświadoma tego, że w istocie ona im, a nie oni jej świadczyli uprzejmość.

Podczas choroby swego gospodarza poznała Halperna. Przychodził wraz z innymi lekarzami zapraszany na konsylia. Onieśmielała ją otaczająca go sława, wydawał się jej niemal półbogiem. Jemu z kolei wpadła w oko piękna pielęgniarka. Połechtał go mile zachwyty, nabożny szacunek, z jakim przyjmowała każde jego słowo. Pogadawszy z nią raz i drugi, wypytawszy o wszystko, zdecydował się. Propozycja małżeństwa wydała się Anicie olśniewającym uśmiechem losu. Przyjęła ją – tak jak wszystko, z czym się tu, w Szwajcarii, zetknęła – z

wdzięcznością i zachwytem.

Zmarkotniała trochę dowiedziawszy się, że przyszły mąż ma zamiar powrócić na stałe do kraju i tam się osiedlić, ale pocieszyła się myślą, że wraca do stolicy jako żona znanego lekarza. Zdobyta pozycja wydawała się jej szczytem życiowego sukcesu. Zaczęła więc wyobrażać sobie, jak po powrocie zaimponuje swoim byłym koleżankom, rodzicom, otoczeniu. Wpadnie do nich na krótko, własnym wozem, pokaże się, wzbudzi zazdrość i wyjedzie syta triumfu.

Marzenia zdawały się spełniać. Wróciła z Halpernem do kraju, już jako jego żona. Pracy nie musiała podejmować. Doktor życzył sobie, by zajęła się domem. Urządzała więc nowe mieszkanie, przyjmowała gości, odgrywała rolę pani domu, żony sławnego lekarza. To jej wystarczało.

Z biegiem czasu jednak blaski przygasły. Mąż okazał się człowiekiem wymagającym, chłodnym, zamkniętym w sobie, apodyktycznym. Traktował ją trochę jak piękny mebel, którym się można pochwalić. Na zajmowanie się nią nie miał czasu. Dawał pieniądze. W swoje zawodowe sprawy jej nie wtajemniczał, wydawał dyspozycje dotyczące domu, przyjęć, czasem zamienił z nią kilka zdań. Bezczytność, zrazu tak atrakcyjna, pomału stawała się nużąca. Po wydaniu dyspozycji gosposi i spacerze nie bardzo wiedziała, co zrobić z resztą wolnego już dnia. Goście bywali rzadko, mąż był zajęty. Szpital, prywatna praktyka, wyjazdy zagraniczne, przygotowywanie opracowań naukowych – wszystko to pochłaniało jego czas. Nie starczało go na rozrywki, na wspólne

życie towarzyskie, o którym Anita marzyła. Chciała błyszczeć, a nie miała ani gdzie, ani jak. Mogła wprawdzie sama sobie coś zorganizować. Ale tego z kolei nie potrafiła. W Warszawie nie знаła nikogo prócz kolegów męża, a ci, podobnie jak on, byli stale zajęci.

Któregoś dnia w czasie nieobecności doktora zjawił się inżynier Kłosek w sprawach związanych z naprawą oddanego do jego warsztatu wozu. Przyjęła go Anita. Jego oczarowała jej uroda, ona, złąkniona męskiego towarzystwa, specjalnie przeciągała rozmowę z przystojnym inżynierem. Zatrzymała go na obiedzie, zaprosiła na następny dzień. Potem umówiła się z nim na kawę.

Tak zaczął się romans trwający, jak ustalili ludzie Bieżana, od trzech lat. Z inicjatywy Anity u Halpernów bywa także brat Tadeusza, Stefan Kłosek z żoną. Sam inżynier jest na Pięknej niemal codziennym gościem. W dniu wypadku był tam także. Schodził do garażu. Tylko on mógł wówczas odkręcić śrubę.

Gdyby śruba została obluzowana podczas naprawy w warsztacie, mechanik odprowadzający wóz nie dojechałby z Odyńca na Piękną. Spory kawał drogi, zakręty. Niepodobna, rozumuje Bieżan, by na tak długim odcinku śruba nie wypadła. A skoro dojechał cało i wstawił wóz do garażu, to znaczy, że obluzowana została później. W samym garażu. Do garażu oprócz doktorowej on tylko miał dostęp. Pasował i motyw. Na śmierci Halperna zyskiwała Anita. Pozbywała się starego męża, dziedziczyła po nim niemały majątek. Kłosek zyskiwał

żoną z posagiem. Rzecz mogła być między nimi ukarowana.

Hipotezę tę można było bez trudu uzasadnić. Tylko Kłosek wiedział, o której godzinie wóz doktora zostanie wstawiony do garażu, on znał rozkład dnia pana domu, wiedział, że będzie nieobecny do godziny drugiej. Był w garażu. Jako specjalista wiedział, jak „zadziałać”, aby stworzyć pozory wypadku. Wiedział, o której godzinie doktor je obiad. W tym czasie podobno był na mieście. Wywabienie doktora z domu za pomocą rozmowy telefonicznej mogło być jego dziełem. Podobnie jak wybór miejsca spotkania, narzucający niejako wybór trasy. Tak wszystko zorganizować mógł tylko „samochodziarz”.

Jeśli jeszcze do tego dodać rysopis człowieka, dokonującego powtórnego zamachu na życie Halperna w szpitalu, rysopis pasujący do Kłoska – kółko się zamyka.

Rozdział XIX

Pogrzeb doktora Halperna odbywa się z pompą należną autorytetowi, jakim się cieszył w stolicy.

Wśród zgromadzonego na cmentarzu tłumu, złożonego z ludzi odprowadzających doktora na wieczny spoczynek, kilka znanych osobistości ze świata lekarskiego. Otacza ich wianuszek podwładnych, studentów, tych wszystkich, którzy korzystając z tej pogrzebowej okazji pragną porobić nowe znajomości, pokazać się wśród

wpływowym osób, aby sobie przydać splendoru, zdemontować swoją obecnością znajomość z tragicznie zmarłym człowiekiem. Przyszli również ci, którzy ułatwili doktorowi start po jego powrocie do kraju, oraz ci, którzy zazdrościli mu kariery i po cichu nazywali go szarlatanem. Zwierzchnicy, koledzy, uczniowie, ciekawscy.

Doktor, wiadomo, nie miał rodziny w kraju, nikogo więc nie dziwi fakt, że za niesioną przez kolegów trumną idzie tylko spowita w czerń Anita Halpernowa. Prowodzi ją brat, Aleksander Matek, jeden ze znanych psychiatrów. Na oko nie są do siebie podobni. Ona – wysoka, szczupła, on – niski, gruby, sięga zaledwie jej ramienia. Łysa okrągła głowa, z kępkami ciemnych włosów po bokach, jest niejako punktem orientacyjnym, drogowskazem wytyczającym czoło konduktu.

Bieżanowi pokazał go jeden z obecnych na tym pogrzebie lekarzy. Teraz stojąc na obmurowaniu pobliskiego grobowca major obserwuje przebieg ceremonii i centralną postać Matka. Teraz dopiero rozumie, dlaczego Halpern ożenił się z Anitą.

Ożenek z córką małorolnych chłopów, pielęgniarzką-prowincjuską, biedną jak mysz kościelna, dziwnie nie pasował do osoby doktora. Piękna, reprezentacyjna, to prawda, ale on mógł wybierać wśród wielu pięknych kobiet. Sława, stan konta bankowego stanowiły magnes, który przyciągnąłby niejedną. A jednak wybrał Anitę.

Zakochał się? Bieżan odrzucił takie przypuszczenie. Halpern nie był typem człowieka zdolnego do uczuć.

Zimny z natury, wyprany z emocji, z ludzkich odruchów. Kalkulator, pomyślał o nim Bieżan. I zaraz pożałował się, że określenie to w języku potocznym jest nazwą maszyny. Doktor, osądził, miał w sobie coś, co upodobało go do precyzyjnej maszyny matematycznej. Każdy ruch, każde posunięcie, każde słowo sprawiało wrażenie starannie obmyślonego, niejako wyliczonego z precyzją. I tego rodzaju człowiek miałby się powodować namiętnościami, miłośnią?! Wykluczone!

Być może, zakładał początkowo, wchodziły w grę umiejętności zawodowe Anity. Poznał ją przy łóżu chorego człowieka jako pielęgniarkę. Być może potrafiła wówczas zdobyć jego zaufanie. I dlatego, chcąc mieć stale przy sobie zaufanego człowieka, ożenił się z osobą, która, jak liczył, pomoże mu w pracy zawodowej.

Ale i to założenie trzeba było odrzucić. Fakty są uparte, a z faktów wynikało, że doktor nigdy nie korzystał z pomocy Anity. Ona sama twierdziła, że wręcz nie kwapił się do podjęcia współpracy, nigdy nie wtajemniczył żony w jakiegokolwiek zawodowe sprawy, nie życzył sobie, by wchodziła do jego gabinetu. Ale potrzebował pomocy. Zatrudnił więc pielęgniarkę, przeciwieństwo Halpernowej. Brzydką, suchą, małomówną, czterdziestoparoletnią kobietę, od której żaden z ludzi Bieżana nie potrafił się niczego dowiedzieć. Jej dyskrecja była wprost zadziwiająca. Najbliższe otoczenie Janiny Muś nie orientowało się, że poza szpitalem ma inne zajęcie, że trzy razy w tygodniu „urzęduje” na Pięknej 18 w roli

prawej ręki doktora Halperna. Pielęgniarka Muś żyje jak odludek. Z nikim się nie widuje, nie przyjaźni. Mieszka sama. Nigdy nie przyjmuje gości. Wiadomo było, że uwielbia doktora, uważa go za geniusza. Że każde jego słowo traktuje jak rozkaz, ślepo wykonując wszystkie polecenia.

Ona „pasuje” do swego chlebodawcy. Mieści się w kryteriach, jakimi się kierował szukając zaufanego człowieka do pomocy. Ona „pasuje”, ale Anita? Leniwa, znudzona piękność, zajęta sobą, chcąca imponować świeżo zdobytą pozycją, standardem, pragnąca zabytnąć w „wielkim świecie”, o którym w młodości mogła tylko marzyć?!

Jedynym logicznym wyjaśnieniem motywu, którym się Halpern kierował zawierając to małżeństwo, był brat! Matek, ceniony w kręgu psychiatrów, znał wielu wpływowych ludzi z resortu zdrowia. On mógł urządzić wracającego z zagranicy doktora.

To domniemanie, zrazu oparte tylko na informacji zebranej o rodzinie Anity Halpernowej, umocniły inne, wpływające codziennie, meldunki. Wynikało z nich, że istotnie Matek był tym człowiekiem, który umożliwił Halpernowi urządzenie się w kraju, zapewniając mu niezły start i ugruntowując jego pozycję dzięki swym kontaktom bardziej prywatnym niż służbowym. Okazało się też, że Halpern poznał Anitę Matkównę tuż po rozpoczęciu starań o powrót do kraju, że wkrótce potem oświadczył w ambasadzie polskiej, że żeni się z polską obywatelką przebywającą czasowo w Zurichu, że z nią razem zamierza wrócić do Polski Na ślub przyjechał

Matek, wykorzystując służbowy paszport. Wrócił do Warszawy razem z nowożeńcami. W dokumentach paszportowych widniała ta sama data wyjazdu.

Tak więc ten odcinek sprawy uznał Biezan za wyjaśniony. Cel małżeńskich zabiegów Halperna w tym kontekście był raczej oczywisty. Równie jak fakt, że pięknej Anicie, skazanej na towarzystwo starszego od niej o dwadzieścia parę lat męża i jego rówieśników-kolegów, musiał przypaść do gustu młody, trzydziesto-kilkuletni przystojny mężczyzna. Że mogła się nim zajmując na serio, dążyć do ustabilizowania tego zrazu przygodnego związku.

Kłosek zapewne z początku starał się podtrzymać znajomość i miłe stosunki z doktorową w trosce o utrzymanie klienta, ale później mogła mu zawrócić w głowie uroda Anity. Taką zdobycz mógł uznać za sukces.

W świetle dotychczasowych ustaleń motyw zamachu na życie Halperna przez działających w zмовie kochanków wydawał się oczywisty. Ona chciała się uwolnić od męża, nie rezygnując z nagromadzonych przez niego dóbr, on zdobyć żonę z posagiem.

Wprawdzie kilka lat temu rozstał się z zamożną żoną bez żalu, wyżej ceniąc swoją samodzielność niż pieniądze, ale lata młodości minęły, mógł zmienić kryteria ocen. Mógł się zakochać na serio, a „posag” przeważał szalę na korzyść Anity. Z zebranych o inżynierze informacji wynikało, że właściciel warsztatu dbał o stały wzrost zysków, że dążenie do osiągnięcia coraz wyższego

standardu pomału stawało się celem samym w sobie.

Założenie, że ta para wspólnie przygotowała zamach na życie doktora, można podbudować nie tylko od strony motywu, ale i faktów. Kłosek był w garażu po wstawieniu wozu przez mechanika. Wprawdzie powiedział o tym sam, nie pytany, ale mógł to być krok świadomy. Miał okazję, znał się na rzeczy. Jako fachman wiedział, co i jak trzeba zrobić, aby upozorować wypadek. Śruba została obluzowana za pomocą klucza znalezionego w bagażniku samochodu Kłoska. Eksperci są tego pewni. Wprawdzie stwierdzili autorytatywnie, że ów klucz nie należy do kompletu służącego do naprawy Skody inżyniera, jest niejako nadprogramowy, wiadomo jednak, że samochodziarze mają zwyczaj gromadzenia w domu i w bagażniku najrozmaitszych, często nieprzydatnych części i narzędzi „na wszelki wypadek”. Inżynier jest kierownikiem warsztatu. Ma dostęp do wszystkich narzędzi. Jest nader prawdopodobne, że zabrał klucz z warsztatu, po to, by obluzować śrubę, a później zapomniał odłożyć go na miejsce.

I na tym nie koniec. Tego rodzaju zamach mógł opracować i zrealizować tylko fachowiec. Świadczy o tym nie tylko sposób odkręcenia śruby, ale i wybór trasy, na której ma zdarzyć się „wypadek”. Człowiek, który telefonował podczas obiadu do Halperna i pod jakimś pretekstem umówił się z nim, tak wybrał miejsce spotkania, aby narzucić kierowcy trasę dojazdu do tego właśnie punktu.

Wiedział, musiał wiedzieć, że obluzowana śruba spadnie na pierwszym zakręcie, a wówczas, zwłaszcza jeśli ten zakręt opada w dół, wóz ze wzrastającą prędkością potoczy się prosto i roztrzaska na pierwszej przeszkodzie, zanim jeszcze kierowca zorientuje się, że układ kierowniczy nie działa.

Inżynier Kłosek wyszedł z mieszkania Halpernów około trzynastej piętnaście, dwadzieścia. Wiedział, że punktualnie o czternastej przyjdzie na obiad doktor. On mógł być człowiekiem, który do Halperna podczas obiadu telefonował wyznaczając mu spotkanie. W tym czasie był na mieście i nie miał alibi.

Rysopis człowieka, który przyszedł do szpitala ponowić zamach i w separacie, rzekomo zajmowanej przez Halperna, nadział się na jego, Bieżana, funkcjonariusza, pokrywał się z rysopisem Kłoska. Halpernowa wiedziała, w którym pokoju leży jej mąż. Nie była poinformowana, że mąż w trosce o jego bezpieczeństwo został przeniesiony do innej separatki. Więc numer pokoju mogła mu podać Anita, nie mająca pojęcia o przygotowanej przez Bieżana pułapce. Gdyby nawet zdecydowała się na odwiedzinę, co wydawało się nieprawdopodobne, nie mogła rozpoznać spowitego w bandażu człowieka. Podobnie jak i Kłosek. On, Bieżan, sam go sprowokował do działania, informując, że doktor będzie mógł złożyć zeznania za parę dni. Powstawało inne pytanie: czy te zeznania w jakikolwiek sposób mogły zagrozić inżynierowi?

Halpern raczej niczego nie podejrzewał. Mógł ocenić kraksę jako nieszczęśliwy wypadek. Tyle, że zapytany,

musiałby zeznać, że wyjechał z domu po telefonie inżyniera, z którym się gdzieś w tej okolicy umówił. Takie zeznanie naprowadziłoby milicję na ślad. Zresztą, jeśli przyjąć, że celem pierwszego zamachu było zabójstwo Halperna, drugi jest jego logiczną konsekwencją. Do końcem dzieła.

Wątpliwość, czy inżynier potrafiłby zrobić zastrzyk, została wyjaśniona nadspodziewanie szybko. Funkcjonariusze z grupy operacyjnej Bieżana wygrzebali informację, że Kłosek za czasów studenckich ukończył kurs sanitarny PCK. Znaleziona w pokoju sto jeden rozbita strzykawka, z którą przyszedł sprawca, była sucha, nie zawierała żadnego płynu. Ekspertcy ocenili, że najprawdopodobniej miała służyć do wstrzyknięcia choremu powietrza, co w sposób bezśladowy spowodowałoby zator w krążeniu i szybki zgon.

Wszystko więc zdawało się pasować do osoby inżyniera. Ta nader realna wersja obala jednak hipotezę Bieżana, że chodzi tutaj o pozbycie się zagrożonego agenta.

Czy na pewno ta wersja wyklucza moją hipotezę, zastanawia się Bieżan, obserwując uroczystości pogrzebowe.

Wśród oczekujących na złożenie kondolencji Anicie Halpernowej stoją obaj Kłoskowie.

Obaj bywali u Halpernów. A jeśli Stefan obrażony na Stawińskiego za pomijanie go w awansach, za odebranie mu autorstwa pomysłu, właśnie poprzez Halperna i jego kontakty upłynął wynalazek, uważając, że ma do tego prawo?

Rozdział XX

– W świetle ostatnich ustaleń bierze w łeb twoja teoria o związkach Halperna z wywiadem i oparta na tym założeniu wersja o przyczynach jego śmierci.

Ziętara spaceruje po pokoju z fajką w ręku. Odzwyczajają się od palenia. Kategoryczny zakaz ze strony lekarza, poparty wynikami ostatnio zrobionych elektrokardiogramów, zrobił swoje. Pułkownik wprawdzie nie boi się śmierci, wiele razy zaglądał jej w oczy, ale lęka się długotrwałego unieruchomienia w łóżku, niesprawności fizycznej, uniemożliwiającej normalną pracę, czuje obawę przed chorobą i inwalidztwem. Więc zdecydował się posłuchać lekarza i w charakterze namiastki zafundował sobie fajkę. Wciągając od czasu do czasu łyk dymu próbuje oszukać organizm, domagający się swojej codziennej porcji nikotyny.

– Teraz dopiero rozumiem narkomanów – żartuje, ściskając w ręku fajkę. – Niełatwo odzwyczaić się od nałogu. Ty też nie możesz się odzwyczaić od snucia hipotez opartych na danych osobopoznawczych zamiast na faktach – w głosie Ziętary ledwie uchwytny ton ironii.

– Aluzję pojąłem, ale nie mam zamiaru odzwyczaić się. – Bieżan nie ma ochoty do żartów. – Uważam, że człowiek nie może uciec od swej natury. W nim samym, w jego osobowości, tkwi źródło podejmowanych decyzji. Dlatego na podstawie tych moich, jak to określasz, osobopoznawczych badań można ocenić, czy jakiś czyn

lub motyw pasuje do konkretnego człowieka. Nabijasz się ze mnie, a przecież tego rodzaju oceny nieraz już pozwoliły nam uniknąć tragicznych w skutkach pomyłek.

– Tym razem jednak – rzuca w odpowiedzi Ziętara – wyprowadziłeś nas na manowce. Sprawę Halperna trzeba jak najszybciej przekazać sekcji zabójstw. W tym stadium jest to niemal gotowy materiał, umożliwiający sformułowanie zarzutów i dokonanie zatrzymań.

– Wstrzymajmy się z przekazaniem sprawy, dopóki nie wyjaśnia paru rzeczy. Jeśli to rzeczywiście Kłosek jest sprawcą...

– Masz wątpliwości? Czy znowu osobopoznawczej natury?

– Mam wątpliwości. Chodzi mi nie tyle o rolę Tadeusza Kłoska w zorganizowaniu tego zamachu, ile o ustalenie źródeł inspiracji. Nie można wykluczyć, że jego brat, Stefan, też maczał palce w tej sprawie.

– Zakładasz, że Steian Kłosek poprzez Halperna nawiązał kontakty, umożliwiające mu sprzedaż dokumentacji, firmie „Harram”? Halpern, jak wynika z naszych dotychczasowych ustaleń, nie miał żadnych związków z firmą.

– Nie wszystkie jego kontakty zdołaliśmy dotąd wychwytać...

– To prawda, ale...

– Daj mi jeszcze tydzień! – W głosie Bieżana prośba. – Jeśli przez ten czas nie uda mi się znaleźć faktów potwierdzających moją hipotezę, przekażę sprawę pionowi kryminalnemu.

Ziętara patrzy spod oka na przyjaciela.

– No dobrze. Tydzień. Ale ani jednego dnia więcej.

Bieżan jest zmartwiony. Tydzień! Tylko tyle, myśli zabierając się do roboty.

Na biurku, obok nowej partii meldunków, leży raport funkcjonariuszy, którzy mieli sprawdzić na pocztce zamawiane przez Halperna rozmowy międzymiastowe i międzynarodowe. Zaczyna od wertowania raportu. Długa lista zamawianych rozmów międzynarodowych. Numery, a obok nazwiska abonentów, ich zawód. Sami lekarze psychiatrzy, psychoanalitycy.

I znów niewypał! Jest rozczarowany.

Na samym końcu raportu krótka informacja, dotycząca nadawanych z telefonu domowego depesz. Wysłał cztery w ciągu ostatnich dwóch lat. Wszystkie mają tego samego adresata. Volf Thürman, właściciel wiedeńskiej księgarni medycznej.

Przerzuca dołączone do raportu odpisy tekstów depesz. To zamówienia książek z dziedziny psychiatrii, psychologii i hipnozy.

Odkłada je na bok. Nieciekawe. Jest rzeczą normalną, że doktor sprowadzą sobie fachowe książki z zagranicy. Ale dlaczego zamawia je tylko w jednej księgarni? Może miał właśnie w Wiedniu zaprzyjaźnionego księgarza. Z rutynowego nawyku wypisuje na kartce jego nazwisko i adres.

– Dla kartoteki. Niech sprawdzą, czy u nas nie figuruje – poleca. – Ustalić charakter tej znajomości, zbadać kontakty księgarza pod kątem ewentualnych

związków z wywiadem. – To ostatnie polecenie wydaje raczej dla porządku niż z przekonania.

Raz jeszcze przegląda raport, rzuca okiem na teksty depesz, sprawdzając, czy w pierwszym czytaniu czegoś nie ominął. Patrzy na daty i nagle podskakuje na krzesło. Że też nie zauważyłem tego od razu! Ostatnia depesza została wysłana 26 kwietnia o godzinie dwudziestej drugiej. Tego samego dnia, w którym spotkał się z doktorem w kawiarni korzystając z pośrednictwa Bożeny. Przypadek, a może tak długo poszukiwany sygnał alarmowy?!

Czuje nagły przypływ energii. Teraz dokonuje zestawienia dat. Dwie pierwsze depesze zostały wysłane w okresie, który ocenia jako krytyczny w sprawie dokumentacji ERA-13. Trzecia jest datowana 30 grudnia 1970 roku. Sprzed pięciu miesięcy. Zarządza szczegółowy przegląd akt z ostatnich dwóch lat. Chodzi o precyzyjne tajemnicy prowadzonych prac.

– Ustalcie, czy w tym okresie miały miejsce wypadki naruszenia tajemnicy. Jeśli tak, podajcie numery spraw i nazwiska winnych – zleca swym podwładnym.

Sam wyjeżdża na miasto. Chce pogadać z Halpernową.

Pani Anita nadal chodzi w grubej żałobie, ale twarz ma pogodną, uśmiech na ustach.

– Pan znowu w sprawie wypadku? – Pyta prosząc gościa do salonu. – Myślałam, że to już zostało wyjaśnione.

– Nie całkiem, proszę pani – odpowiada uśmiechem na uśmiech. – Podejrzewamy, że nie był to wypadek,

a zamach na życie pani męża: Musimy wyjaśnić sprawę i pod tym kątem.

– Co też pan mówi? – Na twarzy odbija się zdziwienie. – Któż mógłby dybać na życie Antona? Miał wprawdzie wielu nieprzyjaciół w świecie lekarskim, ale żeby aż tak?!

– Moim obowiązkiem jest sprawdzić wszystkie ewentualności – oświadcza.

– Co to za sens grzebać się w tym dalej? Umarłemu już nic nie pomoże, a żywym może zaszkodzić... – Niebieskie oczy z uwagą wpatrują się w twarz przystojnego oficera.

Ona nawet nie udaje, że śmierć męża ją nie obchodzi, przebiega przez myśl Biezanowi.

– Muszę się w tym grzebać – wyjaśnia pięknej pani. – Niewinnym dochodzenie nie zaszkodzi, a winni zabójstwa muszą ponieść zasłużoną karę – dodaje z powagą. – Chodzi przecież nie o drobiazg, a o śmierć pani męża.

– No tak rozumiem – stwierdza bez przekonania. – Czego pan ode mnie oczekuje?

– Chciałbym, żeby mi pani pomogła w wyjaśnieniu niektórych spraw. Na przykład interesują mnie znajomości doktora.

Piękna pani rozkłada ręce:

– Cóż ja mogę powiedzieć na ten temat? Znam tylko część jego znajomych. Tych, którzy u nas bywali. Wiem, że miał wrogów, ale nie znam nawet ich nazwisk. Mąż nie zwierzał mi się, był skryty. Czasem

rzucił coś tak ogólnie. Nie miałam odwagi pytać go o szczegóły, o nazwiska. Nie lubił tego. Jego koledzy pewnie wiedzą więcej.

Jest ze mną szczerza, myśli Bieżan. Czyżby nie rozumiała, o co chodzi? A może aż tak głupia?! Przypuśćmy, że Kłosek działał z własnej inicjatywy

– Pani mąż zamawiał książki naukowe w wiedeńskiej księgarni – zmienia temat. – Czy mógłbym je obejrzeć?

– Proszę bardzo. – Wzruszenie ramion. – Nie wiem, o jakie książki chodzi. Mąż osobiście odbierał wszystkie przeznaczone dla niego przesyłki. Jeśli mu je przysłano, są w gabinecie. Ale musi je pan sam znaleźć. Ja do tego gabinetu nigdy nie wchodziłam, a teraz jeszcze nie zaczęłam porządkować papierów. Wszystko jest, jak było. Dopiero za parę dni mam zamiar wziąć się za porządki. Z jego gabinetu zrobię bibliotekę, z poczekalni salon. Zawsze uważałam, że poczekalnia najlepiej się na salon nadaje. Jest tam przestrzeń, której brakuje w obecnym saloniku. Jest zresztą zbyt zagracony. Tu będzie gabinet... – urywa, jakby przyłapaną na gorącym uczynku.

– Pani przyszłego męża – kończy Bieżan.

– Och, nie! Na razie... za wcześnie, by o tym, mówić. Ale gdy, minie żałoba...

– Sądzę, że tym szczęśliwcem będzie inżynier Kłosek – rzuca żartobliwie.

– Słyszał pan coś na ten temat? – odpowiada pytaniem na pytanie, patrząc na niego z napięciem.

– Och, ktoś mi coś mówił. Nawet nie pamiętam kto.

– Pewnie ta moja gosposia i jej synalek roznoszą ploty... – Zmarszczka pojawia się na gładkim czole. – Nie wiadomo po co on ciągle się tu kręci... Muszę ich odprawić...

– O kim pani mówi? – Jest szczerze zdziwiony. O istnieniu syna gosposi słyszy po raz pierwszy. – On u państwa pracował i mieszka?

– On tu nie mieszka. Jest radiotechnikiem z zawodu. Przychodził od czasu do czasu wzywany przez męża. Wykonywał różne naprawy. Teraz od śmierci męża ciągle u matki przesiaduje. I ploty roznosi... – W głosie ostre tony.

– Obiecała pani zaprowadzić mnie do gabinetu – nie podtrzymuje rozmowy.

– Idziemy – Anita Halpernowa podnosi się z fotela.

Do gabinetu wchodzi się z hallu. Pokój jest duży i jasny. Ściany obudowane regałami, na nich pełno książek. W głębi kanapka, miękkie fotele, stolik ze stojącą lampą. Dywany. Przed kominkiem duża niedźwiedzia skóra. Raczej gabinet-biblioteka, niż pokój, w którym lekarz przyjmuje swoich pacjentów.

– Proszę, niech pan poszuka tych książek – gospodyni siada przy stoliku.

Bieżan sięga po karteczkę z wynotowanymi tytułami. Przeszukuje półkę po półce. Biblioteka jest imponująca. Doktor zgromadził pacy tysięcy obcojęzycznych pozycji z zakresu psychologii, biologii, psychiatrii,

psychoanalizy. Poszukiwania się przedłużają. Piękna pani ma wyraźnie znudzoną minę. Bieżan zaczyna się spieszyć,

Wreszcie znajduje interesujące go dzieła. Stoją razem. Na jednej półce. W kolejności dokonanych zamówień.

– Czy mógłbym je wypożyczyć? – pyta panią do mu odkładając książki na stolik.

– Proszę, niech pan je sobie weźmie – rzuca obojętnie, nie pytając, do czego są mu potrzebne fachowe książki.

– Mam do pani jeszcze jedną prośbę – mówi wychodząc. – Niech się pani wstrzyma z przemeblowywaniem gabinetu do czasu zakończenia śledztwa. Być może są tu jakieś dokumenty, które pozwolą nam szybciej wyjaśnić sprawę.

– Dobrze – zgadza się Anita. Nie wydaje się zaniepokojona taką perspektywą.

Rozdział XXI

Właściwie po kiego diabła babrzę się w tej całkiem, ale to całkiem niezrozumiałej lekturze? Bieżan jest wurzony sam na siebie. Już drugą noc ślęczy nad tomiskami pożyczonych od Halpernowej dzieł medycznych pisanych w języku niemieckim. Przeprowadzone na jego zlecenie przez Zakład Kryminalistyki badania, czy w tekstach książek nie ma tajnopisów, dały wynik

negatywny. Nie zdołano, niestety, ustalić, czy któraś z nich nie zawiera klucza do odczytywania szyfru. Nie było na razie uzasadnionej potrzeby grzebania w fachowych, naukowych tekstach. Dzieła należało zwrócić z podziękowaniem doktorowej, a sam pomysł uznać za jeszcze jeden niewypał.

Bieżan jednak nie zrezygnował. Z uporem maniaka, strona po stronie, ze słownikiem w ręku, przedziera się przez teksty najeżone niezrozumiałymi określeniami, zbyt trudne jak na jego znajomość języka. Sam już przestał wierzyć w celowość tej mrówczej pracy. Właśnie dlatego zabrał cały majdan do domu i czas wolny od pracy tracił na tę bezsensowną lekturę.

Jeszcze nie dobrnął do końca pierwszego tytułu. Zdumiewające jest jednak, ocenia, że sprowadzona z Wiednia blisko dwa lata temu książka nie nosi śladów czytania. Jest idealnie nòwa, nietknięta, jak gdyby przemieszczono ją jedynie z półki księgarni na półkę prywatnej biblioteki. Po co „sprowadzał te tytuły, jeśli z nich nie korzystał? Awansem? Na wszelki wypadek? Wszystkie ewentualności trzeba było brać pod uwagę. Ale jeśli właśnie w tym okresie je zamawiał, to znaczy, że musiało to być działanie podyktowane jakąś konkretną potrzebą. Jeśli wykluczyć potrzebę dokształcania się, stałego uzupełniania wiedzy niezbędnej do prawidłowego wykonywania zawodu, to co zostaje? Argumentacja, na wszelki wypadek, na zapas, „a nuż się przydadzą”, nie pasowała do osobowości Halperna, do precyzji i celowości charakteryzujących każde jego działanie. To

nie był typ człowieka lubiącego się asekurować. Może chciał po prostu zgromadzić w bibliotece nowości medyczne? To też odpada. Żadna z zamówionych książek nie była nowością w sensie wydawniczym. Ukazały się na rynku kilka lat temu. Nakłady nie zostały rozprzedane. Nietrudno je było kupić. A skoro były łatwo dostępne, to dlaczego właśnie wówczas je zamawiał i to depe- szując każdorazowo, gdy wystarczyło wysłać zwykłą kartkę z zamówieniem?

Odpowiedzi na te pytania szuka Bieżan wgrzając się w trudne medyczne teksty. Jak dotąd bezskutecznie. Z fotela przenosi się na tapczan. Tak jest wygodniej. Światło stojącej na stoliku lampy mniej razi oczy, a i kawa jest pod ręką. Umieścił tu na stałe mały węgierski ekspres i teraz wystarczy wyciągnąć rękę, by włączyć go do kontaktu. Chwila i czarny jak smoła płyn spływa do przygotowanej w tym celu filiżanki.

Parzy usta kawą i czeka na jej skutek, na zniknięcie męczącej go senności. Ale dzisiaj i „szatan” nie działa pobudzająco. Szczęki się zwierają po każdym ziewnięciu. Przespać się choć parę godzin! Ma ochotę odłożyć wertowanie książki. Kładzie ją na stoliku. W tym momencie przypomina sobie, że do końca ustalonego przez Ziętarę terminu zostało tylko sześć dni. Jeden właśnie minął, a on wciąż tkwi w miejscu.

I znów sięga po odłożone dzieło. Ale już go nie czyta, kartkuje. Ogląda starannie strona po stronie. Szuka jakichś śladów, świadczących, że Halpern miał je w ręku. Zakreśleń, notatek, załamania, powstających przy

czytaniu. Nic. Miałem rację, myśli. Nawet nie zajrzał do środka. Przegląda uważnie kilkustronicową bibliografię. Przy jednym z tytułów niewielka żółta plamka. Defekt papieru? Sięga po szkło powiększające. Ta plamka powstała w sposób sztuczny. Może w ten sposób doktor zaznaczył sobie kolejną interesującą go książkę? Te ostatnie strony były przeglądane, nie są tak „dziewicze” jak pozostała część książki.

Zaraz, zaraz. Ten autor i tytuł? Przecież pożyczyłem i tę książkę, uświadamia sobie po chwili. Sprawdza tytuły i autorów dzieł. Jest. Porównuje tytuł z tekstem wysłanej depeszy. Drugiej z kolei. Zgadza się. Kartkuje ją starannie. Znów to samo. Nie czytana. Ciekawe, czy i tym razem znajdzie jakieś oznaczenia w bibliografii?!

Jest znów plamka. Identyczna jak poprzednia. Wskazuje tytuł medycznego dzieła.

Teraz już ułożywszy książki w kolejności wysłanych depesz przeszukuje tylko ostatnie strony zawierające bibliografię. Jest! W nadesłanych doktorowi w pierwszych dniach stycznia 1970 roku dziełach oznaczono opracowanie z dziedziny leczenia za pomocą hipnozy. W kolejnych – punkt przy jakimś tytule z zakresu psychologii. Tę książkę zamówił po spotkaniu ze mną, uświadamia sobie Biezan. W bibliotece jej nie było. Pewnie jeszcze nie nadeszła. Nie mogła nadejść tak szybko. Więc jednak sygnał?! Czy nie jest to ryzykowna hipoteza? Ale jeśli sygnał, to chyba z tamtej strony? Inaczej rzecz nie miałaby sensu. Chyba że kolejność była ustalona z góry i plamka była po to, by nie zapomnieć tytułu?

Senność minęła. Podniecenie odkryciem podziało jak kawa. Coś w tym musi być! Jeśli znak umowny, obojętne z której strony, właściciela księgarni i Halperna musiały łączyć nie tylko stosunki księgarz – klient. Na oko to normalne, że człowiek otrzymujący zamówione dzieło zaznacza sobie, studiując bibliografię, inne, które go zainteresowało. Ale następstwem owego zainteresowania powinno być natychmiastowe zamówienie kolejnego tytułu. A on z tym zamówieniem zwlekał. Raz zwłoka trwała prawie rok, później około pół roku. Przez tak długi okres można zapomnieć o potrzebie zamówienia określonej książki. Zwykle robi się to od ręki. Chyba że to nie on oznaczał określone tytuły.

Jeśli hipoteza jest trafna, w zamówionej, a nie dostarczonej dotąd pozycji będzie kolejny znak. Czy będzie? Halpern nie żyje. O jego pogrzebie były wzmianki w prasie. Chyba że książkę wy, słano przed pogrzebem. Koniecznie trzeba uzyskać zgodę na jej przejęcie, myśli.

Kim jest ten księgarz? Że też dotąd nie dostarczono informacji z naszej kartoteki, złoży się jadąc do pracy, i

Notatka leży na biurku. Znów rozczarowanie. Voli Thürman nie figuruje w kartotece kontrwywiadu. Niczego to nie przesądza. Jest to tylko dowód, że w żadnej z dotychczas prowadzonych spraw się nie przewinął.

Innych, bardziej szczegółowych informacji dotyczących jego kontaktów i powiązań personalnych nie można się spodziewać tak szybko. Cudów nie ma.

Na sprawdzenie tej wersji trzeba czekać. Na razie pozostaje pańszczyzna. Wertowanie meldunków z

obserwacji. Obok nich leży na biurku raport funkcjonariuszy, którym zlecił dokonanie przeglądu akt w archiwum. Czy w interesującym go okresie były sprawy związane z innymi przeciekami jakichś dostępnych dla Halperna informacji? Czy daty depesz zbiegają się z datami wszczętych spraw?

Tak, ależ tak! Wprawdzie nie całkowicie, ale nie muszą się przecież dokładnie nakładać! Pierwsza z depesz została wysłana przez doktora 2 września 1969 roku, a więc w czasie, który zapoczątkował według jego obliczeń okres krytyczny dla dokumentacji ERA-13. 6 września 1969 roku wszczęto postępowanie w sprawie przecieku informacji dotyczących położenia nowo budowanego lotniska wojskowego i niektórych projektowanych tam urządzeń. 30 grudnia 1970 roku Halpern znów wysłał depeszę, a 16 stycznia 1971 wszczęto śledztwo w sprawie przecieku informacji o pertraktacjach handlowych z japońską firmą. Przypadkowa zbieżność dat? Bieżan czuje się jak pies, który złapał właściwy trop.

– Dostarczcie mi te akta z archiwum. To pilne – poleca.

Nie może spokojnie usiedzieć. Spaceruje. Jeśli jego wersja znajdzie potwierdzenie, to druga z kolei depesza wysłana 20 lipca 1970 roku przez Halperna może zakreślić krytyczny czas dla ERA-13! Lipiec 1970 roku. U kogo była wówczas dokumentacja! Gorączkowo szpera w notatkach. Jeśli się potwierdzi... Boi się dokończyć myśli, tyle już było rozczarowań.

Rozdział XXII

Analiza ściągniętych z archiwum spraw pochłania Bieżana bez reszty. Jest nader pracochłonna, ale i równie interesująca.

Sprawę o przeciek informacji o projektowanym położeniu lotniska wojskowego i niektórych planowanych tam urządzeniach elektronicznych prowadził kapitan Pokora. Została umorzona, gdyż sprawców nie wykryto. Z akt wynika, że wówczas w kręgu ustalonych kontaktów potencjalnych podejrzanych znaleźli się inżynier Lech Stawiński i jeden z kolegów Kałuszki, mechanik LOT-u, Wiesław Józwiński. Józwiński, jak wynika z dotychczasowych meldunków obserwacji, brał udział w dwóch urządzanych ostatnio przez Kałuszkę przyjęciach i w wyprawie do podwarszawskich knajp.

Oczywiście te kontakty o niczym nie świadczyły... Po pierwsze dlatego, że potencjalni podejrzani zostali z tego kręgu wyeliminowani przez Pokorę, po drugie – utrzymujący z nimi kontakty ludzie obracali się w tym samym środowisku zawodowym, stosunkowo nielicznym. Znali się więc, musieli się znać i stykać. Wreszcie, jeśli chodzi o Stawińskiego, dochodzenie nie wykazało nic, co by bodaj w najmniejszym stopniu rzucało cień na jego postać. Gdyby było inaczej, nie mógłby objąć stanowiska kierownika zespołu pracującego nad wynalazkiem przeznaczonym i na potrzeby obronności. Nie ma także nic zaskakującego w fakcie, że obie sprawy

dotyczą tego samego kręgu ludzi, podobnych problemów i informacji, którą mogło dysponować nader ograniczone grono. I tamten przeciek i ten, związany z dokumentacją ERA-13, właśnie ze względu na owe podobieństwa mogą się łączyć. A jeśli jeszcze przyjąć, że i kanał jest ten sam? Że to Halpern...

Sprawdza nazwiska z listą pacjentów Halperna. Nie pokrywają się. Żaden z ówczesnych podejrzanych i ich kontaktów na tej liście nie figuruje. Ale to znów o niczym nie świadczy. Przecież na tej liście nie figuruje i Jamnicki, choć nie ulega wątpliwości, że był pacjentem Halperna. Wrzesień 1969 roku był to termin uznany przez ekspertów na najwcześniejszy możliwy, jeśli chodziło o przekazanie za granicę dokumentacji ERA-13 w całości. Ten sam kanał, a może i ten sam informator? Nader prawdopodobne. Tyle że ów przeciek informacji dotyczącej lotniska udało się niemal błyskawicznie ujawnić i w wyniku tego równie błyskawicznie zmienić lokalizację i niektóre piany urzędów, a sprawa radiolokatora została wykryta przypadkowo. Czy jednak na pewno przypadkowo? I tu i te m przewija się osoba Stawińskiego. A gdyby założyć, że to imienne zaproszenie na sympozjum, wyjazd i odkrycie identycznego urządzenia, dokonane przez inżyniera na bawarskim lotnisku, nie było przypadkiem a zręcznym kamuflażem? Cel? Raczej oczywisty. Kradzież wynalazku prędzej czy później musiałaby wyjść na jaw. To było nieuniknione. Nietrudno było przewidzieć, że rozpocznie się śledztwo, że wśród podejrzanych znajdą się wszyscy

członkowie zespołu. Alarm podniesiony wcześniej przez zainteresowanego niemal automatycznie stawia go poza kręgiem podejrzanych.

Wprawdzie Stawiński nie miał żadnych bezpośrednich powiązań z Halpernem. Ale czy musiał je mieć, by przekazać materiały? Mógł przekazać je za pośrednictwem Kłoska. W tym układzie nawet konflikt między kierownikiem zespołu a jego członkiem, konflikt, jak twierdził Kłosek, wynikały wskutek przywłaszczenia sobie przez kierownika pomysłu wynalazku, mógł być fikcją wymyśloną na użytek prowadzącego śledztwo oficera, kamuflażem mającym pokryć współdziałanie obu mężczyzn. Pieniądze za wynalazek? Wzrost standardu życiowego u żadnego z nich nie był dostrzegalny. Znowu żaden miernik. Jeśli na przykład wpłynęły na konto szwajcarskiego banku?

Czyste spekulacje, ocenia Biezan sam siebie. Wszystko sprowadzam do jednego założenia: kanał — Halpern! Uczępiłem się tej „hipotezy jak rzep psiego ogona! Jedynym jak dotąd jej „potwierdzeniem jest depesza wysłana przez Halperna w dniu spotkania ze mną! Czy tylko depesza? A fakt, że właśnie w tym punkcie zbiegały się drogi ludzi mających dostęp do dokumentacji? A ów wypadek i druga próba zamachu, usprawiedliwia się sam przed sobą.

Trzecią depeszę wysłał Halpern 30 grudnia 1970 roku. 16 stycznia wszczęto postępowanie w sprawie przecieku informacji o rokowaniach handlowych z Japonczykami w sprawie dostaw urządzeń elektronicznych.

Negocjacje prowadzono w Warszawie w dniach 20–23 grudnia 1970 roku. Jako jeden z przedstawicieli polskiej strony uczestniczył w nich dyrektor centrali importowej „Atex”, January Lubelski, ten sam, który, jak ustalono, utrzymuje bliższe stosunki z dyrektorem firmy „Harram”, Hansem Stolke. Firma „Harram” złożyła ofertę na identyczne urządzenia po znacznie tańszej cenie. Ta nowa oferta spowodowała zerwanie rokowań. Przedstawiciele japońskiej firmy nie chcieli się zgodzić na obniżenie ceny. Twierdzili, że po niższej niż proponowana nie opłacą się im dostawy.

„Harram” złożyła ofertę 17 grudnia. Negocjacje z Japończykami rozpoczęły się trzy dni później. 29 grudnia, po zerwanych rokowaniach, rozpoczęto pertraktacje z firmą „Harram”. I wówczas przedstawiciel „Harram” wycofał ofertę uzasadniając, że zaszła pomyłka co do ceny za proponowane dostawy. Że pomyłka powstała z winy referenta, który je źle obliczył, i za to został zwolniony z pracy. Firma „Harram” zobowiązuje się do dostawy urządzeń, ale na innych warunkach, po cenie, jak się okazało, znacznie wyższej od proponowanej przez Japończyków. Sprawa wydawała się oczywista, jeśli chodzi o osobę sprawcy przecieku. Na razie ciągle tkwiła w archiwum. Nie było żadnych konkretnych dowodów umożliwiających przedstawienie zarzutów. Wprawdzie było jasne, że dyrektor „Atexu” miał stały kontakt z dyrektorem firmy „Harram”, wprawdzie wiedział wcześniej o terminie negocjacji, znał warunki, na jakich proponowali dostawę Japończycy, ale te same

informacje mieli także i inni przedstawiciele polskiej strony. Czy któryś z nich i jaką drogą spowodował ujawnienie treści rozmów wobec przedstawiciela firmy „Harram”, nie zdołano ustalić. I w tej sprawie nie można było wykluczyć kontaktów o charakterze wywiadowczym. Zawieszenie negocjacji mogło być czymś więcej niż walką konkurencyjnych firm. Kanał – Halpern? Cóż, kiedy nie ustalono, żeby Lubelski miał kontakt z Halpernem, nie natrafiono również na ślad kontaktów zmarłego tragicznie doktora z firmą „Harram”.

I znów pozostał nie rozstrzygnięty problem. Czy wysłana 30 grudnia 1970 roku depesza dotyczyła tej właśnie sprawy?

Wątpliwe. Skoro „Harram” złożyła ofertę 17 grudnia, przeciek informacji musiał nastąpić znacznie wcześniej. Sygnał o negocjacjach przekazany przez Halperna byłby „musztardą po obiedzie”. Ale Halpern mógł o tym nie wiedzieć. Mógł go w błąd wprowadzić informator albo informacja była cząstkowa.

A jeśli ta cała teoria oparta na zbieżnościach dat jest palcem na wodzie pisana, myśli zniechęcony odkładając akta. Gdyby w grę wchodził jakiś realny termin, to chyba tylko lipiec, konkluduje, zabierając się do czytania meldunków z dnia poprzedniego.

Nic, znowu nic, wzdycha, przebiegając oczyma teksty. Nagle wpada mu w oko krótka informacja. Dozorczyni domu przy Pięknej 18 twierdzi, że widziała jak w dniu wypadku syn gospodyni Halpernów otwierał drzwi garażu doktora. Zapamiętała datę, bo kiedy wracała z miasta zatrzymał ją koło domu dzielnicowy i spisał

protokół za nie sprzątnięte podwórko. Była więc rozgoryczona i widząc znajomego chciała mu się pożalić na niesprawiedliwość losu. A on na jej widok zwiął. Zamknął garaż i pobiegł na górę. – Ściągnijcie natychmiast tego dzielnicowego! – poleca funkcjonariuszom. – Syna gospodyni Halpernów wziąć natychmiast pod obserwację. Trzeba zebrać o nim i matce szczegółowe informacje.

Właśnie odkłada słuchawkę, gdy w drzwiach pokoju staje funkcjonariusz z zalakowaną kopertą w ręku. Bieżan wrywa mu ją z rąk. Na taką kopertę czeka. Przebiega oczyma jej zawartość, krótką notatkę. Westchnienie ulgi. Trafiłem!

Z informacji wynika, że właściciel wiedeńskiej księgarni, Volf Thürman, utrzymuje stałe kontakty z Johannem Ziglerem, pracownikiem monachijskiej centrali wywiadu.

Rozdział XXIII

Gospoia Halpernów, Antonina Klepko, sprawia wrażenie kobiety, która po ciężkich doświadczeniach życiowych zdobyła umiejętność przystosowania się do każdej sytuacji, byle tylko zapewnić sobie spokojną starość. Jest w niej właściwa kobietom wiejskim rezygnacja, pokora w poddaniu się wyrokom opatrności i lęk przed głodną, bezradną starością. Tę ocenę Bieżana potwierdzają zdobyte o niej informacje. Pochodzi z

biednej podwarszawskiej wsi. Mazowieckie piaski nie były w stanie wyżywić ośmioosobowej rodziny. Pięcioro dzieci wyruszyło więc w kraj w poszukiwaniu pracy. Ona na razie została na gospodarstwie. Ale wkrótce i w niej obudziło się pragnienie posmakowania innego życia. O rzut kamieniem znajdowała się stolica. Była młoda. Młodych nawoływano do nauki, do podejmowania pracy w fabrykach. Rzuciła więc rodzicielskie parohektarowe gospodarstwo, zaczęła się w fabryce cukierków. Zakwaterowano ją w hotelu robotniczym. Z trudem przyzwyczajała się do nowych warunków.

W rok później, gdy już trochę otrząsała się z miastem, nawiązała znajomości poza terenem fabryki. Na festynie poznała „budowlańca”. Spodobał się jej. Zaczęli ze sobą chodzić. Po roku pobrali się. Ona przeniosła się do niego do hotelu robotniczego. Gdy przyszło na świat dziecko, bytowali tam we troje, oczekując na obiecane mieszkanie. Nie doczekała realizacji przydziału. Zdarzyło się nieszczęście. Jan Klepko spadł z rusztowania i zabił się. Odszkodowania nie dostała. Oceniono, że wypadek nastąpił z winy Klepki. Był w stanie nietrzeźwym. Nie używał zabezpieczeń. Tak więc została sama z ośmioletnim synem. Z hotelu musiała się wyprowadzić, nie pracowała przecież na budowie. W jej fabryce szansa otrzymania mieszkania była nikła – oczekiwało na nie, kilka dziesiątków pracowników wykwalifikowanych. I wówczas właśnie zdecydowała się pójść do pracy jako pomoc domowa. Parę razy zmieniała pracodawców, aż przypadkiem, dzięki protekcji

znajomego lekarza, trafiła do Halpernów, którzy właśnie urządzali się w Warszawie. Posada wydawała się ósmym cudem świata: oddzielny pokój, pełne utrzymanie i tysiąc złotych miesięcznie. Syn był już dorosłym człowiekiem, ukończył technikum radiotechniczne i kurs konserwatorów aparatury elektromedycznej. Miał dobrze płatną robotę w prywatnym warsztacie, ożenił się z panną z mieszkaniem, więc o niego nie potrzebowała się troszczyć. Dzięki niej miał u Halpernów zapewniony dodatkowy zarobek – konserwował doktorowi zainstalowaną w gabinecie aparaturę, a także od czasu do czasu wykonywał różne naprawy w domu. Często bywał u matki, znał domowe obyczaje, rozkład pomieszczeń, choć na pokoje, jak mówiła Klepkowa, w obecności państwa nie chadzał, chyba że sam doktor go wołał, gdy coś się zepsuło.

Dwudziestodwuletni Marian Klepko, jak wynika z wywiadu milicyjnego i zebranych informacji w miejscu zamieszkania, zachowuje się spokojnie, nie zakłóca spokoju, choć czasem nadużywa alkoholu. Do pracy wychodzi wcześniej, do domu wraca nieraz późno w nocy, gdyż łapie różne „fuchy”, między innymi i u Halpernów. Jego żona nie pracuje, Klepkę stać na to, by zajmowała się tylko domem.

Te informacje o matce i synu nie wydają się Bieżanowi interesujące. Nie uzasadniają w żaden sposób decyzji dotyczącej obserwacji Klepki. Czy jest ona celowa, rozważa Bieżan. Ale nie cofa polecenia. Klepko krytycznego dnia był w garażu Halperna.

Klepkowa, informująca Bieżana o wizycie inżyniera u pani Anity i jego obecności w garażu, przemilczała fakt, że był tam również jej syn, któremu sama dała klucze, powierzone jej przez mechanika z warsztatu Kłoska.

Dlaczego przemilczała ten fakt? Wyjaśnienie mogło być proste. Skoro milicjant przychodzi do domu wypytywać, kto tego dnia przed południem był w garażu, to znaczy coś w tym jest. Trzeba więc chronić syna.

Tak musiała rozumować Antonina Klepko. Było to zgodne z jej mentalnością, ale problem jest nadal otwarty. Po co Marian Klepko wchodził do tego garażu? Czego tam szukał? Czy wchodził w grę jako ewentualny sprawca obluźowania śruby?

Sęk w tym, czy Klepko zna się na mechanice, czy dysponuje narzędziami samochodowymi? Ma prawo jazdy, ustalili ludzie Bieżana. Ale to o niczym nie świadczy. Kierowcy-amatorzy nie mają zazwyczaj pojęcia o samochodowych „bebechach”. Samochodu nie ma, a czy ma samochodowe klucze? Dyskretne przeszukanie szafki w warsztacie radiotechnicznym ujawniło, że prócz części do radia i telewizorów Klepko przechowuje tu także narzędzia mechaniczne. A to wskazywało na jakieś związane z mechaniką samochodową zainteresowania lub potrzeby. W przeciwnym razie nie trzymałby pod kluczem kupy zbędnego żelastwa.

Rzecz wyjaśniła się nadspodziewanie szybko. Okazało się, że Klepko od czasu do czasu instalował radia

samochodowe, a nawet niekiedy wykonywał drobne remonty.

– Ma złote ręce – twierdzili zgodnym chórem jego klienci. – Wyjątkowo zdolny. Drogo sobie liczy, ale na robocie się zna.

– Lubi pieniądze – podkreślali inni. – Jeśli wie, że może dobrze na czymś zarobić, zjawi się o każdej godzinie dnia i nocy. Pewnie zbiera na mieszkanie albo na samochód?!

Innych punktów zaczepienia nie ma. Klepko utrzymuje kontakty wyłącznie z klientami. Na inne nie ma czasu. Halpern był też klientem. Poza tym tam pracuje jego matka. Trudno się więc dziwić, że i teraz, już po śmierci doktora, często tam przesiaduje. Świadczy to raczej na jego korzyść. Gdyby coś miał „na sumieniu”, unikałby tych wizyt. Nie chciałby, żeby milicja wzięła go na oko w związku z tragiczną śmiercią doktora. Jest prawdopodobne, że krytycznego dnia chciał sobie pożyczyć z garażu jakieś potrzebne mu narzędzia. Istnieje jednak pewne prawdopodobieństwo, że mogło być inaczej, ocenia Biezan. Sprawa jest wyjątkowo skomplikowana. Wciąż nie wiadomo, co tu ma, a co nie ma znaczenia.

Zrazu jemu samemu wydawało się, że i wysyłane przez Halperna do księgarni depesze są nieinteresujące z punktu widzenia śledztwa, że ów sposób zamawiania dzieł medycznych w sytuacji doktora jest całkiem normalny. Dopiero zestawienie dat nasunęło inne przypuszczenia. Teraz jest już niemal pewien, że depesze były sygnałem umownym przesyłanym przez księgarza

do pracownika monachijskiej centrali, Johanna Ziglera.

Doktor Zigler, czterdziestoparoletni mężczyzna, ongiś wychowanek Hitlerjugend, syn jednego z notabli NSDAP, doktoryzował się z zagadnień związanych z historią wschodniej Europy i obecnie pracuje w pionie wywiadu zajmującego się problematyką krajów socjalistycznych. Ustalono, że jego prawą ręką, jeśli chodzi o kontakty z Polską, jest niejaki Robert Weinert.

Weinert, którego rodzice podczas okupacji pod przymusem podpisali volkslistę, skończył studia w rodzinnej Łodzi. W Wyższej Szkole Filmowej wysoko oceniano jego zdolności, ale jako aktor nie sprawdził się. Zatrudniono go wprawdzie w wojewódzkim teatrze, ale wciąż grywał tylko podrzędne role. Był mierny. On sam miał o sobie wysokie mniemanie i uważał się za ciężko pokrzywdzonego przez los, kolegów i kierownictwo. Jego zdaniem, zawiść ludzka zamykała mu drogę do wielkiej kariery. Do sławy. Prymitywna wiara w możliwości wybicia się na wymarzonym Zachodzie, gdzie pucybut staje się milionerem, i przekonanie o swoim geniuszu – pchnęło go do ucieczki z kraju.

Skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazji. Związał wyjechawszy z wycieczką do RFN. Wybrał „wolność”. Ale złudzenia prysnęły szybko. O pracy jako aktor nie mógł nawet marzyć. Był obcy, nie znał języka. Ostatecznie więc, żeby nie umrzeć z głodu, zaczął się jako pomywacz w jednej z prywatnych knajp. Ale z marzeń o karierze nie zrezygnował. Liczył na odmianę losu.

Cud, na który czekał, objawił mu się w postaci wartej z Ziglerem znajomości. Kiedy i w jaki sposób

spotkali się, dotąd nie wyjaśniono. Pewne było jedno – pomywacz rzucił pracę i zniknął z horyzontu. Gdy po kilku miesiącach wypłynął, był już właścicielem domu i restauracji położonej malowniczo na przedmieściu Berlina Zachodniego, tuż przy autostradzie.

Odkupiony od poprzedniego właściciela lokal został odremontowany, a część pomieszczeń przekształcona w niewielki hotel. Interes po krótkim rozruchu zaczął znakomicie prosperować, a sam Weinert stał się na tym terenie znaną i szanowaną osobą. Turyści niemieccy i zagraniczni chwalą sobie jedzenie, obsługę, hotelowe wygody i robią reklamę właścicielowi, który osobiście troszczy się o nich, dba, by spełniano wszelkie ich życzenia. Knajpa stała się sławna i ściąga licznych gości. Dochody właściciela obliczano na grube tysiące marek.

Jest w tym jakaś ironia losu, ocenia studiujący te informacje Biezan, że Weinert, szukający sławy na Zachodzie, zdobył ją nie jako aktor, ale jako knajpiarz. Może ta sława mu wystarcza i rekompensuje dawne niepowodzenia? Z punktu widzenia potrzeb wywiadu jest urządzony znakomicie. Taki lokal to idealne miejsce do nawiązywania coraz to nowych kontaktów, do werbowania agentów.

Czy i kogo Weinert zdołał tu zwerbować, na razie nie ustalono. Można było domyślać się tylko, że miał nawiązać kontakty z krajem, który opuścił, ale i to było pewne, nie dotyczyły one jego dawnych znajomych. Do żadnego z nich się nie odezwał, z nikim z tego grona nie prowadzi korespondencji.

Być może wstydzi się nowej profesji, osądza Bieżan. Tak się puszył, tak podkreślał swoje zdolności... Musiał sięgnąć do innych środowisk szukając kontaktów. Najłatwiej było mu dotrzeć do przyjeżdżających do Berlina polskich turystów. Że zdołał nawiązać potrzebne mu znajomości, to jest pewne. Inaczej Zigler nie traktowałby go jako swojej prawej ręki. Znalazłby i urządził innego pomocnika. Z kim w kraju kontaktuje się Weinert? Jak dotąd, nie udało się tego ustalić, choć jest to dla Bieżana sprawa najważniejsza. Pałaca.

Sprawdzono pod tym kątem kontakty wszystkich obserwowanych. Bez rezultatu. Kontakt z Halpernem? Raczej wbrew regułom gry. Ewentualność zwerbowania doktora przez takiego knajpiarza wydawała się absurdem.

Jeśli Halpern funkcjonował jako agent i drogą przez księgarza przekazywał cynk o zdobytych materiałach, to ten, który je odbierał i przekazywał dalej, musiał być mu obcy. Bieżan raczej wykluczał możliwość osobistego kontaktu.

To jednak są tylko hipotezy. Pewność da, być może, przeszukanie osobistych papierów doktora.

Rozdział XXIV

Bieżan jest sam w gabinecie lekarskim Halperna. Pani Anita przed chwilą wyszła. Zmęczyła ją widocznie kilkugodzinna bezczynność. Zrazu zagłębiona w miękkim

fotelu obojętnym wzrokiem śledziła poczynania majora. Obserwowała, jak systematycznie oglądał półkę po półce, zdejmował z nich książki, przerzucał je, sprawdzając, czy w ich wnętrzu nic się nie kryje. Poszukiwania, jak dotąd, nie dały rezultatu. Czas uciekał, a on wciąż znajdował się w punkcie wyjścia.

Anita ziewając przerzucała jakąś gazetę. Znów zajął się robotą, zapomniał o jej istnieniu. Stracił poczucie czasu. Z tego stanu koncentracji wyrwał go nagle głos Halpernowej. W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co jej chodzi.

– Słucham panią – odwrócił się z książką w rękę, patrząc nieprzytomnym wzrokiem na podnoszącą się z fotela kobietę.

– Chyba nie jestem panu potrzebna? – rzuciła ni to pytająco, ni to twierdząco. – Chciałabym pójść do siebie. Gdyby pan czegoś ode mnie potrzebował, wie pan, gdzie mnie szukać – dodała stojąc w drzwiach.

Nie protestował. Jej nieobecność była mu raczej na rękę. Dawała większą swobodę działania.

I właściwie zaskoczyła go łatwość, z jaką uzyskał jej zgodę na przeszukanie gabinetu męża. Propozycję, a nuż uda się znaleźć coś, co pozwoli od ręki wyjaśnić sprawę, wysunął na rybkę, nie bardzo wierząc, by rybka chwyciła. A jednak...

– Nie mam nic przeciwko temu – oświadczyła, wykazując całkowity brak zainteresowania tą sprawą.

Gdyby czuła się współwinna dokonania zbrodni, nie potrafiłaby się zachować w ten sposób. Jest tego pewny.

Tylko że jego przekonanie wynika nie tyle ze znajomości konkretnych faktów, ile z oceny charakteru Anity. Konkretnie fakty wskazują na współudział.

Przyczyna owego braku zainteresowania przeszukaniem gabinetu męża może tkwić w czymś innym. Ona po prostu wie, że w gabinecie Bieżan nie znajdzie nic kompromitującego, nic co by rzuciło najmniejszy cień na nią i inżyniera Tadeusza Kłoska. Albo też Anita, osoba pozbawiona wyobraźni, po prostu nie przypuszcza, że z racji tego wypadku ktoś może ją i inżyniera podejrzewać.

Bieżana dziwi co innego. Dlaczego Tadeusz Kłosek, jeśli przyjąć, że ma ze sprawą zabójstwa ścisły związek, nie ustawił jej inaczej, nie powiedział o grożącym im obojgu niebezpieczeństwie. Kłosek rozumie, musi rozumieć – jest człowiekiem bystrym, z wyobraźnią – że skoro milicja wciąż się koło tej sprawy kręci, to zagrożenie istnieje. A jednak dotąd nie „zadziałał”. Nie z braku okazji. Z meldunków obserwacji wynika, że oboje spotykają się codziennie, że po wspólnym obiedzie, u niej w domu, on wraca do pracy, a potem około siedemnastej przyjeżdża po nią Skodą i korzystając z majowej pogody razem wyjeżdżają na spacer. Kłosek nierzadko nocuje u pięknej Anity.

„Jak długo jeszcze mamy włączyć się za tą parą gruchających gołąbków”, pytał co parę dni Kawka głosem, w którym brzmi nutka pretensji. Brakuje ludzi. Tych paru dorzuconych „z łaski” nie rozwiązuje sprawy. Za sięg obserwacji i krąg obserwowanych nie maleje,

przeciwnie, stale się rozszerza. Bieżan dorzuca nowe nazwiska i nowe zadania. Teraz znów trzeba wziąć pod obserwację gospozię i jej synalka. Toteż pytanie Kawki ma na celu uświadomienie Bieżanowi faktu, że dalsza obserwacja tych dwojga zakochanych jemu, Kawce, wydaje się bezsensowna.

Bieżan, wie, o co Kawce chodzi. Aluzja była nader przejrzysta. Ale rozkazu zaprzestania obserwacji Anity i Kłoska, ludzi bądź co bądź obciążonych konkretnymi podejrzeniami, dać nie mógł. Byłoby to sprzeczne z zasadami sztuki. Miłość też może być pozorem, zasłoną dymną. Demonstracją mającą dowieść niewinności. Skoro wówczas, gdy powinniśmy się ukrywać, afiszujemy się – mamy czyste sumienie i żadnych powodów do obaw. Jeśli przyjąć, że Kłosek działał sam, bez wiedzy i zgody Anity, jej brak zainteresowania śledztwem staje się zrozumiały. Ten sam spokój wykazywany przez Kłoska świadczyć może o jego niewinności, ale równie dobrze i o pewności siebie. Inżynier być może sądzi, że dokonał zbrodni doskonałej, że wykrycie sprawy jest niemożliwe. Licząc się z możliwością ujawnienia łączących go z Anitą stosunków, nie kryje się z nimi. Uważa, że w ten sposób daje dowód swojej niewinności.

Tak czy inaczej nie miał chyba nic przeciwko przeszukaniu gabinetu doktora, skoro nie wpłynął na kochankę, by odmówiła swej zgody, osądza Bieżan, zabierając się do kolejnego regału. Być może zareagowałby inaczej, gdyby chodziło o garaż lub warsztat?

I znów mu coś nie pasuje w tym rozumowaniu. Jeśli przyjąć, że tym właśnie kanałem przeciekł z kraju mikrofilm z dokumentacją sprzedaną przez jego brata Stefana, powinien się obawiać, że w gabinecie doktora, w pozostałych po nim papierach, będzie jakiś ślad po tej operacji. Wypadek zdarzył się nagle, doktor nie wrócił do domu, nie zdążył więc zniszczyć żadnych dokumentów. Anita, nie orientując się, mogła na nie nie trafić. Przeszukanie powinno więc wywołać niepokój u obydwóch Kłósków, albo przynajmniej u Stefana, któremu Tadeusz przekazał z pewnością tę informację.

Tymczasem Stefan Kłosek zachowuje się tak, jak gdyby rzecz cała go nie dotyczyła. Po pogrzebie złożył wizytę pani Anicie. Przyszedł z żoną. Siedzieli u Halpernowej parę godzin. Zapewne zaprosili ją do siebie, skoro w dwa dni później zjawiła się u Kłósków na kolacji. Następnego dnia razem z Tadeuszem, we czworo, wybrali się do teatru. Zapewne w ten sposób Anita poznaje bliżej rodzinę, uśmiecha się Bieżan sam do siebie. Ale w tym szaleństwie może być i metoda. A może po prostu wiedzą, że nic tu nie ma?

Być może miał skrytkę w innym pokoju, zastanawia się zdenerwowany brakiem rezultatów tak starannie prowadzonych poszukiwań. Nic, kompletnie nic. Nawet jednego świstka świadczącego już nie o podwójnej grze, czy związkach z obcym wywiadem, ale będącego zapiśkiem lekarskim dotyczącym pacjenta czy pacjentki, żadnych notatek do przygotowywanej pracy naukowej na temat roli hipnozy w leczeniu przewlekłych stanów

nerwicowych. Praca miała być wydana w przyszłym roku, musiała więc być w stanie zaawansowanym. Korespondencję Halperna z naukowcami różnych krajów na tematy zawodowe odnalazł w szpitalu. Prywatna korespondencja, zaproszenia na kongresy, zjazdy, dyplomy, wszystko to, posegregowane, uporządkowane, leżało w szufladach biurka w jego pokoju. Tam też tkwił notes zawierający adresy i telefony warszawskich i zagranicznych kolegów. Te wszystkie kontakty dawno już przewentylowali. Prowadziły do nikąd.

Gabinet lekarski był ostatnią nadzieją. Jeśli i ta zawiedzie?

Otwiera wbudowaną w ścianę szafkę z aparaturą medyczną. Jest tu, jak zdążył się zorientować, walizkowy elektroencefalograf i jakieś inne przyrządy, o których przeznaczeniu nie ma zielonego pojęcia.

Ogląda je z ciekawością, później patrzy na rozwiązanie wnętrza samej szafki. Półki z matowego szkła są przymocowane do tylnej ściany w oryginalny, efektowny sposób. Podtrzymują je staroświeckie, złoczone, bogato grawerowane podpórki, które kontrastują z nowoczesnym kształtem gabloty, z bielą matowego szkła, z surowością stalowych, błyszczących instrumentów.

Podoba mu się ten kontrast. Ciekawi go sposób umocowania tych metalowych arcydziełek. Przybliża do nich twarz, chcąc przyjrzeć się z bliska wygrawerowanemu motywom. Każda podpórka jest inna. Inaczej zdobiona i inaczej rozmieszczona. Ta asymetria nie razi, przeciwnie, zwiększa efekt tego rozwiązania.

Wciąż pochylony opiera się ręką na którymś z ozdobników i nagle dwie półki odrywają się od ściany omal nie trafiając go w pierś. Odskakuje, żeby nie tamować ich ruchu. Czyżbym wreszcie coś odkrył?

Za półkami niewielki otwór. Sejf? Zapala stojącą na stoliczku lampę, przenosi ją, przysuwa do otworu.

Światło pada na boczne ścianki i na metalową podłogę. W środku nie ma nic. Zdążyła usunąć zawartość i dlatego nie bała się tych oględzin?!

Wsuwa lampę głębiej. Nic. Ani jednego śladu świadczącego, że tu chowano papiery lub pieniądze. Czyżby nie używał tego sejfu? Przesuwa palcem po ściankach. Jasna smuga. Kurz. Dotyka podłogi. To samo. Myśli nad koniecznością sprowadzenia ekspertów. Powinni odkryć mikroślady, które pozwolą ustalić, czy i co tu było.

Jest zmartwiony. Musiałem się spóźnić! Jeśli Anita, wyrażając dwa dni temu zgodę na przeszukanie gabinetu, usunęła papiery? Tylko w takim razie skąd wziął się ten kurz? Kurz, którego brak na półkach z aparaturą?

A jeśli sejf został opróżniony wcześniej, po spotkaniu ze mną, które potraktował jako sygnał alarmowy? Tego samego wieczoru wysłał przecież depeszę... Reakcja nader prawdopodobna. Błyskawicznie zlikwidował wszystkie ślady mogące naprowadzić na właściwy trop. Co mógł zrobić z papierami? Spalił? Niemożliwe. Mógłby to zauważyć ktoś z domowników, a tego z pewnością chciał uniknąć. Wyniósł? Dokąd? W szpitalu nic nie było. A jeśli wykorzystał w tym celu skrzynkę

kontaktową?

Zasuwa półki na miejsce. Lekki trzask. Podpórka działa jak zatrask. Jeszcze raz otwiera i zamyka sejf, by zapamiętać położenie podpórki-zatrasku.

A może jeszcze któraś z nich ma dodatkowe przeznaczenie? Naciska kolejno jedną po drugiej.

Nieoczekiwany efekt. Półki znów się odsuwają. Znów widać tę samą wnękę. Biezan chce wsunąć głowę do środka i cofa ją. Podłoga sejfu przesuwana się do góry, już sięga „sufitu” otworu. Powoli wyłaniają się żelazne, zamknięte drzwiczki. Jest zamek. Musi więc być klucz. Gdzie jest ten klucz?

Na pewno, nosił go przy sobie. Przypomina sobie teraz, że w wozie znaleziono jakieś klucze. Gdzie one mogą być? Musieli oddać Halpernowej razem z innymi rzeczami należącymi do denata. Tak czy siak trzeba porozumieć się z Halpernową i dokonać oficjalnych oględzin, decyduje, pukając do drzwi jej pokoju.

Rozdział XXV

– Teraz skręć w prawo – poleca Biezan kierowcy, patrząc na rozłożoną na kolanach mapę. – Tak. Tutaj. Jeszcze z pięćset metrów prosto. Dobrze. Zatrzymaj się. My wysiadamy, a ty zjedziesz w lewo i zaparkujesz za tą kępą krzaków. Czekać na nas. Obserwuj, czy nikt się tu nie kręci. Gdybyś kogoś zauważył, daj znać przez radiostację. To musi być tutaj – zwraca się do wysiadającego z wozu Kawki.

Na skraju piaszczystej drogi, krzyżującej się z wąską równie piaszczystą ścieżką, w cieniu rozłożystej zielonej lipy jest ukryta niewielka przydrożna kapliczka. Lipa osłania ją z boku, z tyłu bronią dostępu kwitnące krzaki tarniny Zbliżają się do tych krzaków. Bieżan próbuje ułamać gałąź i z sykiem podnosi rękę. Z palca cieknie krew.

Z dala wyglądają jak para mieszcuchów zrywających kwiaty do przystrojenia mieszkań. Bieżan przytrzymuje kolczastą gałąź, a Kawka w tym czasie dokonuje oględzin kapliczki. Przeczący ruch głową i ruszają spacerowym krokiem w kierunku zaparkowanego pojazdu.

– Niegłupio wybrane miejsce – mruczy Bieżan trochę do siebie, trochę do Kawki. – Podaj chłopakom namiary. Niech się pospieszą – dodaje. – Jak sam widzisz, wciąż zwiększa się liczba punktów do obserwacji.

– Skoro powszechnie wiadomo, że pogrzeb się odbył, skrzynki muszą być martwe. – W głosie Kawki brzmi ton protestu.

Bieżan rozumie ten niemy protest. Znów nowe czasochłonne zajęcia dla jego ludzi. Będą tu tkwić bez żadnej nadziei. Wiadomo, że każdy agent ma swoje skrzynki kontaktowe, z których tylko on korzysta. Odbierający meldunki łącznik być może wie, że Halpern nie żyje, więc się nie zjawi, bo nie ma po co. Ale łącznik nie musi wiedzieć, że skrzynki mają związek z osobą Halperna. Mógłby się zjawić, gdyby w skrytkach

tkwił jeszcze jakiś meldunek. Ale przeszukali wszystkie. Były puste.

Jest jeszcze jedna ewentualność. Obiekty wypisane na kartce stanowią punkt orientacyjny, a same skrytki zostały umiejscowione obok, w określonej z góry odległości. Halpern jako użytkownik skrytek nie musiał ich dokładniej oznaczać, wystarczyło, że zanotował punkty orientacyjne. Ale to tylko domniemanie. Czy istotnie jest sens trzymać tu ludzi, zastanawia się Bieżan. W rezultat sam nie bardzo wierzy. Nadzieja raczej nikła.

Jako ostatnią z wytyczonych na mapie Halperna skrzynek kontaktowych przeszukali tę właśnie kapliczkę, oznaczoną na kartce przypiętej do mapy numerem pierwszym. Mapa z zaznaczonymi na niej ołówkiem punktami wraz z kartką, na której doktor wypisał sobie obiekty i kolejność ich wykorzystywania, zostały znalezione w sejfie Halperna razem z innymi równie ważnymi dokumentami i częścią aparatury.

Podczas szczegółowych oględzin sejfu, tym razem wykonanych przez ekipę złożoną ze specjalistów, zabezpieczyli i za zgodą Anity Halpernowej zabrali ze sobą całą zawartość skrytki, zostawiając wdowie protokół ze spisem dokumentów i rzeczy.

Dla Anity odkrycie sejfu było zaskoczeniem. Zrazu z ciekawością śledziła przebieg oględzin, ale sprawdzwszy, że w środku nie ma klejnotów ani pieniędzy straciła zainteresowanie dla całej imprezy. Protokół podpisała machinalnie, rzucając pobieżnie okiem na spis.

Zawartość sejfu stanowiła rewelację dla Bieżana. Z

trudem opanował ogarniające go podniecenie, kiedy dostrzegł na małej czarnej skrzyneczce z nieznaną aparaturą plakietkę „Harram”, a wśród ukrytych w sejfie kart pacjentów zauważył tę z nazwiskiem Jamnickiego.

Uczucie ogromnej ulgi. Jakby mu kamień spadł z piersi. Więc nie omyliłem się! Nareszcie będę mógł dowieść swoich racji. Pomyślał o Ziętarze. Zdążyłem przed upływem wyznaczonego terminu!

– Będzie miała o czym opowiadać znajomym. Rozpapie – rzucił jeden ze specjalistów pod adresem Halpernowej, gdy ta, podpisawszy protokół, zniknęła za drzwiami.

– Nie ma znaczenia – odburknął w odpowiedzi. – I tak siedzimy im na ogonie.

Później, przeglądając u siebie schowane przez Halperna papiery, wyłowił tę mapę. Nie miał wątpliwości, że chodzi tu o skrzynki kontaktowe. Toteż odłożywszy wertowanie papierów na później zdecydował się odnaleźć wytyczone na mapie miejsca. Przeszukanie skrzynek stało się najważniejszym zadaniem. A nuż coś jeszcze w nich tkwi.

Nie tkwiło. Były puste.

Nie zaskoczył go ten fakt. Powinny być opróżnione, jeśli – jak zakładał – zabójstwo Halperna miało na celu przecięcie pękniętego ogniwa. Któż zostawia materiały dla zagrożonego wyspą agenta? Alarm ze strony Halperna, informacje o powstałym zagrożeniu – wszystko to musiało spowodować natychmiastowe opróżnienie skrytek przez łącznika. Tylko kim jest ten łącznik? Jak

do niego dotrzeć? Halpern nie żyje. Nie można więc sprowokować alarmowego sygnału, który musiałby ujawnić system łączności i osobę. Jak wybrnąć z tej sytuacji? Może analiza tras?

Po powrocie Bieżan sięga po meldunki z obserwacji poszczególnych osób. Studiuje je, porównując trasy, na jakich kursowali od dnia jego spotkania z Halpernem, z trasami wiodącymi do skrzynek. Sprawdza, czy pokrywają się.

Ale i ta droga dotarcia do łącznika zawodzi. Znowu fiasko. Żaden z nich. Kłosek nie był jeszcze wówczas obserwowany, może więc wchodzić w rachubę. Wykonawca zamachu i jednocześnie łącznik. Niezbyt prawdopodobne. Ze względu na ryzyko wpadki. Ale i tego nie można wykluczyć. Romans z Anitą był znakomitym pretekstem umożliwiającym dostęp do domu Halperna, kontrolowanie jego posunięć i poczynań, oraz zabezpieczeniem sobie stałego dopływu informacji.

W takiej sytuacji Halpern, rzecz jasna, nie miałby pojęcia o właściwej roli zaprzyjaźnionego z nim inżyniera.

Kłosek jako pierwszy został przez Halpernową poinformowany o śmierci jej męża. Miał więc czas na opróżnienie skrytek i zawiadomienie centrali o wykonaniu poleceń dotyczących realizacji planowanego zamachu. Mógł w tym celu wykorzystać dotychczasową drogę łączności. Sęk w tym, jaką to drogą informacje i materiały trafiają do Weinerta! Pośrednio, bezpośrednio? Przez kogo? Prędzej czy później ujawni to

obserwacja. Raczej później. Trzeba założyć, że dopóki trwa śledztwo związane z przeciekami informacji i z zabójstwem Halperna, kontakty nie zostaną wznowione.

Kłosek jako łącznik centrali. Niemal idealne warunki. Swoboda dysponowania swoim czasem, stałe kontakty z klientami – obcokrajowcami. Warsztat samochodowy to równie idealne jak knajpa miejsce kontaktowe.

Teoretycznie wszystko pasuje. Tylko czy wówczas wprowadzałby brata do domu Halpernów? Przecież zdawał sobie sprawę, że ten mając dostęp do dokumentacji musi się znaleźć pod ostrzałem. Bezsensowne, niezgodnie z regułami gry posunięcie. Jeszcze jeden nie dopasowany kawałek łamigłówki. Takich kawałków wciąż jest za wiele.

Rola Halperna. Niby wszystko jasne. Był agentem centrali. Co go skłoniło do podjęcia współpracy z obcym wywiadem? Był sławny, bogaty. Rzucił wszystko na jedną kartę! W imię czego? Idei? Zdaniem Bieżana Halpern nie był człowiekiem, który poświęciłby cokolwiek dla idei. Polityka go nie interesowała. Niepodobna, by w jej imię podjął ryzyko, uznał je za opłacalne. Po prostu pieniądze? Motyw nie pasuje do osobowości Halperna. Co innego, gdyby chodziło o Anitę. Ta była zachłanna. Ale doktor? Dla niego rzeczą nadrzędną był sukces, sława, wtórną pieniądze. A gdyby cena sławy była ceną zdrady? Koniec końców w zamian za zobowiązanie do określonych usług jego mocodawcy mogli go wylansować za granicą. Nie takie rzeczy się zdarzały. Tego motywu nie można wykluczyć.

Sława w zamian za wydobywanie od pogrążonych w śnie hipnotycznym pacjentów informacji? Szantaż jako wynik znajomości kompromitującego doktora zdarzenia czy zdarzeń? Zagraniczna przeszłość Halperna, Bieżan zdaje sobie z tego sprawę, to pusta karta. Psiakrew, że też o tym wcześniej nie pomyślałem, wyrzuca sobie niedopatrzenie. Znów potrwa, zanim wyjaśnię.

Obie te ewentualności wchodzą w rachubę. Potwierdzenie którejś z nich zależy od dodatkowych ustaleń, od wyników badań odkrytych w sejfie materiałów.

Dokumentację lekarską pacjentów, notatki prowadzone przez doktora, aparaturę – muszą zbadać eksperci. To znów potrwa. Już ze wstępnych rozmów wynika, że głowią się nad tym, do czego mogła służyć ukryta w sejfie aparatura. Równie trudne, jak wynika z ich wypowiedzi, jest rozszyfrowanie znalezionych notatek i dokumentacji. Prowadził jakieś eksperymenty – to jest jasne. Ale o co chodziło? Halpern w ich opisie posługiwał się wzorami i sobie tylko znanymi skrótami.

Bieżan ma inny orzech do zgryzienia. Jaką drogą Halpern nawiązał kontakt z firmą „Harram”? Dotąd nie odkrył łączącego ogniwa, choć szczegółowo sprawdzono wszystkie kontakty zagraniczne doktora. Któryś z pacjentów? Jamnicki, mający kontakt ze szwagierką Hansa Stolke, odpada. Znajomość okazała się przypadkowa, a owe wymieniane w kawiarni „Niespodzianka” paczuszki zawierały poszukiwane za granicą pszczele mleczko i małe pornograficzne albumy przywiezione

przez Gertę Küntst. Jamnicki, jak się okazało, nie wiedział, że przypadkowo poznana turystka jest kuzynką przedstawiciela tej firmy. Nie mógł więc o tym powiedzieć Halpernowi. Ale karta chorobowa Jamnickiego leżała ukryta w sejfie razem z kartami kilku innych, równie znaczących w sensie możliwości dostarczenia atrakcyjnych dla wywiadu informacji, pacjentów.

Bieżan próbuje przypasować nazwiska do interesujących go spraw.

U Halperna leczyla się na zaawansowane schorzenia nerwicowe żona dyrektora „Atexu”, Wanda Lubelska. Była u niego 30 grudnia 1970 roku i przypuszczalnie od niej uzyskał wiadomość o rokowaniach handlowych z japońską firmą. Tego samego dnia wysłał depeszę-sygnał, choć informacja była już spóźniona, o czym Halpern nie wiedział. Ten fakt przekreślał możliwość przerwania zakończonych już wówczas rokowań. Przeciek w tej sprawie, który spowodował „pęknięcie” transakcji, pochodził, zdaniem Bieżana, z innego źródła. Lubelskiego należało wykluczyć, mimo jego kontaktów z Hansem Stolke. Jako dyrektor troszczący się o interesy „Atexu” ponosił zbyt dużą odpowiedzialność, żeby zaprzepaścić korzystną szansę zawarcia umowy z przemysłowcami japońskimi. Dla niego były to sprawy o kluczowym znaczeniu. Nie działał zresztą sam, przebieg rozmów na bieżąco analizowali fachowcy z resortu łączności i elektroniki. Mechanizm utracenia pertrakcji tkwił poza krajem i kwalifikował się do osobnego rozpatrzenia. Wiele przemawiało za tym, że w grę wchodziła walka konkurencyjna dwóch firm, które nie

po raz pierwszy rywalizowały ze sobą na różnych rynkach. Związek firmy „Harram” – lub przynajmniej niektórych ludzi zajmujących w niej wysokie stanowiska – z wywiadem zdawał się być oczywisty. Prawdopodobnie monachijska centrala uzyskane informacje o rozmowach z Japończykami natychmiast przekazała specjalistom z „Harram”, a ci już we własnym zakresie zatroszczyli się o zorganizowanie akcji torpedującej. Nic nowego pod słońcem, pomyślał Biezan, znając skądinąd kulisy wzajemnego podcinania sobie korzeni wśród przemysłowych potentatów zachodniego świata. Problem najważniejszy to ustalenie kanału, którym przeciekła tajemnica radiolokatora ERA-13. Okazało się bowiem, że firma „Harram” już rozesłała oferty do kilku krajów Europy zachodniej, proponując jego dostawę. Kto wie, czy w tym interesie nie partycypuje także wywiad, ściślej mówiąc, paru wybranych...

Rozdział XXVI

- Zgłosił się jakiś Edmund Kula z Żagania. Mówi, że do was, towarzyszu majorze. Chce koniecznie złożyć jakieś zeznanie. Twierdzi, że chodzi o doktora Halperna.
- Spytajcie, jak trafił do mnie? Kto go tu skierował?
- Pytałem. Mówi, że dyżurny z komendy. Sprawdziłem, zgadza się.

– Przyślijcie go na górę.

Edmund Kula, pierwszy raz słyszy to nazwisko. O co może chodzić?

W drzwiach starszy, przygarbiony mężczyzna. Pobrzdżona twarz okolona długimi, siwymi włosami, żywe niebieskie oczy patrzące bystro.

– Nazywam się Edmund Kula – mówi wyciągając na powitanie rękę.

Mężczyzna siada i wyjmuje z kieszeni wycinek gazety ze zdjęciem i nekrologiem doktora Halperna. Ruchy ma spokojne, pedantyczne.

– Spotkałem się z tym człowiekiem – mówi, spoglądając uważnie na majora. – Powiedziano mi w milicji, że pan prowadzi śledztwo w jego sprawie, to znaczy – poprawia się – w sprawie jego śmierci.

– Doktor Halpern zginął w wypadku samochodowym – oznajmia suchym tonem Bieżan. – Mamy obowiązek dokładnego ustalenia, co się za tym kryło. Czy pan chciałby nam w czymś pomóc?

– Pomóc? – mężczyzna powtarza pytanie. – Chyba tak, ale obawiam się, że to, co powiem, może pana zaskoczyć i skomplikować bieg sprawy.

– Właśnie po to jesteśmy, żeby dojść do prawdy. Słucham pana. Na razie nie będziemy tego protokołowali, ale z góry uprzedzam, że rozmowa ma charakter urzędowy...

Edmund Kula kiwa z aprobatą głową. Nie jest wcale speszony uwagą Bieżana. Zapala podanego mu papierosa i po chwilowym milczeniu, nie odrywając wzroku od fotografii Halperna, zaczyna mówić.

– Trzy dni temu wpadła mi do ręki ta gazeta. Przy-
niósł mi ją kolega, z którym spędziłem wojnę za druta-
mi obozu jenieckiego. On także rozpoznał człowieka
posługującego się nazwiskiem Halpern, choć obaj pa-
miętam go jako kogoś innego...

– Może dokładniej – przerywa nieco zaintrygowany
takim wstępem Biezan. – Każdy szczegół jest ważny.

– Dobrze – zgadza się Kula. – Zacznę od siebie, co
pozwoli panu zrozumieć, dlaczego doszło między nami
do spotkania – stuknął palcem w zdjęcie doktora. – Je-
stem oficerem w stanie spoczynku. W trzydziestym
dziewiątym roku powołano mnie z rezerwy do służby
czynnej w stopniu porucznika. Specjalność artyleria
lekka, jedenasty pal karpacki. Zanim zdążyłem dojechać
na front, Niemcy rozbili bombami nasz transport koło
Tarnowa. Znalazłem się w linii jako piechur czy raczej
w ogóle bez przydziału, bo po przegranej armii „Kra-
ków” w ocalałych jednostkach zapanował bałagan.
Sprawy znane, nie ma o czym mówić. Przypomnę więc
tylko, że nad Sanem dostałem się do niewoli i skiero-
wano mnie do oflagu w Żaganiu. Podzieliłem los tysię-
cy oficerów.

– Tak, rozumiem – wtrąca major. – Skutki klęski
odczuli wszyscy, nie tylko żołnierze.

– W obozie było różnie – ciągnie Kula. – Na pew-
no wie pan o tym. Wzięła nas na warsztat Abwehra.
Formalnie byliśmy chronieni postanowieniami Kon-
wencji Genewskiej, ale Niemcy wielokrotnie pod byle
pretekstem, lub bez pretekstu, lekceważyli te przepisy.

Każdy oficer był przesłuchiwany na okoliczność swego udziału w kampanii. Chcieli wiedzieć, kiedy, gdzie i jak walczyliśmy, jakie straty zadaliśmy nieprzyjacielowi, jaką mieliśmy broń, kto nami dowodził. Słowem, wszystko. Podawaliśmy ogólniki, różne drugorzędne szczegóły, nie reagowaliśmy na ich groźby, choć w stosunku do opornych, zarzucając im bezpodstawnie udział w rzekomym likwidowaniu kolonistów niemieckich i niszczeniu ich dobytku, stosowali kary włącznie z oddawaniem „winnego” w ręce gestapo. Było to jawne gwałcenie praw jenieckich, lecz nikt nie mógł im w tym przeszkodzić, a na nasze protesty odpowiadali co najwyżej ironicznymi uwagami. „Wasz los uzależniony jest wyłącznie od woli führera”, słyszeliśmy często. Po klęsce na zachodzie w czterdziestym roku w obozie pojawili się jeńcy francuscy, belgijscy i brytyjscy, dosyłani w następnych latach, gdy trwały naloty. Ich liczba rosła z każdym rokiem, ponosili straty. Wielu ginęło, ale większość, jak przypuszczam, dostawała się za druty, do oflagów i stalagów. Wśród lotników-jeńców byli także Polacy, którzy latali na bombardowanie Niemiec...

Bieżan słucha cierpliwie i nie widzi związku między tym, co mówi Kula, a sprawą Halperna. Nie przerywa jednak tej relacji, spodziewając się, że świadek, jak go określa, sam dojdzie do owego spotkania. Sprawia wrażenie człowieka rzeczowego i wzbudza jakąś sympatię.

– Ich także przesłuchiwali – kontynuuje Kula. – Z punktu widzenia Abwehry byli materiałem znacznie ciekawszym niż my, żołnierze Września, pokonani w

kraju, który mimo to nie złoży] broni. Lotnicy posługiwali się przecież sprzętem nie znanym wrogowi, znali jego właściwości, zalety i wady, wiedzieli, co przygotowują alianci w ramach ofensywy powietrznej przeciwko Rzeszy. Te sprawy objęte ścisłą tajemnicą miały dla Niemców kapitalne znaczenie. Ze szczątków informacji mogli sobie zrekonstruować wiele. Nie muszę chyba tego panu tłumaczyć, prawda?

– Oczywiście – zgodził się Biezan.

– Żeby uzyskać konkretne wiadomości, szli na różne sposoby – wraca do przerwane go wątku, gasząc papierosa. – Lotnicy byli twardzi, solidarnie milczeli. Mówili nam wręcz, że jeśli Niemcy będą stosować wobec nich przymus, RAF odwdzięczy się serią zmasowanych ataków bombowych. Na groźby rzucane przez speców z Abwehry odpowiadali: „Nie zapominajcie, że w naszych obozach znajdują się również podwładni Goeringa z rozwalonych samolotów Luftwaffe. Im też można się dobrać do skóry”. Niemcy byli wściekli. Pewnego dnia nasz jeniecki kontrwywiad ustalił, że w obozie pojawił się ten oto pan – znowu stuknął palcem w fotografię Halperna.

– Jako nowy jeniec?

– Skądże. Jako lekarz, cywil, psychiatra. Nie mogliśmy początkowo zrozumieć, czego on tu szuka. W izbie chorych mieliśmy swoich lekarzy, także jeńców, którzy pracowali pod nadzorem kilku Niemców. W naszym środowisku nikt nie cierpiał na schorzenia psychiczne, oczywiście poza nostalgią jako zjawiskiem naturalnym wśród ludzi odciętych od świata. Cywil w

obozie jenieckim – podkreślił z naciskiem – to wypadek zgoła wyjątkowy. Już tylko z tego względu wzbudzał podejrzania. Co będzie robił? Leczenie nie wchodziło w grę. Jakies doświadczenia, badania, praktyka? Nikt na te pytania nie mógł odpowiedzieć. Widywaliśmy go rzadko. Przebywał w baraku, gdzie mieściła się placówka Abwehry, jeździł samochodem w towarzystwie jej oficerów. Te fakty dawały wiele do myślenia...

– Czy jest pan pewien, że to był Halpern? –: pyta dla porządku Biezan, słuchając z coraz większym zainteresowaniem.

– Tego nie powiedziałem – prostuje Kula. – Stwierdzam natomiast z poczuciem pełnej odpowiedzialności, że to był ten sam człowiek. Nie Halpern, lecz Artur Wandycz. Tak brzmiało wówczas jego imię i nazwisko. Nie wiem, czy był rodowitym Niemcem. Może wywodził się z rodziny niemieckiej i podpisał volkslistę. Rozmawiał w każdym razie biegle w ich języku, a oni traktowali go jak swojego. Po latach trochę się zmienił, ale rysy i kształt twarzy pozostały takie same. Szaroniebieskie oczy, włosy ciemne, typowe dla szatyna, sylwetka dosyć tęga, ruchy energiczne. Widzę go, po prostu utrwalił mi się w pamięci, jak na kliszy. Gdy dostałem gazetę z jego fotografią, wykrzyknąłem zdumiony: przecież to Wandycz! Jestem poruszony tą dziwną historią. Jak to się mogło stać, że wcielił się w postać innego człowieka?

Biezan też zadaje sobie to pytanie. Milczy jednak, bo jego rozmówca sięga do sprawy najbardziej istotnej,

rzucającej snop jaskrawego światła na „lekarską” działalność Halperna.

– Wandycz był w obozie prawie miesiąc. Przyjechał w połowie października czterdziestego czwartego roku i zniknął w pierwszej dekadzie listopada. Przez ten czas zajmował kwaterę w baraku, gdzie mieszkali Niemcy. Nie to jest jednak najważniejsze. Funkcjonariusze Abwehry prowadzili wówczas przesłuchania kilkunastu zestrzelonych lotników, przeważnie Anglików i Kanadyjczyków. Brał w nich udział, aplikując im jakieś środki rzekomo na uspokojenie. Wrócili później z piekielnym bólem głowy, nie pamiętając, o co ich pytano i co sami mówili. Coś w rodzaju silnej narkozy, która zniewala człowieka. Wkrótce zresztą odizolowano całą grupę przesłuchiwaną i skierowano do innego obozu. Nie wiem, co się z nimi stało, ale jedno jest pewne: w ten sposób uzyskiwano jakieś informacje. Metoda perfidna, godna przestępców wojennych. Kim w takim razie był Wandycz, kto nim kierował, komu służył? Jakim cudem mógł funkcjonować pod innym nazwiskiem? – W głosie Kuli brzmi oburzenie, nerwowym ruchem zapala drugiego papierosa i patrzy przenikliwie na Bieżana.

– Dojdziemy do tego – zapewnia major. – Bardzo mi pan pomógł. Właśnie staram się rozszyfrować przeszłość doktora, lecz to niełatwe zadanie. Czy jest pan gotów złożyć oficjalne oświadczenie w tej sprawie i potwierdzić je własnoręcznym podpisem?

– Jak najbardziej. Po to do pana przyjechałem z

Żagania. Służę również adresem kolegi-jeńca, który przyniósł mi gazetę. On panu powtórzy to samo. Proponowałbym, jeśli można, rozejrzeć się wśród ludzi, oficerów z lat wojny, przebywających jak ja w żagańskim oflagu. Może dowie się pan od nich czegoś więcej.

Dwie godziny trwało spisywanie protokołu. Biezan starał się uchwycić w nim wszystkie interesujące go szczegóły. Nie miał podstaw, by nie wierzyć Kuli, choć z drugiej strony, znając z własnego doświadczenia wiele podobnych spraw, musiał liczyć się z tym, że pamięć ludzka jest zawodna. Jeden dowód to za mało. Postanowił odszukać innych świadków. Sam Kula, co było charakterystyczne, nakłaniał go do tego. Rozstali się jak ludzie, którym wspólny interes leży na sercu.

Krok do przodu, myśli Biezan. Ale nadal pozostało wiele niewiadomych. Do czego służyła aparatura odnaleziona w gabinecie Halperna? Dzwoni w tej sprawie do laboratorium i pyta, czy eksperci doszli już do jakichś konkretnych wniosków.

– Jeszcze nie – odpowiadają. – Jest zupełnie nieznaną i nie stosowaną u nas. Dziś skończymy tłumaczyć instrukcję obsługi. Coś się wyjaśni. Nie rozszyfrowana do końca jest wciąż jeszcze dokumentacja lekarska i notatki z doświadczeń.

– Nie takie to proste – powtarzają eksperci E zakresu psychiatrii. – Z grubsza wiemy, że prowadził jakieś doświadczenia dotyczące skuteczności leczenia hipnozą i skutków zakłócenia fal mózgowych. Ale na czym to polegało?! Jeszcze trochę cierpliwości. To nie piekarnia.

– Pewnie, że nie piekarnia – mruczy odkładając słuchawkę. – A my musimy się spieszyć.

Wszystko mi idzie jak z kamienia. Denerwuje go ta przymusowa zwłoka. Chciałby ruszyć pełną parą. Wykorzystać każdy dzień, każdą godzinę. A tu nic.

Nic? Prócz nowej porcji meldunków przysłała wreszcie oczekiwana z taką niecierpliwością zalakowana koperta.

Rozrywa ją. Rzuca okiem na krótki tekst. No wreszcie! Z informacji wynika, że Weinert utrzymuje stały kontakt z Ambrożym Kamińskim z Warszawy, który przed kilkoma laty pracował jako pilot wycieczek zagranicznych „Orbisu”.

– Natychmiast ściągnijcie mi teczkę Kamińskiego z biura paszportowego. Sprawdźcie w „Orbisie”, kto to taki, co o nim wiedzą, ustalcie adres – sypią się polecenia.

Ściągnięcie teczek z biura paszportowego nie trwa długo. Bieżan odwraca okładkę i wpatruje się w zdjęcie Kamińskiego. Brunet w okularach. Teraz zagląda do rysopisu i danych zawartych w kwestionariuszu paszportowym. Nagłe skojarzenie. Wszystko się zgadza z rysopisem człowieka, który zamierzał dokonać zamachu na życie Halperna w szpitalu! Jakiż on podobny do Kłoska! Myliłem się sądząc, że to Kłosek?!

– Natychmiast zróbcie mi odbitki tego zdjęcia – posyła fotografię do laboratorium. – Oddeleguj do jego obserwacji radiowozy – poleca Kawce, podając mu figurujący w kwestionariuszu adres zamieszkania i

miejsca pracy. – Coś mi się zdaje, że nareszcie mamy w rękę właściwą nić – rzuca w słuchawkę, chcąc ucieńczy porucznika, który teraz znów ma zgryz z rozstawieniem swoich ludzi.

– Adres jest nieaktualny – melduje któryś z funkcjonariuszy w pół godziny później. – Wyprowadził się. Nie znają nowego miejsca zamieszkania. Co robić?

– Jak to co?! Sprawdzić przez biuro meldunkowe! Takich rzeczy trzeba was uczyć! – mówi z przyganą w głosie.

Oficer stwierdza krótko:

– Sprawdziłem. Nie wiadomo jednak, czy tam mieszka. Zdarza się w stolicy, że nie wszyscy mieszkają tam, gdzie są zameldowani. – W głosie leciutki ton ironii.

– Odszukać za wszelką cenę – kończy rozmowę. – To pilne. Trzeba zebrać wstępne informacje – zleca Kawce. – Czekam na meldunki przez radiostację.

Teraz już siedzi jak na szpilkach. Niełatwo mu skoncentrować się na studiowaniu meldunków. Jeśli trop jest dobry, cała ta pisanina to makulatura! Czy warto się w niej grzebać! I kto by pomyślał, że są tacy podobni, myśli o Kłosku i Kamińskim.

Sygnal radiostacji. Pierwsze meldunki.

Kamiński urodzony w 1923 roku w Tarnobrzegu, studiował germanistykę. Pracował w handlu zagranicznym w centrali „Atex”. Zwolnił się na własną prośbę w roku 1956. Przez cztery lata był pilotem wycieczek zagranicznych „Orbisu”. Ze względu na znajomość

języka jeździł do NRD, RFN, do Szwajcarii. Stale kursował po tych trasach. Byli z niego zadowoleni. Nieoczekiwanie zerwał z nimi łączność w 1960 roku. Nie wiedzą, co się z nim dzieje. W latach 1964-1968 pracował w Instytucie Łączności jako kierownik komórki organizacyjnej. W 1969 roku przeniósł się do pracy w Locie. Jest obecnie zatrudniony w komórce reklamy.

– Sprawdzić, czy jest dziś w pracy, podjąć obserwację – rzuca Biezan w eter nowe polecenie. – Odbitki zdjęć Kamińskiego dostarcz chłopakom z obserwacji – łączy się z Kawką. – Nadzoruj ich osobiście. To teraz najważniejszy odcinek. Żeby nie poszkapili jak wówczas pod szpitalem. Dawno byśmy go mieli, gdyby nie oni!

Znów zabiera się do czytania meldunków. Stawiński, nic ciekawego. Kursuje jak zwykle na trasie Instytut – dom. Właściwie można by przerwać obserwację. Inżynier jest poza podejrzeniami.

Laskowski. Też żadnych rewelacji. Wczoraj odwiózł syna do Lubięża na leczenie odwykowe. Nareszcie ustalono, w jaki sposób Laskowski zdobył 100 ampulek narkotyku. Okazało się, że dostał je do sprzedania od znajomego Szweda, który przemycił je do Polski w skrytce samochodowej. Szwed został zatrzymany parę dni temu.

Mleczko. Był wieczorem z wizytą u Jamnickich. Siedział do północy.

Kałużko znów urządził przyjęcie dla swoich kumpli. W męskim składzie przebywali do północy.

Lekturę przerywa sygnał radiostacji.

– Kamińskiego nie ma dzisiaj w pracy – meldują funkcjonariusze. – Nikt nie zna powodu tej nieobecności. Coś się musiało stać niezwykłego, bo zwykle przychodzi punktualnie. Dziś na dziesiątą był umówiony z grafikami. Przygotowywali prospekt reklamowy w języku niemieckim. Jego kierownik dzwonił do domu, ale telefon nie odpowiada.

– Skoro macie numer telefonu, ustalcie adres abonenta! To chyba proste – rzuca z ironią.

Znów sięga do sterty meldunków.

Halpernowa była wczoraj po południu u krawcowej. O szesnastej spotkała się w kawiarni z Kłoskiem. Odwiózł ją do domu i pozostał w mieszkaniu do rana.

Antonina Klepko wychodziła po sprawunki. Po dwóch godzinach wróciła do domu z wypełnionymi po brzegi torbami. Z nikim się nie spotkała.

Marian Klepko. O piętnastej zwolnił się z pracy w warsztacie. Tłumaczył, że ma coś pilnego do załatwienia. Na postoju wsiadł do taksówki nr 2216 i kazał jechać na Grochowską. Wsiadł przed domem numer 221. Wszedł na pierwsze piętro. Zadzwoił do drzwi oznaczonych numerem trzy. Nikt nie otworzył. Wyszedł. Pół godziny spacerował pod domem. Potem znów wrócił na górę i znów nie dodzwonił się do tego mieszkania. Widać postanowił czekać, bo wszedł do pobliskiego baru. Zamówił kawę. Robił wrażenie zdenerwowanego. Jeszcze raz wrócił na górę. Tym razem pytał sąsiadów o jakiegoś pana Kamińskiego...

Coo? Bieżan aż się podrywa:

– Kamiński jest zameldowany uprzejmościowo przy ulicy Brackiej dwadzieścia, mieszkania cztery, ale tam nie mieszka – odzywa się radiostacja. – Wynajmuje pokój na mieście, ale adresu nikt nie zna.

– Jedźcie natychmiast na Grochowską. Numer dwieście dwadzieścia jeden, mieszkania trzy. To może być tam. Jeśli go nie ma, sprawdźcie, czy to ten. Pokażcie zdjęcie sąsiadom, dozorczyńni.

Przypadkowa zbieżność nazwiska, czy może...

Rozdział XXII

W Locie, gdzie Kamiński od paru lat pracuje, niewiele o nim wiedzą. Ma opinię człowieka spokojnego, zdyscyplinowanego, nadzwyczaj solidnego. Przedwczoraj zwolnił się na jeden dzień, wyjaśniając, że ma pilną sprawę osobistą do załatwienia. Ale gdy następnego dnia nie stawił się w pracy i nie zawiadomił nikogo o przyczynie nieobecności, zaniepokoiłi się. Nigdy dotąd nic takiego się nie wydarzyło. Twierdzą, że musiało się coś stać. Może wypadek samochodowy.

– Ma samochód?

– Tak.

– Ustalcie natychmiast w Wydziale Komunikacji markę i numer rejestracyjny, a także miejsce garażowania. W Wydziale Ruchu trzeba sprawdzić wypadki drogowe z ostatnich dwóch dni. Czekam na dalsze meldunki. – Bieżan się wyłącza.

– Telefon domowy Kamińskiego – napływa inny meldunek – jest zarejestrowany na nazwisko Janusza Wolińskiego, zamieszkałego przy Grochowskiej dwieście dwadzieścia jeden. Woliński ma przydział na to mieszkanie, jest tam zameldowany, ale mieszka na Brackiej osiemnaście. Rok temu ożenił się i po ślubie przeniósł się do zajmowanego przez żonę trzypokojowego lokalu, a swój, pokój z kuchnią, wynajął Kamińskiemu. Kamiński, który w tym okresie rozwiódł się z żoną, zapłacił za rok z góry i zobowiązał się systematycznie płacić czynsz, świadczenia i telefon. Woliński twierdzi, że swego lokatora poznał za pośrednictwem niejakiej Ireny Artycz.

– Sąsiedzi Kamińskiego twierdzą, że przedwczoraj całe przedpołudnie spędził u siebie. – Znowu nowe informacje od wywiadowców. – Około dziesiątej zaszedł do sąsiadki, by spytać, czy przypadkiem nie widziała hydraulika, z którym umówił się na dziesiątą, a który dotąd nie przyszedł. Pogadali chwilę wymieniając poglądy na temat rzemieślników i Kamiński wrócił do siebie. Wyszedł z domu tuż przed godziną piętnastą z walizeczką w ręku. Spotkała go dozorczyńni i zaczepiła, pytając kiedy znowu przyjsć sprzątać. Ona stale u niego sprząta. Na pytanie nie odpowiedział, jak gdyby wcale go nie słyszał. Wyminął ją i wsiadł do BMW zaparkowanego przed domem. Dozorczyńni twierdzi, że zrobił na niej wrażenie chorego lub oszołomionego. Tego samego dnia o piętnastej szukał go jakiś młody człowiek. Wieczorem, jak zwykle, przysła narzeczona. Szczupła,

niska blondynka. Dozorczyńni twierdzi, że ma na imię Irena. Ona takie kilkakrotnie dzwoniła, czekała na niego na schodach, a potem zaszła do sąsiadów. Pytała, czy nie wiedzą, kiedy Kamiński wróci, czy nie zostawił jakiejś wiadomości. Prosiła, żeby mu powiedzieć, że czeka w domu na jego telefon.

– Ustalcie, kim jest ta Irena. Może to chodzi o Irenę Artycz. – Bieżan się wyłącza.

Znów brzęczyk radiostacji.

– Na nazwisko Kamińskiego jest zarejestrowany niebieski BMW 2000 WS 23–34, jako miejsce garażowania podał Bracką. Ale tam nie parkuje.

Co się stało, że tak nagle ulotnił się? Zastanawia się Bieżan. Klepko mógł wiedzieć o przeszukaniu gabinetu lekarskiego Halperna. Mógł go o tym telefonicznie zawiadomić. Ale w takim razie, po co się z Klepką umawiał? A musieli się umówić na spotkanie, skoro Klepko zwolnił się wcześniej z pracy i pojechał na Grochowską. Dlaczego Kamiński na niego nie czekał? Jakaś inna wiadomość? Czy jest szansa, że obserwacja Klepki znów doprowadzi do Kamińskiego?

Sięga po meldunki z obserwacji Klepki. Nic interesującego. Z nikim się nie kontaktował oprócz matki. Matka wychodziła z domu tylko po sprawunki. Jest wątpliwe, by znała Kamińskiego. Nic na to nie wskazuje. Może Kamiński nawiąże kontakt z tą Ireną. Chyba chodzi o Artycz. A może dyskretnie przeszukać jego mieszkanie? Dom jest pod obserwacją. W razie czego dadzą „cynk”. Zdążymy się ulotnić.

Pomysł mu się podoba. Kawka będzie odbierał

meldunki i kierował akcją, a on z Sikorą pojedzie na Grochowską. Woliński na pewno ma u siebie zapasowe klucze od tego mieszkania.

Istotnie Woliński dysponuje drugą parą kluczy. Usłyszawszy o nagłej awarii, która zdarzyła się pod nieobecność lokatora, i konieczności natychmiastowego jej usunięcia, ma zamiar jechać z hydraulikiem, który go o tej awarii powiadamia. Po chwili rezygnuje. Hydraulik wygląda wyjątkowo solidnie, a w mieszkaniu poza meblami nie ma jego rzeczy. Wręcza klucze i prosi o ich zwrot.

Wchodzą do mieszkania. Niemal od progu uderza ich nieporządek, świadczący o pośpiechu, z jakim lokator opuszczał mieszkanie. Otwarta szafa, na półkach bałagan. Koszule, bielizna, wszystko przemieszane. Parę pustych wieszaków. Jedno stare ubranie. Brak płaszcza, luka wśród wiszących na sznurku krawatów.

Na biurku porozrzucone papiery. Wysunięte szuflady. Zabierają się właśnie do przejrzania tych pozostałości, gdy za ich plecami rozlega się głos:

- Proszę tu zaraz posprzątać.
- Tak jest, proszę pani.

Odwracają się jak na komendę. Głosy są znajome. Ależ tak, uprzytamnia sobie Bieżan, te głosy należą do Halpernowej i gosposi. Jakim cudem je słyszy? Aparatura odbiorcza? Oczywiście. On tu nagrywał rozmowy prowadzone w gabinecie Halperna.

Przeszukują ką, z którego rozległy się głosy. Tapczan. Szafka. W szafce zainstalowany mikroskopijny

aparatu odbiorczy. Do aparatu przyczepiona plakietka firmy „Harram”. Cóż za niespodzianka! I on miał kontakt z „Harram”?!

– Wyjmij taśmę, przesłuchamy od początku – komenderuje Biezan. – Gdzie może być ukryty magneto-fon?

Znajduje go w innej szafce. Jest ukryty w jednej z książek. Ściślej w jej okładkach. Obok przymocowane taśmy i minifon produkcji japońskiej.

– Dawaj taśmy. Puszczamy.

Szelest kręcącej się taśmy. Szuranie. Stuki. Czyjeś kroki, trzask zamykanych drzwi. I głos: „Będzie miała o czym opowiadać znajomym, rozpapie” – to głos kolegi. Teraz Biezan słyszy swoją odpowiedź: „Nie ma znaczenia. I tak siedzimy im, na ogonie”.

Nie słucha dalej. Wszystko jest jasne. Takiej ewentualności nie przewidział. Kamiński kontrolował Halperna. W takim razie w gabinecie doktora musiała być zainstalowana aparatura podsłuchowa. Psiakrew! Niedokładnie przeszukaliśmy gabinet, myśli.

– Przeszukuj dalej ten lokal – poleca Sikorze. – Przyślę ci ekipę do oględzin. Nie ma sensu się kryć. On tu nie wróci. Podsłuchał naszą rozmowę i dlatego zwiął. Ma półtora dnia wyprzedzenia.

Jadąc do siebie wydaje rozkazy przez radiostację.

– Natychmiast zawiadomić wszystkie punkty graniczne, nie wyłączając przejść. Podać dane personalne, rysopis, przesłać odbitki zdjęcia. To zdjęcie jest bardzo ważne. Niewykluczone, że ma przy sobie paszport

na inne nazwisko! Zatrzymać pod byle jakim pretekstem. Łączy się ze służbą ruchu drogowego.

– Alarm. Szukać niebieskiego BMW 2000 numer rejestracyjny WS 23–34. Zarządzić kontrolę wozów tej marki. Przy okazji sprawdzać papiery właścicieli. Podajcie wszystkim komendom rysopis i zdjęcia. Mógł zmienić tablice rejestracyjne. Zatrzymać pod jakimś pretekstem tych, którzy odpowiadają rysopisowi.

Już siedząc w swoim pokoju wysłała ekipę techników, by powtórnie przeszukali gabinet Halperna. Chodzi o zabezpieczenie aparatury podsłuchowej.

W myśli kontroluje wydane polecenia. Czy o czymś nie zapomniałem? Jest zdenerwowany. Tamten ma półtora dnia wyprzedzenia. Dużo, bardzo dużo. Mógł już dawno przekroczyć granicę. Trzeba założyć, że dysponuje lewym paszportem. Nasze działania mogą okazać się spóźnione. A może nie? On jest pewien, przychodzi mu na myśl, że jest, obserwowany, a skoro tak, nie pojechał prosto do punktu granicznego. Najpierw zechcą kluczyć, żeby zmylić obserwację, żeby się urwać. Prawdopodobnie na parę dni zapadnie w jakiejś dziurze u znajomych. Musi się liczyć z faktem, że numer rejestracyjny jego samochodu jest znany. Zechce się pozbyć wozu. Kto może wiedzieć, gdzie ma znajomych?

– Wykopcie spod ziemi tę Irenę, przywieźcie ją do mnie! – poleca ekipie radiowozu. – Macie już nazwisko i adres?

- Irena Artycz. Mieszka na Myśliwieckiej.
- Przywieźcie ją do mnie. Natychmiast! –

powtarza polecenie.

Nie ma sensu bawić się w obserwację. Liczy się każda chwila. Byle tylko dopaść Kamińskiego. Trzeba go będzie od razu zatrzymać. Klepkę też. I tak wszystko jest jasne, prawie jasne. Resztę wyjaśni się później.

– Przywieźli Irenę Artycz – melduje dyżurny.

– Dawaj ją tu.

Irena Artycz, drobna, szczupła blondynka wchodzi do gabinetu z oburzoną miną.

– Co to za zwyczaj? – rzuca od drzwi. – Ni stąd, ni zowąd zabrano mnie z domu, jakbym była jakimś przestępcą.

– Proszę siadać, o pretensjach pani porozmawiamy później. Od jak dawna zna pani Kamińskiego?

Zaskoczenie jest widoczne.

– Od kilku lat – stwierdza odruchowo. – Pracowaliśmy razem.

Bieżan nie daje jej ochłonać.

– Znacie się nie tylko z pracy. Bywa pani u niego na Grochowskiej. Przedwczoraj nie udało się pani go spotkać. Gdzie on teraz może być?!

Kobieta jest nadal oszołomiona.

– Nie wiem, sama nie wiem – mówi cichym Już głosem. – Jestem o niego niespokojna. Czy coś mu się stało?

– Jeszcze nie, ale istnieje zagrożenie – rzuca Bieżan enigmatycznie. Proszę mi podać nazwiska i adresy jego znajomych.

– Co mu grozi? – pyta nieśmiało.

- Od zadawania pytań jestem ja. Proszę odpowiadać. Prędej – rzuca ostro. – Liczy się każda chwila.
- Chodzi panu o jego znajomych w Warszawie?
- W Warszawie i poza Warszawą.
- W Warszawie nie ma wielu znajomych. Już do nich dzwoniłam. Nikt go nie widział. Jankowscy w Świnoujściu to jego starzy przyjaciele. Ma też znajomych w Szczecinie, nieraz się u nich zatrzymywał. Nazywają się Żurawscy. On pracuje w porcie.
- Adresy?
- Sięga do notesu.
- Jeśli tylko mam je zapisane – mówi przewracając kartki.
- Proszę się pospieszyć – przynagla ją Bieżan. Szybko notuje podane adresy.
- Czy jeszcze ktoś?
- Nie mam pojęcia. Czy jemu coś grozi? – pyta ponownie cichym głosem. – Co mam robić?
- Zaczeka pani w poczekalni. Funkcjonariusz panią tam odprowadzi. Później porozmawiamy.
- Sam spieszy się. Trzeba uruchomić wojewódzką maszynę.

Rozdział XXVIII

Warkot silnika uniemożliwia rozmowę. Bieżan i jego współtowarzysze podróży, dwaj specje z Zakładu Kryminalistyki, w milczeniu obserwują przesuwające się

pod nimi tereny. Śmigłowiec leci nisko nad pasem srebrzącej się w słońcu rzeki. Widać parę łodzi żaglowych, motorówka ciągnie za sobą ogon wodnego pyłu. Na brzegach są już plażowicze. W tym roku maj jest wyjątkowo ciepły. Niektórzy korzystają z kąpieli. Biezan obserwuje ich z zazdrością. W maszynie słońce piecze, koszula klei się do pleców, jest ciasno, duszno i niewygodnie. Ssie więc miętówki, popija je łykiem wody mineralnej, przezornie zabranej z sobą. Woda jest ciepła, nagrzana, więc nie gasi pragnienia. Doskwiera i zmęczenie – efekt napięcia ostatnich dwunastu godzin.

Po odkryciu dokonanym w mieszkaniu Kamińskiego wrócił do siebie tylko po to, by wysłać jedną ekipę na Grochowską dla dokonania szczegółowych oględzin, a drugą na Piękną. Sam pozałatwiał najważniejsze sprawy i też pojechał do Halpernów.

Po ponownym, nader szczegółowym przeszukaniu odkryli mikrofon z nadajnikiem, zainstalowany w podgłówku stojącej w gabinecie doktora kozetki. Kozetka służyła pacjentom przychodzącym na seanse hipnotyczne, toteż zainstalowany tu nadajnik wychwytywał nawet westchnienia.

– Dobrze pomyślane – mruknął pod nosem. Halpernowi z pewnością nie przyszło nawet do głowy, że tu, u niego w domu, wychwytywane jest każde jego słowo, pytanie, każda zdobyta podczas seansu informacja. Że w ten sposób jest stale kontrolowany. Konfrontując nagrania z taśmy z dostarczonymi przez niego materiałami można było ocenić, czy nie przeinacza, czy

istotnie przekazuje to wszystko, czego się od swoich pacjentów dowiedział. Można było sprawdzić jego lojalność wobec mocodawców. Nagrywane na taśmach zwierzenia pacjentów mogły się przydać i do innych celów. Stwarzały możliwość szantażu. Wprawdzie były to anonimowe głosy, ale przypasowanie ich do nazwisk nie było zadaniem zbyt skomplikowanym. Treść zwierzeń pozwalała określić zawody. Zresztą pielęgniarka, anonsująca nowego pacjenta, podawała jego nazwisko.

Kto zainstalował tę aparaturę? Eliminacja nie była zadaniem trudnym. Dostęp do gabinetu doktora miała pielęgniarka, gosposia i konserwujący medyczną aparaturę Marian Klepko.

Żadna z kobiet, włączywszy w to nawet Halpernową, nie potrafiłaby zamontować tego rodzaju instalacji. Pozostawał więc młody Klepko, On krytycznego dnia był w garażu doktora, umiał się posługiwać narzędziami samochodowymi, on także miał kontakt z Kamińskim, doprowadził obserwację do jego mieszkania.

Nie ma po co przedłużać obserwacji. Zdecydował Bieżan. Zbyt drobna płotka. Zdejmujemy go.

Liczył, że Klepko podczas przesłuchania ujawni jakieś szczegóły, które pomogą w ujęciu Kamińskiego. Powinien szybko pęknąć. Ocena okazała się trafna. Pękł nadspodziewanie szybko.

Zaskoczony nagłym zatrzymaniem, przywieziony do pokoju Bieżana, był półprzytomny ze zdenerwowania i strachu. Gdy Bieżan strzelił zarzutem – współudział w zabójstwie Halperna – Klepko załamał się całkowicie.

– Ja... ja... ja... tylko – mówił jękając się – ja... tylko zrobiłem to, co on kazał. Kazał odkręcić śrubę, odkręciłem. Nie wiedziałem po co. On mi nic więcej nie powiedział. Gdybym był przypuszczał – głos nagle się łamie, przechodzi w szloch. – Zrozumiałem, ale za późno... On mi kazał wrzucić klucz, którym odkręcałem śrubę, do bagażnika inżyniera Kłoska. Dobrałem klucz od jego Skody. Niewielka sztuka. Wiedziałem od matki, że inżynier wpadał często do doktorowej. Parkował tu wóz. Tego dnia też przyjechał i poszedł na górę. Śruba była już zluzowana, czekałem więc tylko na moment, kiedy nikogo nie było w pobliżu, i wrzuciłem ten klucz do jego bagażnika. To naprawdę wszystko. Nie miałem pojęcia, o co chodzi... Ja naprawdę nie chciałem...

– Czy to Kamiński kazał zainstalować w gabinecie doktora aparaturę podsłuchową?

– Tak. Dwa lata temu. Dał mi aparaturę, kazał ją umieścić tak, aby była niewidoczna, a jednocześnie żeby dobrze było wszystko słyszeć. Najlepiej w jakimś meblu. W fotelu czy kanapie, tam gdzie zwykle leżą lub siedzą pacjenci. Czekałem na okazję. Kiedyś, gdy konserwowałem aparaturę medyczną, matka wywołała doktora. Ktoś do niego przyszedł. Miałem więc trochę czasu i właśnie wówczas... Co trzy miesiące wymieniałem baterię w nadajniku.

Z nieskładnych, przerywanych szlochom słów wyłania się historia znajomości z Kamińskim.

Za pierwsze zaoszczędzone w pracy pieniądze wyjechał z wycieczką do RFN. W którymś ze sklepów

skusiło go. Ukraść pistolet gazowy. Na kupno nie starczyło pieniędzy. Myślał, że się uda. Nie udało się. Został przyłapany. Policja, protokół, awantura. Groźba więzienia. Tak przynajmniej mu powiedzieli. Wówczas w całą tę sprawę włączył się Kamiński, pilotujący wycieczkę. Załatwił wszystko. W zamian, jeszcze w Berlinie, w jakiejś knajpie kazał mu podpisać zobowiązanie współpracy. Nie bardzo wiedział, co podpisywał, jeszcze oszołomiony zajściem. Zrozumiał, że ma być Kamińskiemu ślepo posłuszny. Nie zaprotestował. Był mu nawet wdzięczny za ratunek. Ostatnim razem Kamiński umówił się z nim o piętnastą u siebie w domu. Zadzwoił do warsztatu, kazał przyjść. Przyszedł. Nikogo nie zastał.

Kamiński prysnął 21 maja przed piętnastą. Dziś jest już 24 maja. Nad ranem nadeszła wiadomość, że między Policjami a Trzebieżą znaleziono wóz BMW 2000. Został zatopiony w jeziorze 23 maja wieczorem.

– Jakiś mężczyzna – opowiadali na posterunku jeden przez drugiego obozujący w pobliżu harcerze – najpierw sprawdził, czy jest sam, potem otworzył szybę i zepchnął wóz do wody. Szybko odszedł z małą walizką w rękę.

Chłopców nie dostrzegł. Stali na warcie, byli dworze ukryci. Natychmiast zawiadomili posterunek.

I tej samej jeszcze nocy wóz został wydobyty i zabezpieczony przez miejscową komendę. Stał w milicyjnym garażu. Natychmiast wysłali informację.

Teraz Biezan wraz z ekspertami leciał na oględziny. Było dla niego oczywiste, że tamten zatopił wóz, żeby zatrzeć za sobą ślady. Liczył się widać z możliwością obserwacji, bądź poszukiwań. A jeśli pozbył się wozu właśnie na tej trasie, wiodącej do Świnoujścia, niewykluczone, że znajduje się jeszcze w tym rejonie. Być może pod któryś z wskazanych przez Irenę Artycza adresów. Najprawdopodobniej w Świnoujściu.

Dom został już obstawiony przez miejscowych funkcjonariuszy.

– Nawet mysz się nie wyśliznie – chwalił się komendant, z którym połączył się tuż przed wyjazdem.

Czy jest w środku, jeszcze nie wiedzieli. Może tak tkwić w mieszkaniu przez parę dni, by sprawdzić, czy nikt obcy wokół domu się nie kręci. Przewidywał to, dlatego w rozmowie z komendantem podkreślał potrzebę zorganizowania dyskretnej obserwacji. Tamten obiecał. Jak wyszło? Okaże się. Identyczną rozmowę przeprowadził ze Szczecinem. Trzeba było zadbać i o drugi adres.

Jego zdaniem w grę wchodziło Świnoujście. Bliżej. Krótsza trasa. W maju już zaczyna się ruch turystyczny. Łatwo zniknąć w tłumie zagranicznych turystów. Prawdopodobnie ma ze sobą paszport zagraniczny na inne nazwisko. W Świnoujściu jest możliwość wyjazdu szwedzkim promem, statkiem obcej bandery. Wszystko o rzut kamieniem. I do tego przyjaciele znający tu każdy kątek.

Na razie trzeba zacząć od oględzin. Śmigłowiec

schodzi do lądowania. Nareszcie! Wzdycha Bieżan z ulgą, ocierając spocone czoło. Pierwszy wyskakuje i zapala papierosa. Łapczywie zaciąga się dymem.

Do Komendy jest tylko parę kroków. Wóz stoi w garażu. Jeszcze nie wysechł. Przeszukanie ujawnia identyczną, jak w mieszkaniu Kamińskiego, zamontowaną aparaturę odbiorczą, mapę z oznaczonymi na niej ołówkiem punktami. Tymi samymi, które znalazł na mapie leżącej w sejfie u Halperna. Jest komplet kluczy, komplet, w którym brakuje jednego, tego właśnie, który Klepko wrzucił Kłóskowi do bagażnika.

Bieżan oddycha z ulgą. Są więc i dowody jego działalności. Wprawdzie niepełne, ale mając je w garści można będzie przyprzeć go do muru. Żeby tylko nie zwiął! Ze też oni tak długo się nie odzywają, myśli o funkcjonariuszach ze Świnoujścia. Żeby go tylko nie spłoszyli, wzdycha.

Elektryzujący meldunek:

– Jest pod wskazanym adresem.

Bieżan zostawia speców. Niech dokończą ogłędzin. Sam wskakuje do śmigłowca. Chce osobiście dopilnować tej akcji. Boi się, że poszkapią.

Dom, w którym zatrzymał się Kamiński, stoi w pobliżu portu. Śmigłowiec ląduje więc po drugiej stronie kanału. W ustalonym miejscu czeka już na Bieżana samochód. Jest i komendant. Milicyjne wozy mają prawo wjazdu na prom bez kolejki, więc też nie czekają ani chwili. Prom płynie wolno. Bieżan siedzi jak na szpilkach. A jeśli nagle coś nowego się wydarzy?

Ale wszystko gra.

– Jest, leży jeszcze w łóżku – melduje jeden z funkcjonariuszy. – Dom jest obstawiony, zgodnie z rozkazem. Mieszkanie, dwa pokoje z kuchnią, znajduje się na pierwszym piętrze, pod numerem trzy. Okna wychodzą tylko na ulicę.

Komendant patrzy pytająco na Bieżana.

– Kto jest w domu? – pyta Bieżan.
– Żona gospodarza. On już poszedł do pracy,
– Jest stamtąd jakieś inne wyjście?
– Nie.
– Wchodzimy. Ja pierwszy, wy za mną. Bez szumu. Uważać na okna.

Pani domu otwiera drzwi. Jest jeszcze w szlafroku.

– Pan do mnie? – pyta Bieżana.
– Tak. Jesteśmy z elektrociepłowni. Zgłoszono nam awarię, musimy zbadać kaloryfery.
– Proszę – wpuszcza ich bez protestu. – Zaraz uprzedzę kuzyna. On jeszcze śpi.

Drzwi jednego z pokoi są otwarte. Jest pusty. Nie ten. Wchodzą do drugiego, odsuwają zdziwioną ich zachowaniem kobietę.

Kamiński leży w łóżku, czyta gazetę. Na widok obcych podrywa się błyskawicznie. Sięga pod poduszkę, ale oni są szybsi.

– Tym razem nie udało się panie Kamiński – mówić wolno Bieżan. – Trzeba będzie odpowiadać za wszystko. – Mówiąc to uśmiecha się. Czuje ogromną ulgę. Zdążył.

Rozdział XXIX

– Zmizerniałeś jakoś na „urlopie”? – rzuca z uśmiechem Ziętara na widok Bieżana. – Klimat okazał się niesprzyjający?

– Koniec końców jakoś to wszystko nienajgorzej wyszło – mruczy Bieżan w odpowiedzi, siadając wygodnie w fotelu. – Zaraz ci dokładnie opowiem – sięga po przyniesioną przez Jolę kawę. Wolno upija jeden łyk. Zapala papierosa.

– No mów już – niecierpliwi się Ziętara. – Udało ci się?!

– Oczywiście. Masz wątpliwości? – Spogląda na przyjaciela spod oka.

Ziętara komicznym ruchem podnosi rękę do góry

– Poddaję się. Wyrażam skruchę, że śmiałem wątpić w twoje możliwości. Mów. Co ustaliłeś, jeśli chodzi o życiorys Halperna-Wandycza. Kim on był naprawdę?

– Teoretycznie obywatelem polskim, praktycznie pół-Polakiem. Jego ojciec, drobny urzędnik kolejowy ze Zbąszyna, ożenił się z Niemką. Wandycz zmarł w parę lat po urodzeniu syna. Artura wychowywała matka i jej rodzice, Niemcy. Atmosfera, w jakiej wyrastał, sympatie prohitlerowskie w domu, koledzy o podobnych zapatrywaniach z kręgu kolonistów niemieckich, słowem splot okoliczności ukształtował poglądy młodego Wandycza. W trzydziestym ósmym roku sam, a nie z rodzicami,

jak to podawał w swym oficjalnym życiorysie, wyjechał z kraju. I tu znowu mamy kłamstwo: nie do Stanów, lecz do Francji. Studiował wówczas medycynę, był już na drugim roku. Zaprosił go do siebie kuzyn, o którym niewiele mogę powiedzieć poza tym, że należał do grupy faszystowskiej młodzieży. Do nich „dobił” Wandycz, zapewne jak swój do swego. Nie wiem, co wtedy robił, kto go utrzymywał. W czterdziestym roku po klęsce Francji wraz z oddziałami drugiej dywizji strzelców pieszych przedostał się do Szwajcarii...

– Był wówczas w wojsku? – pyta Ziętara.

– Nie, ale wiesz, co się wtedy działo. W bałaganie odwrotu, w ciągle zmieniającym się stanie oddziałów można było udawać rozbitka. Wystarczyło, że dobrze mówił po polsku, że miał mundur, o który nie było wcale trudno. Szwajcarzy, jak ci wiadomo, potraktowali Polaków dobrze, stworzyli im niezłe warunki do przetrwania wojny. Kto chciał, mógł się nawet uczyć. Wandycz skorzystał z tej okazji. W Zurichu ukończył studia medyczne, zdobył dyplom i zajął się dziedziną, która go zafascynowała. Eksperymentował w zakresie wpływu, jaki można uzyskać, stosując leczenie za pomocą hipnozy i środków halucynogennych, na osłabienie woli człowieka. Jego doświadczeniami zainteresował się pewien lekarz z ambasady niemieckiej. Zaczęli się spotykać. Władze szwajcarskie nie oponowały, wszak oficjalnie chodziło o kontakty ludzi ze świata medycznego. Nie sprzeciwiły się również, gdy Wandyczowi zaproponowano wyjazd do Rzeszy na kilkanaście miesięcy dla kontynuowania badań, oczywiście na koszt strony

niemieckiej. Wypadek wyjątkowy, ale na płaszczyźnie medycznej możliwy, choć na dobrą sprawę powinni dokładniej zainteresować się jego kulisami. Lekarz z kraju neutralnego wyjeżdża do państwa, które prowadzi wojnę. Dziwne, co?

– Formalnie tak – zgadza się pułkownik – ale nie zapominaj, że w Genewie była siedziba Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i tam także dochodziło do styku ludzi z przeciwstawnych obozów. Po wtóre nie wiadomo, czy Szwajcarzy nie mieli w tym własnych interesów. Tak czy inaczej ten kanał wymiany ludzi, legitymujących się dyplomami lekarzy, rzeczywiście funkcjonował. Myślę, że Niemcy wygrali go z pewnością. Powiedziałbym jeden zero dla wroga.

– I tu urywają mi się niektóre ślady – przyznaje lojalnie Biezan. – Zdołaliśmy jednak ponad wszelką wątpliwość ustalić, że Wandycz jako współpracownik Abwehry współuczestniczył w przesłuchiowaniu strąconych lotników alianckich w oflagu Żagań. Mówiąc ściślej, wywoływał środkami halucynogennymi stan przejściowych zaburzeń równowagi psychicznej, a fachowcy z wywiadu zadawali Wówczas pytania, spodziewając się, że tą drogą zdołają wydobyć interesujące ich tajemnice. Była to działalność w istocie przestępcza, sprzeczna z prawem i etyką lekarską, z czego Wandycz musiał zdawać sobie sprawę.

Ziętara uśmiechnął się drwiąco.

– Dziwisz się, człowieku? Facet z takim życiorysem, w dodatku dobrowolnie wyjeżdżający do Rzeszy, wiedział, do jakich celów może być wykorzystany.

Nie mam tu żadnych wątpliwości, i zgodził się na tę „praktykę” świadomie.

– Podzielał twój punkt widzenia, innego nie może zresztą być. Eksperymenty w obozie jenieckim, o których powiedział mi Edmund Kula, znalazły pełne potwierdzenie w zeznaniach jedenastu świadków. W tym aż czterech rozpoznało Wandycza na zdjęciu. Dowód nie do obalenia. Nie wiem, niestety, jaką drogą i kiedy powrócił do Szwajcarii i jak zdołał zatrzeć za sobą ślady. Przypuszczalnie prysnął w ostatnich dniach wojny albo tuż po jej zakończeniu. Myślę, że i tę sprawę uda nam się jeszcze wyjaśnić. W każdym razie zamieszkał w Lucernie i już jako Anton Halpern zajmował się leczeniem pacjentów, którzy pojęcia nie mieli, kim naprawdę jest ten człowiek. Chciał zrobić karierę, ale w Szwajcarii tłok w tej specjalności jest duży, toteż droga do sukcesu była daleka. I tu nurtuje mnie pytanie: kto kogo odnalazł? Wandycz vel Halpern swoich byłych mocodawców z Abwehry, działającej pod zmienionym szyldem, ale w starym towarzystwie, czy oni jego? Zakładam, że oni, choć interesy mieli wspólne. Halpern chciał błyszczeć, imponować, zdobywać laury, dawni opiekunowie mogli mu to ułatwić pod warunkiem, że spełni ich żądania. Zdobywanie informacji drogą hipnotycznych zabiegów pod pretekstem leczenia to było coś nowego.

– No, nie przesadzaj, mój drogi – przerywa Ziętara. – Już w średniowieczu próbowano tej sztuki i mógłbym ci wyliczyć kilku takich, co stracili głowę, ujawniając w odurzeniu swe najskrytsze myśli. Zmieniła się

tylko technika, metoda jest stara i znana.

Bieżan nie próbuje replikować. Wie, że szef ma w małym palcu historię wywiadów i potrafi zaskoczyć rozmówcę celnym przykładem.

– Odwołuję ten punkt zeznań – mówi z przekorą. – Wracam do naszego klienta. Więc dogadali się, mogło to nastąpić, jak myślę, z początkiem lat pięćdziesiątych. Halpern od tej pory prowadził eksperymenty na zlecenie, po prostu dla sprawdzenia, czy rzeczywiście są one skuteczne. Trudno powiedzieć, do jakich doszedł wyników. Mocodawcy widocznie uznali, że są one obiecujące, skoro zaproponowano mu wyjazd do Polski...

– Na pewno postawiono warunek – uzupełnia pułkownik.

– Zgoda. Na pewno warunek. W Szwajcarii niewiele mogi dziać, co innego Polska. Przez kilka lat szukano pretekstu do wyjazdu i wtedy zbiegiem okoliczności poznał Anitę Matkównę. Okazja była wyjątkowa. Ustawiony przez tamtych, zgodził się na ślub. Nie liczył się z różnicą wieku, zresztą to nic nadzwyczajnego. Spodziewał się, że pewnej pomocy w początkowym okresie pobytu w Polsce udzieli mu jej brat, także lekarz. I tak się faktycznie stało, choć nie była ona nawet tak bardzo potrzebna. Wrócił nadziany forszą, bez trudu kupił mieszkanie, po ogłoszeniu w gazecie od razu miał pacjentów. Poszła fama, że pojawił się specjalista wysokiej klasy. Niejeden ze zwykłej ciekawości kłusował do psychiatry z zagraniczną praktyką, żeby się przekonać, jak on leczy. W krótkim czasie stał się

popularny. Aha, zapomniałem wspomnieć, że jeszcze przed wyjazdem do Polski otrzymał odpowiednią aparaturę, wykonaną według własnego pomysłu. Znaleziony u niego elektroencefalograf mógł być dołączony do przystawki. Według opinii naszych rzeczoznawców aparatura wytwarzała pola magnetyczne wokół elektrod i czujników przystawianych do głowy pacjenta. Możliwość zmian indukcji magnetycznej pozwalała w wielu przypadkach na ingerowanie w czynności bioelektryczne mózgu.

– Co to znaczy w wielu przypadkach? Sądysz, że prokurator zadowolony jest takim stwierdzeniem? – w głosie szefa nuta powątpiewania.

– Szczegółową opinię na piśmie mam w teczce. Nie będę cię zanudzał czytaniem czterdziestu stron bitego tekstu. Konkluzja jest następująca – Biezan cytuje ostatnie zdanie – „...nie wyklucza się, że przy zastosowaniu przedstawionej wyżej aparatury można oddziaływać na wolę człowieka bez udziału jego świadomości, zwłaszcza gdy badaniu poddawany jest pacjent o schorzeniach nerwicowych, doznający stanów depresji i bezwiednego lęku na tle własnych niepowodzeń życiowych bądź doraźnych czy trwałych wad funkcjonalnych organizmu”. Wystarczy? Wynika z tego niedwuznacznie, że nie każdy złamie się, gdy mu taką maszynę przystawią do łba. Sąd zresztą może zażądać bardziej precyzyjnej opinii i z tego, co wiem, nasi eksperci są w stanie ją przygotować. Na aparaturze Halperna przeprowadzili kilka prób. Mają więc własny materiał porównawczy.

– W porządku. Miej to na uwadze, gdy prześlemy sprawę prokuratorowi. A teraz telegrafuj w skrócie, czym dysponujemy. Czas leci, a mnie jeszcze czeka rozmowa z naczelnikiem.

– Już się robi, szefie. A tak na marginesie, nie zarządziłbyś drugiej kawy?

– Dobrze. Załatwione. Mów. – Ziętara uchyla drzwi i daje znak sekretarce.

– Jadę po kolei – zaczyna Bieżan, zerkając do notatnika, w którym przygotował analizę sprawy. – Halpern miał szeroki krąg pacjentów, zajmował się jednak „troskliwie” tymi, którzy z racji stanowiska, zawodu, pozycji społecznej i kontaktów bezpośrednio lub pośrednio mieli dostęp do spraw interesujących z wywiadowczego punktu widzenia. Ujmował ich w osobnych kartotekach. Wyznaczał im wizyty w gąszczu innych pacjentów, kierując się zasadą, że pod latarnią jest zawsze najciemniej. Wykorzystując swą aparaturę uzyskał od pracownika działu inwestycji resortu komunikacji, Andrzeja Wójcika, chorego na nerwicę, informację o planowanej budowie nowego lotniska wojskowego i jego urządzeniach do ślepego lądowania. Bliższych szczegółów pacjent nie znał, ale wiadomość i tak była dla wywiadu cenna. Zdołano wkrótce ustalić ten przeciek, lecz sprawca był nieznan. Teraz już wiemy, kto nim był. To punkt pierwszy, drugi jest ważniejszy. Założenia konstrukcyjne i technologiczne radiolokatora ERA-13 przekazał Halpernowi Jamnicki, który też przeczył u niego jakiś przypadek nerwicy, zdaje się urojonej.

– Jamnicki? – w pytaniu brzmi zdumienie. – Jesteś tego pewien? Braliśmy go pod uwagę, ale to zakrawało na niczym nie podbudowaną hipotezę.

– Nie, to pewnik! Mam jego kartę chorobową, sprawdzałem daty wizyt, analizowałem szyfrowane uwagi Halperna po każdej z nich. Gdy był u niego po raz trzeci, puścił farbę o modelu ERA-13 w trakcie seansu. Musiał powiedzieć wiele, skoro Halpern wyróżnił go wykrzyknikiem i dużym plusem. Te dwa znaki powtarzały się przy następnych wizytach z wyjątkiem trzech.

– Czy nie uważasz, że to trochę za mało, by udowodnić mu winę? Same znaki nic nie znaczą, może dotyczyły wyników badań ściśle lekarskich...

– Przerywasz mi, a przecież dopiero zacząłem. Zgadzam się z tobą, że wykrzyknik nie jest argumentem przemawiającym na niekorzyść Jamnickiego. Ale mamy coś ciekawszego: notatki Halperna w języku niemieckim. Przeczytam ci kilka z nich – Biezan wyjmuje oryginał karty chorobowej i dołączone do niego zapiski. – Słuchaj, uwaga pierwsza: „Znakomita pamięć, cytuje schemat”, uwaga druga: „Tłumienie przeszkód, okrężne, czysty ekran”, kolejna: „Zdwojona częstotliwość, duplikat anteny”... Wystarczy? A tu masz fragmenty szkiców i obliczenia wykonane ręką Jamnickiego.

– Pisał w śnie hipnotycznym? – Ziętara nie ukrywa swego zwątpienia. – Mało prawdopodobne, po prostu nie wierzę!

– Ja też nie jestem fachowcem w tej dziedzinie.

Zobaczymy, co orzekną biegli. Moim zdaniem w śnie ujawniał tylko szczegóły konstrukcyjne, operując ścisłymi informacjami, natomiast notatki przygotowywał w domu i przynosił je do Halperna. Nie wykluczam, że było to następstwem silnego oddziaływania hipnotycznego. Może w trakcie seansu Halpern wydawał mu konkretne polecenia, które on z kolei wykonywał, nie potrafiąc na skutek zaburzeń świadomości połączyć przyczyny i skutku w jedną całość. Cudów nie ma, notatki Jamnickiego nie mogły „wyparować”, musiał je sam dostarczyć.

– Wdzięczne pole do popisu dla biegłych psychiatrów, powiedziałbym nawet temat do pracy naukowej, ale to już nie my będziemy robić. Inna rzecz mnie interesuje, czy te szkice i obliczenia, jak mówisz, mogły być podstawą do zaprojektowania kopii radiolokatora ER A-13? W tym punkcie musimy się liczyć z opinią Stawińskiego, który go widział.

Bieżan bez słowa kładzie na biurku orzeczenie pułkownika Dobczyka. Kilka stron, lakoniczne sformułowania, tabele i rysunki. Ziętara przebiega wzrokiem kartę po kartce i zatrzymuje się na wniosku końcowym. „Opiniowane szcątkowe informacje – czyta – wykonane odręcznie są w całości zapisem zasadniczych właściwości stacji radiolokacyjnej ERA-13 i z tytułu ujawnienia systemu jej pracy, a zwłaszcza pełnej charakterystyki układu nadawczo-odbiorczego z zakresem częstotliwości włącznie, stanowią syntezę wzorca, który w sprzyjających warunkach, zakładając wysokie

kwalifikacje wtórnego użytkownika i jego sprawne zaplecze naukowo-techniczne, może być odtworzony jako model o parametrach zbliżonych lub nawet identyczny”.

– Tak, to już jest coś – stwierdza pułkownik. – Nie spodziewałem się.

– Żeby już skończyć z Jamnickim, dorzucę jeszcze jeden dowód. Zobacz, to są dwie taśmy magnetofonowe z nagraniem przez Kamińskiego seansu u Halperna. Przesłuchiwali je nasi eksperci. Wątpliwości nie mają żadnych, doktor pyta, Jamnicki odpowiada. Temat już znany. Włączyć?

– Nie, wierzę ci, tym bardziej że wypowiedzieli się już fachowcy. Nawiasem mówiąc, ciągle nurtuje mnie pytanie, jak z tego wybrną psychiatrzy, którym sąd powierzy zbadanie poczytalności Jamnickiego? O ile pamiętam, w ostatnich latach nie mieliśmy takiej sprawy. A rola Kamińskiego?

Bieżan marszczy czoło, co oznacza, że w tej kwestii nie ma jeszcze ostatecznie wyrobionego zdania.

– Brak mi niektórych ogniw dla pełnego rozszyfrowania jego działalności – mówi ostrożnie, z namysłem. – Dotychczas ustaliłem, że jako pilot wycieczek Orbisu, obwożąc po kraju gości z Zachodu, poznał wiedeńskiego antykwariusza, który nakłonił go do gromadzenia dzieł sztuki podlegających u nas ochronie prawnej. „Specjalizował się” w gromadzeniu cennych drobiazków: starych monet, sygnetów, bransolet, naszyjników, broszek, medali... No wiesz, swego rodzaju drobica, ale na wagę złota. Amatorów na takie perełki nie

brak w krajach, gdzie znudzeni faceci z nadzianymi portfelami urządzają sobie prywatne muzea ze zwykłej próżności i tylko po to, by innym imponować własną kolekcją. Kamiński połknął haczyk. Uprawiał ten proceder, rozliczając się ze swymi klientami w dewizach najpierw w kraju, a później, gdy pilotował wycieczki na Zachód, za granicą. Jego wiedeński kontrahent, najbardziej oblatany w tym interesie, spotykał się z nim w knajpie Weinerta, oczywiście po uprzednio telefonii lub telegramie. Tam Kamiński wpadł, przyłapała go policja, co było z góry ukartowane. Zagrozili mu więzieniem czy nawet zawiadomieniem polskich władz. „Uratował” go Weinert i, co łatwo przewidzieć w tej sytuacji, zwerbował do współpracy. Kamiński twierdzi, że dopiero po wszystkim, gdy już nie miał ponoć odwrotu, zorientował się, kto sterował incydentem. Pogodził się z przegraną, jak teraz mówi, ale skądinąd wiemy, iż tą samą metodą zwerbował Klepkę. Oto masz dowód dwulicości człowieka. Rzekoma ofiara nie chce być gorsza od sprawców jej tak zwanego nieszczęścia. A przecież wiedział, w co się wplątuje...

- Płacili? – pytanie Ziętary pada raczej dla zasady.
- Oczywiście.
- No to co się dziwisz? Pieniądz niejednemu odebrał rozum, a Kamiński jest właśnie z tych. Życ tanim kosztem to jego dewiza.

Major nie oponuje. Szef trafił w dziesiątkę.

- Masz rację – potwierdza. – Ale, do rzeczy.

Weinert zlecił mu opróżnianie skrzynek. Kamiński utrzymuje, że nie orientował się, kto wkłada tam materiały, nie łączył ich z osobą Halperna. Może i tak było, wyjaśnimy to jeszcze w śledztwie. Kontrolę doktora za pomocą aparatury podsłuchowej traktował jako kolejne zadanie. Uwierzył w jej niezawodne działanie, choć prędzej czy później zdołalibyśmy przechwycić treść odbieranych rozmów. Z tego nie zdawał sobie sprawy. Wydawało mu się, że jest poza wszelkimi podejrzeniami, o czym może świadczyć fakt pozostawienia taśm z nagranyimi rozmowami Halperna i Jamnickiego. Tylko dzięki jego niefrasobliwości czy raczej wykazanemu tupetowi mamy w ręku ten cenny dowód. Kamiński przegrywał te taśmy powtórnie na minifon z przyspieszeniem obrotów i przekazywał małe szpule, co było łatwiejsze w transporcie. Weinert polecił mu wprawdzie przepisywać treść rozmów i fotografować mikroaparatem, ale ta metoda była pracochłonna i stwarzała możliwość popełnienia błędów, toteż zaopatrzone go w minifon, który też odnaleźliśmy.

– Ładnie się spisałeś – stwierdza z uznaniem Ziętara. – A jego udział w zamachu na Halperna? Masz jasne zdanie w tej sprawie?

– Przypuszczam, że w początkowej fazie, gdy Halpern zorientował się, że prowadzę sprawę przecieków tajemnicy ERA-13, o czym dowiedział się od Laskowskiego, natychmiast zawiadomił księgarza w celu nawiązania alarmowej łączności. Kamiński opróżnił skrzynki i przekazał ich zawartość łącznikowi. W drodze odwrotnej, od Ziglera, wpłynęła decyzja likwidacji

Halperna, który od tej pory stał się zbędnym ogniwem, co więcej, zagrożonym wyspą. Zadziałała stara reguła: Murzyn zrobił swoje... Zadanie otrzymał Kamiński i, znowu odwołam się do jego zeznań, przeżył wówczas szok. Chciał zarobić, owszem, ale mokra robota? Pójść i ot, tak zwyczajnie rąbnąć człowieka? Mówi, że to było ponad jego siły. Bał się wykonać tego rozkazu. Roztrzęsiony nerwowo postanowił wykorzystać pośrednika. Wybór padł na Klepkę. Od niego dowiedział się o romansie Halpernowej, zwyczajach domowych, rozkładzie zajęć ofiary. Dostrzegł możliwości, jakie stwarza podobieństwo między nim a inżynierem. Wykorzystał je bez skrupułów. On właśnie wezwał Halperna na spotkanie podając się za inżyniera.

– Dobrze wyliczył. Wszystko wskazywało na osobę Kłoska. Gdybyś nie upierał się tak przy swoim zdaniu, przekazałbym sprawę pionowi kryminalnemu. No cóż, racja była po twojej stronie – Ziętara mówi z powagą.

– Czy tylko w tym wypadku? – uśmiecha się Biezan.

– Kapituluję. Obraz sprawy jest już dostatecznie wyraźny, ale mam jeszcze dwa ostatnie pytania. Kim był łącznik?

– Kamiński twierdzi, że członkiem załogi samolotu pasażerskiego, który wykonywał rejsy na trasie Berlin Zachodni – Warszawa. Ponoć nie wprowadzono go w kulisy ryzykownej roboty, przewoził małe pakiety jako prezenty od zagranicznych przyjaciół Kamińskiego.

Spotykali się na lotnisku. Oczywiście sprawie nadałem już bieg, wyjaśnimy ją na pewno do końca. Na razie musimy się tylko tym zadowolić.

– Rozumiem. I drugie pytanie: Zigler jest pracownikiem monachijskiej centrali wywiadowczej, co ma z tym wspólnego firma „Harram”, która wyskoczyła na rynek z radiolokatorem rzekomo własnej konstrukcji?

– Znowu celny strzał – przyznaje z aprobatą Biezan. – Wszystko przemawia za tym, że Zigler od dawna jest cichym udziałowcem czy, jak wolisz, współnikiem firmy „Harram” i bierze stamtąd swoją dolę za udostępnianie zdobywanych tajnymi kanałami materiałów z zakresu elektroniki. W końcu nic nowego pod słońcem, przykład płynie zza Oceanu. O takich machinacjach pisano już nawet w prasie. Z ramienia centrali sterował on Halpernem i Kamińskim. Gdy zorientował się, że ma w ręku prawie kompletną dokumentację nowego typu radiolokatora, sprzedał ją firmie i, jak można przypuszczać, zataił ten fakt przed swymi przełożonymi. Za tym krokiem poszły następne: musiał zginąć Halpern, żeby przy jakiejś okazji nie sypnął Ziglera, i...

– Zginąłby na pewno Kamiński – dokończył Ziętara – nie domyślając się nawet, że stał się już dla nich niewygodnym współpracownikiem. Powiedziałaś mi o tym?

Biezan kręci przecząco głową.

– Nie chcę wyręczać prokuratora. Gdy on zabierze głos na rozprawie, będzie to ostrzeżeniem dla innych...